

De. 11. 1.

TOM CCLXXXII.

ROK 71.

ZESZYT 845.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

M A J.

1911.

TOM II.—ZESZYT 2.

54

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1911.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	209
2. WEZWANIE AUSTRYI NA TRON POLSKI, —przez <i>d-ra Maryana Kukiela</i>	225
3. PRZED PÓŁ WIEKIEM,—przez <i>d-ra B. Dybowskiego</i>	238
4. PIERWIASTEK RELIGIJNY W DZISIEJSZEJ POEZYZI FRANCUSKIEJ,—przez <i>Orwida</i>	267
5. OSTATNI POWRÓT KOMETY HALLEY'A,—przez <i>M. Ernsta</i>	286
6. Z NIEWYDANYCH UTWORÓW M. KONOPNICKIEJ (tekst do Mszy śpiewanej)	312
7. FENIKS SAMOJEDNY,—przez <i>Władysława Konopczyńskiego</i>	316
8. GWARA TATRZAŃSKA,—przez <i>G. Smólskiego</i>	354
9. PIŚMIENICTWO:	
DR. ROMAN DYBOSKI: „William Ewart Gladstone,“ —przez <i>Wacława Dunina</i>	376
ANDRZEJ BAUMFELD: „Sprawa polska a Żydzi,“—przez <i>W. D.</i>	379
KAZIMIERZ PIĄTKOWSKI: „Szkoła ludowa a stosunki narodowościowe w Galicyi,“—przez <i>W. D.</i>	381
„Świątobliwe życie przewielebnej jejmości Panny Zofiej z Granowa Sieniawskiej,“ wydał ks. Jan Gajkowski,—przez <i>I. B.</i>	382
SOKOŁOWSKI EUGEN.: „Krakau im XIV. Jahrhundert,“—przez <i>I. B.</i>	384
WŁADYSŁAW STUDNICKI: „Sprawa polska,“—przez <i>d-ra Zygmunta Bujakowskiego</i>	385
ANTONI KARBOWIAK: „Młodzież szkolna akademicka zagranicą 1795—1910,“—przez <i>d-ra Z. B.</i>	387
10. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Powszechne nauczanie ludowe.—Głos posła Grabskiego.—Co dla tej sprawy społeczeństwo nasze zrobić może i powimmo?—Zatarg konstytucyjny w Radzie Państwa.—Głosy polskie.—O muzeum Rapperswilskie.—Okolo hojnego daru.—Teatry warszawskie.—Odezwa, godna poparcia.—Literatura kryminalna i życie	391
11. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. biskup Karol Niedziałkowski, ś. p. Władysław Gosiewski i ś. p. prof. Maryan Sokolowski,—przez <i>L. W.</i>	406
12. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	411



De. I 1.

OPOKA.

XXX.

Na twardej ławie III klasy Hanka spędziła bezsenną noc. Wtulona w kąt przedziału, bezwładna i nieruchoma, z głową opartą o ścianę, patrzała uporczywie w jakiś jeden punkt, w łagodny i dobrotliwy dla oczu płomień świecy — i odpoczywała. Gorąco i zaduch wagonu odurzały, monotonny turkot uciszył nerwy. Zgasły myśli i uczucia, jak gdyby wyczerpała się moc myślenia i czucia, świadomość, niby martwy aparat, mechanicznie odbierała wrażenia, nie zdobywając się nawet na najbardziej błabe wnioski. A wrażenia były wciąż te same. Pociąg pędził i zwalniał, zatrzymywał się na stacyach, rozlegały się dzwonki, lokomotywa gwizdała, huczały pracowite, niestrudzone, szybkie koła, śpiesząc od przystanku do przystanku, do jakiegoś dalekiego, wiadomego im celu, snuli się konduktorzy, chrapali dokoła podróżni...

Potem nad ciemnym światem ukazał się błady świt, brzask poranku rozjaśnił niebiosy i wyjrzało z pod chmury na krótką chwilę późne, zimowe słońce. Hanka zdziwiła się, że tak prędko zbiegły nocne godziny, i z niechęcią powitała wschód. Wolalała mrok, który był dla niej jakoby zasłoną i tarczą, który zakrywał, odsuwał, oddalał od niej ów przyszły niedobry dzień...

W świetle poranku wagon wydał się jej ohydnie brudnym, więc spoglądała przez okno. Mijały za szybą pola i lasy, prześliczne sielskie zakątki, dla kogoś zapewne drogie i pełne znaczenia, jej, Hance nieskończenie obojętne, mijały długie, wysadzone przy plancie, szpalery świerków, wsie, kościoły i wiejskie cmentarze, zabudowania dworców kolejowych. Na stacyach, mimo wczesnej godziny, trwała zwykła podczas postoju pociągu wrza-

wa, na gościńcach i ścieżkach był ruch. Życie biło tętnem codziennej pracy. Sunęły powolnym sznurem dostawy z drzewem albo zbożem, chłop wioził prosiaka na targ, prowadził krowę, gdzieś u jakiegoś przejazdu kolejowego stały wśród orszaku pogrzebowego proste jednokonne sanie z trumną...

Hanka patrzała na te zmieniające się, coraz to inne obrazy, jak w próżnię, jak w pusty obszar, niby na martwą ćwiartkę papieru... Ale w pewnej chwili, gdy wśród przestworów czystego lazuru zaświeciło słońce, pola zajaśniały świetnym blaskiem i zaiskrzyły się mrowiem migotliwych gwiazd, gdy rozkwitły na śniegach modre cienie, które padały od drzew, od lada krzewu i chałupy, od smugi dymu, kłębiącej się za parowozem, a zbocza dalekich wzgórz uśmiechnęły się cudnym błękitem i posępne wstęgi borów nasiąkły fiołkową barwą—coś z radości ziemi, skąpanej w promiennej poświacie, udzieliło się i Hance. Podziwiała, a zachwyty obudził ją z uspienia. I zawitała do duszy przelotna myśl o niezmiernem pięknie świata, wymknęło się jak gdyby westchnienie za szczęściem... W oślepiającym blasku słońca Hanka tęskniła za przeszłością, której drogie stracone na zawsze kraje leżały za sinym borem, za lasem, tęskniła za nadzieją swoją, za tą najśodsza i najbardziej ukochaną, która także minęła bezpowrotnie, która nie spełniła się nigdy i nie miała już spełnić się... Ale śniło się Hance przez krótkie mgnienie, że nie wszystko skończyło się dla niej, że przyjdą jeszcze nowe wiosny, że uśmiechnie się jej w życiu jakiś dzień błękitny i złoty... Marzyły na roziskrzonych śniegach modre cienie, marzyło o czemś serce... I nagle rozległ się w niem jęk... Hanka odwróciła się szybko od okna, usiadła, pochyliła głowę, zmrużyła powieki... Uprzytomniła sobie cel tej podróży i okrutną ironię, ukrytą na dnie rojeń o szczęściu, ujrzała czarne, złowrogie widmo męki. Z zamkniętymi oczami, jak człowiek, który chce coś sobie przypomnieć, usiłowała skupić znużone myśli i zastanawiała się nad tem, co ją czeka. Dziś jeszcze przed wieczorem rozpoczną się badania, potem więzienie i śledztwo, potem śmierć... Tak, śmierć... Wszystka groza, zawarta w tym wyrazie, ujawniła się naraz Hance i oszołomiła przerażeniem...

— Śmierć—powtórzyła sobie raz jeszcze i próbowała zrozumieć, zgłębić, przeniknąć to straszne a pozbawione wszelkiej dostępnej treści słowo. Chciałaby widzieć coś w niem, w tem słowie i poza niem, znaleźć jakiś dalszy ciąg i wynik, jakowys związek z życiem i z nią, Hanką, jakiegokolwiek podobieństwo do czegoś znanego na ziemi... Otchłań, noc, koniec—zarysowały się

w umyśle mgliste, nic nie mówiące pojęcia, a ciało, ogarnięte lękiem i wstrętem, wzdrygało się na krawędzi tej otchłani i rozum gubił się w mroku. I Hanka uświadomiła sobie, że śmierć oznacza przedewszystkiem trwogę myśli, która nie wie, nie pojmuje, nie może ogarnąć i rozpacz ciała, które boi się zniszczenia, że ona, Hanka, zniesie każde cierpienie, przetrwa wszelką niedolę, byleby żyć, istnieć, zostać... Ostateczna zagłada człowieka, a zwłaszcza jej własny zgon, wydawały się jej tu, w tym natłoczonym wagonie, wśród ludzi, którzy spokojnie jechali do jakiejś stacji, żeby wysiąść i żyć dalej, czemś zgoła nieprawdopodobnem i niemożliwem. Spojrzała po otaczających. Na wszystkich twarzach malowało się zadowolenie, poczucie bezpieczeństwa, pewność siebie. Jedni podróżni spożywali śniadanie, inni robili swoją ranną toaletę, ktoś spał, rozmawiano. O śmierci nie myślał tu nikt... Któryżby z nich zgodził się tak, jak ona, pójść dobrowolnie na śmierć? Ci ludzie chcą żyć jeszcze i będą żyć... Śpieszą teraz do swoich rodzin i zajęć, niecierpliwie obliczają godziny i stacje, oczekują jutrzejszej soboty, świąt Bożego Narodzenia, wiosny, toczy się jakaś rozprawa na temat drożyzny, przyszłych urodzajów i przyszłej wojny między Niemcami a Anglią. Doczekają wszyscy świąt i wiosny, nowych plonów i owej wojny. Za rok w wagonie czy gdzieś w mieszkaniach swoich tak samo będą popijać herbatę, spierać się, opowiadać znajomym, wspominać, układać projekty... A ona? gdzie ona? W mogilnej ziemi?! Myśl cofnęła się ze zgrozą.

Zbiegło dzieciństwo, minęła młodość, były zabawy, pieśczęty matki, płacze, uciechy, marzenia... Po co były, jakież jest sens tamtych lat, skoro nastaje kres i zagłada? Było życie, przyszła na świat żywa istota, którą nazywano Hanką, która rosła, rozwijała się, gromadziła drogie wspomnienia, uczyła się, doświadczała radości i cierpienia — i oto nagle kończy się wszystko. Przepadną na zawsze wszystkie dnie, zgasną nadzieje, porywy, pragnienia i myśli, zniknie żywa istota, która ma prawo do życia, zgnije to ciało... Po co było rodzić się, rosnać, doznawać, poznawać, spodziewać się i cierpieć? Noc wieczysta zgasi drogocenny płomyk świadomości — i potem już nic.

Bunt samozachowawczy podnosił się w Hance, wzdrygała się wola życia, i narzucał się z nieprzewartą siłą wniosek, żeby ratować się, żeby ująć od zagłady.

— Cokolwiek przyjdzie: męki, hańba, nędza, niedola, cokolwiek ma przyjść, niech się stanie, byleby zostać jeszcze między żywymi, oddychać; widzieć to słońce, radować się, doznawać, by-

leby nie mrok i nie rozkład w grobie!—chciałaby wołać na cały głos Hanka.

I oszołomiona przerażeniem, patrzała ludziom w twarze, jak gdyby szukała odpowiedzi, rady, otuchy, jak gdyby prosiła o pomoc... A na spokojnych, zadowolonych twarzach towarzyszków podróży była prosta i łatwa odpowiedź, że dobrze jest żyć, że warto i należy żyć—od śmierci zaś uciekać, o śmierci zapomnieć trzeba... Za oknem radosna jasność równin, zalanych blaskiem słońca, marzący uśmiech modrych cieni mówiły to samo... Nie z dociekań filozoficznych i nie z zawiłych rozumowań, ale z samego życia, a także z głębi wzdragającej się przed zniszczeniem istoty wysnuwał się wniosek, żeby bronić się i trwać... I Hanka z niepokojem zajrzała do duszy swojej, jak wówczas po rozstaniu z matką. Pragnęła i spodziewała się znaleźć tam usprawiedliwienie i rozgrzeszenie... Zdawało się jej, że runął już ów szczytny gmach, który budowała była przez noc i cały wczorajszy dzień, że nie zostało z niego ani śladu. Ale wysoka i opiekuńcza moc, która przebywała w duszy, nie ulękła się śmierci.

— Nie umrzesz ty—umrze tamten za ciebie bez winy — zabrzmiał surowy szept.

W tej chwili spojrzenie Hanki padło na Żyda, który siedział pod oknem. Był to pospolity, zapewne dwudziestoletni młodzieniec, nędznie ubrany, o typowo semickiej z wzdargliwie znużonym grymasem wyдутых warg i pożądlivem rozmarzeniem w czarnych wschodnich błyszczących oczach twarzy, której śmiałe brwi oraz zadarty nos nadawały wyraz zuchwałości. Trzymał w brudnych palcach papierosa i zaciągał się chciwie, czasami gwizdał coś... Wzrok Hanki uwiązł, badawczo przyglądał się... Patrząc, myślała, że tak samo młody jest tamten, skazany za jej winy, że okropne przebywa dni, gdzieś w kazamacie, drży o los swój i wyrывa się do życia tamten... Dumiała... A gdy spotkały się ich spojrzenia, w oczach znużonego Żyda dostrzegła i poznała to, czego nie widziała jeszcze nigdy w niczyich oczach: niecierpliwą i namiętną żądzą istnienia, niezmierną radość, trwogę o życie, a także jak gdyby symbol, znamię i samą istotę życia: tajemniczy płomień ludzkiego żywota... Przez lata wieku człowieczego płoną tajemnym ogniem istnienia oczy, miłują świat i światłość, weselą się i tęsknią, aż zgasną w ostatniem żalonym, śmiertelnie strwożonym wejrzeniu... I w oczach jest wszystka radość, cała moc pragnienia i kochania, wieczna trwoga i wszystka władza człowieka nad ziemią... I oto cierpią gdzieś w celi więziennej oczy tamtego i wypalają się w męce w straszliwym

przerażeniu... Dumiała... Widziała posepny pokój o zakratowanem oknie, postać skazańca, blade oblicze jego, ręce bezsilnie szamoczące się w pracy nad wyważeniem drzwi, czuła wzrok gniewny, straszliwie złężniony, pełen rozpaczy... „Nie umrzesz ty—umrze tamten za ciebie bez winy”—słyszała napomnienie.

Hanka jeszcze raz zrozumiała, że nie odwoła rozkazu, nie zmieni wyroku. Czuwała nad nią ona wysoka, władzę mająca moc i przeznaczyła ją na śmierć i prowadziła do zagłady. Trzeba było poddać się.

I widziała teraz ten sam o zakratowanem oknie posepny pokój i siebie w nim i grube mury dokoła, głucho zamknięte drzwi, mrok i beznadziejność...

— Umrę i skończy się wszystko—na pociechę boleśnie szepnęły wargi—koniec będzie... Męka nie potrwa długo... powieszają, rozstrzelają...

Myślała mężnie o blizkim zgonie, dziwiąc się, że rozwiąła się groza, że przepadł gdzieś strach. Pojęcie śmierci nabrało naraż znaczenia, próżnia wypełniła się doniosłą treścią i w mroku zamigotała niedostrzeżona przedtem jasność. Śmierć, przeciw której zrywał się bunt, która zadawała gwałt woli życia i budziła odrazę widmem rozkładu i nicości, radowała duszę, jako czyn odwagi, akt ofiary i miłości. Między życiem a śmiercią znalazł się związek, bo z samego życia, jako konieczny wynik i z duszy wypływała nieodzowna potrzeba zgonu, bo życiem dla kogo innego stawała się ta śmierć... Spokój, którego nie mogła zmącić żadna trwoga, ogarnął Hanke. Zapomniała o towarzyszach podróży i młodym Żydzie, który gwizdał ciągle, o celu tej jazdy i cudnej jasności dnia za oknem, zamknęła się w duszy swojej i obcowała z nią. Była to zaduma, pełna myśli, których nie potrafiłaby oddać słowami, było to jak gdyby wsłuchanie się w jakowąś tajemniczą mowę, zatopienie się w muzyce, która rozlegała się bez dźwięków, było to poznawanie prawdy ukrytej i zgłębianie mądrości, o której istnieniu nie wiedziała przedtem... Mijały stacye i godziny, a ona oglądała, poznawała, gotowała się. I jak przez rozmaitość tonów symfonii, przebija się ta sama wciąż melodia, tak pasmem świetlistym skroś osnowę zadumy snuły się przedziwne słowa przedziwnej nauki:

„Większej nad tę miłości żaden niema, aby kto duszę swą położył za przyjaciół swoje...”

Chwilami, niby blask, spływała na Hanke radość, pokrewna tej, którą doświadcza podróżny, gdy dosięga wierzchołka góry, radość szczytowa i szczytna, dająca zapomnienie o trudach węd-

rówki, o smutku nizin i trosce powszedniego dnia. Jak ów apostoł na skale Taboru, chciałyby uczynić przybytek, zostać na wyżynach duchowego wzniesienia, trwać w szczęściu przemienienia. Ale jeszcze czekały ją bolesne mozoły, gorzkie udręczenia, długie znoje...

Pociąg pędził przez równiny coraz mniej śnieżne, niebo się zachmurzyło, zamiast mroźnej zimowej pogody była szara jesień, ukazały się na horyzoncie kominy fabryczne, konduktor zabrał bilety—wreszcie ostatni przeciągły świst parowozu...

Hanka wysiadła, nie śpiesząc, powoli podążyła do miasta. Z przykrem zdziwieniem powitała ohydny widok zabłoconej ulicy z turkotem wozów i dorożek, z nędznymi sklepami i kamienicami. Oczy szukały jakiej czystej a cichej przystani, gdzieby mogły odpocząć od brzydoty i niechlujstwa i spocząć z upodobaniem. Ale i niebiosa miały tu posępne, nudne, niechętne oblicze. Rozwiewał się tamten mistyczny sen o przemienieniu, kojąca zaduma cofnęła się w głąb ducha.

Trzeba było wrócić do rzeczywistości i przystąpić do wykonania zamiaru. Ale owe „abstrakcyjne“ władze, którym miała powierzyć swój los, gdy ujrzała ich żywe wcielenie w stójkowych, konnych żandarmach, oficerach i przerażająco ogromnych gmachach rządowych, budziły tak realny postrach i odrazę, że zachwiewała się odwaga. Dokuczało Hance niezmiernie przykre uczucie chłodu. Ociagała się, czekając, aż przemienie dreszcz. Przebyła most, istne piekło turkotu, zamieszania i wrzawy, długo kręciła się po śródmieściu. Głód zapędził ją do jakiejś mleczarni, potem znowu chodziła, płynęła bez celu z falą przechodniów. W tłumie myślała czasami ze smutkiem, że utonęła bez śladu w morzu ludzkim, że zainkna się za nią drzwi, że umrze może, a nikt nie dowie się nigdy... Chciałyby spotkać choć jednego znajomego, pragnęła, żeby pożegnało ją czyjeś życzliwe spojrzenie, żeby wiedziano o niej w tem wielkiem mieście, gdy ona będzie cierpiała... Może przyjazna pomoc znajdzie jeszcze jaki ratunek, może partya ułatwi ucieczkę... Tajemnie marzyła o życiu... Były to odruchy instynktu samozachowawczego, który Hanka spełtała, ale którego nie zdołała zmódz, były to podszepty trwogi... I chwilami wydawało się Hance, że skruszyła się mężna moc, która towarzyszyła jej w podróży, że zgubiła gdzieś po drodze z dworca różdżkę czarodziejską spokoju i radości, że stratowali tę różdżkę przechodnie, zdeптаły koła wozów... Żałowała świetlistych godzin górnej zadumy, tęskniła do cichego, samotnego zakątka, gdzieby mogła skupić się i pokrzepić siebie, i znowu

bała się, że nie podoła. Ale zarazem rozumiała, iż tem bardziej należy śpieszyć... Przypomniała sobie jakiś cyrkuł, który znajdował się na jednej z pobliskich ulic, dokąd udawała się niegdyś w sprawach pasportowych — i skierowała się w tamtą stronę... Nękał ją i przenikał całą istotę, ciało i duszę dreszcz chłodu... Zatrzymała się przed jakąś wystawą sklepową. Uśmiechnęły się do niej żywe, cudne, radosne kwiaty i, szczęśliwe, dały jej widzenie szczęścia na ziemi, ostatnie na ziemi... Otwarty się drzwi magazynu wychodził pan z więzią białych róż, minął ją.

— Panie! — zawołała poznając.

Paweł zbliżył się do niej.

— Pani znowu tutaj?! — zdziwił się.

— Tutaj, panie...

— Oddawna?

— Dziś dopiero...

— Cieszę się, że spotkałem panią... Chce pani róży? — zaproponował, widząc, że ona patrzy wciąż na kwiaty.

— Dziękuję panu...

Było milczenie. Paweł stał uśmiechnięty i, zatopiony w swoim szczęściu, trochę bezmyślnie spoglądał.

— Panie! Niech pan powie Śniałowskiemu, że jestem w więzieniu... że ja za Pinkusa Tunika... że źle ze mną... Niech pan powie Śniałowskiemu...—trzęsącemi się wargami powiedziała Hanka.

Cień niechęci przesunął się po twarzy Pawła. Nie przepuszczał, żeby mogło być cierpienie na świecie, a spotkał się oto oko w oko... Ale nie dowierzał jeszcze i chciał o coś zapytać... Nie było już Hanki. Znikła w głębi podwórza.

Szła wolno po schodach. Uczucie zimna stało się tak dokuczliwem, że szczękały zęby. Dreszcz chłodu mroził i duszę... Zadzwoiła u drzwi, na których widniały ogłoszenia i cyrkularze w urzędowym języku. Podążyła z sieni do pokoju na prawo, jak wówczas, gdy przychodziła w sprawie pasportu, stanęła przed jakimś panem w mundurze, który czytał gazetę. Nie mogła złapać tchu. Szepnęła wreszcie kilka słów bez związku. Urzędnik nie dosłyszał, patrzył na nią znudzonym wzrokiem, sądząc, że błada, trzęsąca się dziewczyna przyszła ze skargą na policję.

— Takie teraz czasy — odpowiedział poziewając — na twarzy nie napisane... zdarzają się pomyłki... Niech pani wraca do domu... nic się pani nie stało...

Same „władze“ zachęcały ją tedy do odwrotu. Było mgienie pokusy... Hanka oparła się obu rękami o stół, zacisnęła mocno wargi, skupiała siły.

— To nie Pinkus Tunik...

— Jaki tam Pinkus Tunik... Nie znam żadnego Pinkusa Tunika... Niech pani idzie już—niecierpliwił się pan w mundurze.

— Ja wówczas bombę... Pinkus Tunik niewinny...

Sensacyjny wyraz podniecił policyanta. Ożywiły się jego obojętne biurowe oczy. Przyjrzał się uważnie Hance, potem, jak-gdyby rozweselony, wyjął zamaszystym ruchem srebrną papieroś-nicę, otworzył ją energicznie, zabrał ostatniego papierosa, mocno potarł zapałkę.

— Proszę za mną — rzekł poważnie urzędowym tonem, któ-rego sztywną doniosłość psuła nieco źle ukrywana radość — i po-prowadził Hankę w głąb mieszkania.

I odtąd rozpoczęły się dla Hanki godziny cierpienia i żalu, męki i pokuty.

XXXI.

W wyrazie twarzy Hanki było tyle cierpienia, a w słowach jej—taka wzruszająca i posępna wymowa, że Paweł otrząsnął się na chwilę z optymistycznego egoizmu, właściwego ludziom szczęś-liwym i zainteresował się losem dziewczyny. Chciał zatrzymać ją i rozpytać, a przedewszystkiem pocieszyć i powiedzieć z naiw-nym tupotem człowieka, któremu dobrze się dzieje, że „niema czego się martwić, że wszystko zmieni się na lepsze,“ ale znikła mu z oczu. Postanowił tedy spełnić przynajmniej jej prośbę. Jechał właśnie do księżnej, a hrabia Tobiasz napomknął raz o Śniatowskim i wiedział zapewne, gdzie przebywa bojowiec.

— Trzeba go poprosić, żeby odszukał... trzeba dziś jeszcze coś zrobić, trzeba dopomódz — myślał Paweł.

Potem z zadowoleniem patrzył na cudne białe róże, których wyjątkowo piękną więź udało mu się znaleźć, i osłaniał je sta-rannie, żeby nie splamiło kwiatów rozpryskujące się z pod kół błoto uliczne, i uśmiechał się dyskretnie do jakiejś chwili, którą przeczuwał, której czekał. Ale znowu przypominały mu się ci-che, złowrogie skargi Hanki. I było mu żal dziewczyny, którą lubił, a jednocześnie miał żal do niej, że stanęła z bólem swoim na jego jasnej drodze, że zaćmiła jego radość...

Od kilku dni Paweł był zaręczony. Gdy po miesiącu ma-rzeń o szczęściu i niepokoju, tęsknoty i wątpień, coraz bardziej usprawiedliwionych wobec zachowania się księżniczki, która od

czasu owej wycieczki stała się dziwnie oschłą i sztywną, powtórzył gdzieś na jakimś koncercie trwożne zapytanie, panna Marylka spuściła oczy, zapłonila się i niespodzianie szeptem wzruszonych warg powiedziała niespodziewane słowo: tak. Polonez Szopena, ogromny, rycerski, tętniący cwałem zwycięstw, przerwał tę rozmowę. Księżniczka słuchała z pochyłoną głową, ze splecionymi na kolanach rękami, które drżały... Uniosło ją marzenie... Przechodziły przed nią w bojowym pochodzie bohaterskie wieki ojczystych dziejów, zmartwychwstawała wszystka chwała minionych czasów, trwał okazały przemarsz sławnych zdarzeń i wstawionych ludzi, toczyła się jakowaś wielka bitwa... Tupotały pieszce pułki, grały działa, mknęły do walki oddziały husaryi, zakwitał purpurą i złotem wśród pospolitego ruszenia walecznych synów świetny orszak królewski... Potem urywał się nagle wspinały korowód, czyniło się pusto, a wśród ciszy rozlegał się płacz żalu za tem, co przeminęło, płynęły akordy niezmiernej skargi... I znowu grzmiąły bojowe odgłosy, tętniły rycerskie szeregi, łopotwały chorągwie wojsk, które szły, i wybuchał jakoby z piersi tysięcy hymn wiary... W cudownem widzeniu, które wywoływała natchniona muzyka, przeszłość splatała się z przyszłością.

Z oddali stuleci ku dalekiemu jutru szły, sunęły, ciągnęły, płynęły te oddziały, szeregi, orszaki... Były niegdyś, będą, ukazą się, zwyciężą... Wspomnieniem dawnego dnia szczęścia, marzeniem o przyszłej ojczyźnie brzmiał polonez i porywał, wznosił, unosił w inne światy duszę księżniczki. Księżniczka zapomniiała o smutku serca, które, nie kochając, przyrzekło, o małych troskach życia, o znikomej doli ludzkiej. Inne wyższe, większe umiłowanie stanęło między nią a Pawłem i zasłoniło go przed nią i nie widziała wzroku jego, który dziękował i podziwiał, jeszcze zapytywał i domagał się potwierdzenia... Gdy przebrzmiały ostatnie tony i nagrodzony huczniemi oklaskami pianista kłaniał się uprzejmie, Paweł zbliżył się do niej, stanął przed nią, odgrodził ją jak gdyby od rozbawionej sali, od reszty świata. Mówił coś z uśmiechem... Patrzył uporczywie prosto w twarz spojrzeniem pokornem, uległym a jednocześnie poufałym.

— Słyszał pan wołanie? — rzekła, pragnąc postawić między sobą a nim niby tarczę tamto wysokie, niezmierne umiłowanie.

— Przeszedłem na zawołanie pani—odparł banalnie z szarmanckim ukłonem.

Księżniczka zamilkła. Ręce jej poczęły drżeć, a oczy wciąż jeszcze rozmarzone patrzyły smutnie na pustą estradę, gdzie służący zamykał właśnie fortepian... Nazajutrz odbył się obrząd

zamiany pierścionków. W świecie narazie zdziwiono się trochę, niektórzy ciotki twierdziły, że należało czekać karnawału, złośliwi dowodzili, że księżniczka jest zakochana w kim innym i wychodzi za mąż *par dépit*, niechętni obgadywali Pawła, wspominając jego peregrynacje polityczne i nieszczęśliwe pożycie z pierwszą żoną, ale ostatecznie zapadła opinia, iż księżniczka, jako panna nieposażna, robi dobrą partycę. Paweł zaś chodził w szczęściu, jak w słońcu. Zaczęły się dla niego dni bezczynne a zarazem bardzo pracowite, bezładne a niezmiernie radosne, naprzekór nalogom i zamiłowaniom pedantycznym, dni niepodobne do poprzednich, wyłączone jak gdyby z ogólnej sumy życia, napozór doniosłe. Wszystkie myśli Pawła, jak dokoła osi, obracały się około panny Marylki. Spieszył do niej albo wracał od niej ze wspomnieniem jej spojrzeń, uśmiechów i słów, kupował kwiaty i cukierki, jakieś meble do przyszłego domu, jakieś brylanty, składał z przekonaniem o wielkiej wadze tych czynów uroczyste wizyty rodzinie narzeczonej. Dziennik, cele społeczne, dla których przyjechał był do miasta, kłopoty rolne poszły w ką. Daleki Naborów ze szpitalem, ochronką i budującym się kościołem przestał istnieć. I Paweł, gdyby zastanawiał się nad sobą, dziwiłby się zmianie, która w nim zaszła, dziwiłby się, że on, który z pogardą patrzył na spotykanych po salonach młodzieńców, sam stał się do nich podobnym. Ale na badania i porównywania nie było czasu. Od rana do wieczora były sprawy, bardzo pilne i ważne, a jeszcze bardziej miłe...

Teraz oto szczęśliwy i dumny, że udało mu się znaleźć dużą więź białych róż, które to kwiaty szczególnie lubiła panna Marylka, pędził do księżniczki. Nie spostrzegając kamienic, przechodniów, magazynów, ludna i hałaśliwa ulica wydawała mu się cichą i pustą. Ze wszystkich domów w mieście znał i pamiętał tylko pałac Mirskich. Lubił jego odwieczne mury, stromy z czerwonej dachówki dach, rozległy park, ciemne, dębowe drzwi, ponurą sien, dobrodusznego portyera, który witał go unizonym ukłonem, lubił w tym domu wszystkie sprzęty, każdy szczegół, wszystkie chwile. Ale gdy wstępował na schody, ogarniała go naraz trwoga. Zwalniał kroku i zapytywał siebie, czyli to szczęście, którem żył, nie było złudzeniem albo snem. W salonie wzmagała się nieśmiałość. Stawał na progu, rozglądał się, szukał narzeczonej. Ogromny, pusty, ze sztywnymi meblami salon wydawał się pośepnym, martwym i chłodnym niby mieszkanie ludzi oddawna zmarłych... Szczęście młodych pokoleń nie miało tu dostępu. Przebywało wśród obojętnych ścian wspomnienie prze-

szości i smutku. Kwiaty, wczoraj uśmiechnięte, rozweselone, wesele, wędły żałości, zegar napełniał ciszę powszedniem cykaniem, umartwiony pustelnik modlił się na obrazie z twarzą surową, niechętną ludzkim radościom... Paweł, zdjęty lękiem, stał, czekał...

Po chwili przychodziła księżniczka, podawała mu rękę z dobrocią, dziękowała za kwiaty, patrzyła w oczy z jakąś niedomówioną prośbą, której nie rozumiał. Przemijała trwoga i rozwiewał się przykry nastrój salonu. Rozpoczynała się rozmowa o pogodzie, o zdarzeniach dnia, o wizytach już odbytych, albo tych, które należało jeszcze złożyć... Księżniczka wyszywała coś jedwabiem. Przyglądał się robocie pilnych rąk, drogiemu obliczu, połyskom włosów, pierścionkowi na palcu, ślicznemu zarysowi brwi, jak gdyby chciał wyuczyć się na pamięć... Chwilami marzył... Księżniczka była prosta, dobra, przyjazna. Z prostotą rozpytywała go o Nieborów, o jego plany, zajęcia, przyzwyczajenia, interesowała się szpitalem, ochronką, kościołem. Ale Paweł, który dręczył niegdyś piękną Agę długimi wykładami na temat pracy i obowiązków, wolałby teraz inne rozmowy. Wymykały mu się niekiedy słowa gorące, miłosne, natrętne... A wówczas oczy księżniczki, niegdyś figlarne, psotne, swawolne, dziś zadumane patrzyły w niego z prośbą, której nie rozumiał... I znowu mówili o potrzebie uczenia dzieci wiejskich... Tak mijały im narzeczeńskie godziny...

Tym razem Paweł zastał w salonie hrabiego Tobiasza i natchmiast przypomniało mu się polecenie Hanki, które też powtórzył przyszłemu wujowi swemu, energicznie nastając, ażeby dziś jeszcze spełnionem zostało.

— Nie miałem czasu rozpytać, co zaszło—mówił—bo znikła mi z oczu. Ale wyglądała przerażona i nieszczęśliwa, więc przypuszczam, że grozi jej coś złego...

— Czy nie wydaje się panu słusznem—chłodno odparł hrabia Tobiasz—żeby ci, którzy broją, pokutowali za nieczne czyny swoje. Chyba, że pan jest pewny, iż ta panienka wyrzeknie się nazawsze grzesznej działalności...

Pawła ździwiła szorstkość tych słów.

— Nie wiem i nie mogę zaręczyć... Pannę Skibowską znam oddawna i nie wyglądała mi jakoś nigdy na przestępczynię... Zresztą działała zapewne w najlepszej wierze... I jeśli można dopomódz—ujmował się jeszcze za Hanką.

Hrabia Tobiasz zamyślił się.

— Nie chodzi mi bynajmniej o zgnębienie tej panny — odezwał się po chwili — ale o Śniałowskiego, który zerwał zupełnie z rewolucją, a może zechce do niej powrócić, gdy dowie się o niedoli dawnych towarzyszków... Zresztą pójdę i powiem mu... — skończył niespodzianie.

Jakoż przezwyjęzyszy odruch niechęci, która podnosiła się w nim na samo wspomnienie wywrotowych prac i skrajnych stronnictw, udał się natychmiast na dalekie przedmieście, gdzie w domku proboszcza przebywał bojowiec. Hrabia Tobiasz nie widział Śniałowskiego prawie od miesiąca i ciekawy był zmian, które mogły w nim zajść przez ten czas. Nauczony własnem doświadczeniem, znając zawilość współczesnych dusz, nie wierzył w możliwość feniksowych odrodzeń i nie podzielał złudzeń księdza, który opowiadał mu raz o zbawiennym w duszy bojowca przewrocie. Droga Śniałowskiego wydawała się hrabiemu Tobiaszowi daleką i trudną, a sam Śniałowski — jednostką mimo pozorów bohaterstwa i pozy hetmańskiej, dosyć przeciętną. Zuchwały, natrętny i zarozumiały młodzieniec nie obudził w nim sympatii. Pycha niedojrzałego umysłu, potok szumnych frazesów niecierpliwiły hrabięgo Tobiasza, a krwawa przeszłość, o której trudno było zapomnieć, wywoływała odrazę. O tę odrazę rozbijały się pobłażliwa wyrozumiałość, przebaczenie i miłość bliźniego, uznawane w zasadzie. I hrabia Tobiasz sztywnie przywitał działacza, z niechęcią dotknął jego ręki i, nie patrząc mu w oczy, lakonicznie wyłuszczył swój interes. Powtórzył słowa Hanki, które nie zrobiły wrażenia na bojowcu. Potem zapadło milczenie. Gospodarz i gość, obaj zakłopotani i skrupowani, spoglądali ku oknu. Potem zaczęła się rozmowa, nudna i sztuczna, o rzeczach podrzędnych. Śniałowski, który po tylu tygodniach osamotnienia spragniony był towarzystwa, zamknął się w sobie, zrażony chłodnem obejściem wyniosłego opiekuna.

— Zadowolony pan jest z pobytu swego tutaj? — spytał hrabia Tobiasz, poruszając wreszcie sprawę poufniejszą.

— I tak i nie... Mam nawet zamiar wynieść się stąd...

— Dlaczego?

— Przekonałem się, że nie dla mnie kontemplacya.

— Więc pan wraca do swojej pracy... Nie przypuszczałem — uszczypliwie zauważył hrabia Tobiasz.

— Także nie... — była odpowiedź.

I znowu zaległo milczenie.

— Nie chcę bynajmniej narzucać swojej opinii — odezwał się gość — radziłbym wszakże poczekać i przeczekać... Proszę

nic nie postanawiać... Trzeba mieć wiedzę o sobie i wiedzę o życiu...

— Tę wiedzę może już zdobyłem — niecierpliwie przerwał Śniałowski, który nie umiał dłużej utrzymać się w sztywnej i skrytej roli. Zresztą łatwo panu nauczać z wyżyn doskonałości, z dalekiej drogi cnotliwego życia...

— Doskonałym nie jestem — szepnął gość.

— Przeszłe czyny moje wołają o sąd, o rozprawę, o zadośćuczynienie... I nie mogę już! Zawiodłem się na sobie... Gdy pan przywiózł mnie tutaj, podejrzewałem pana o chęć forsownego przebrania mnie w szaty klerykalne, o przerobienie mnie na bogobojnego zakrystyana... Miałem uciekać. Ale zostałem... Ksiądz, dobry i łagodny człowiek, nie dokuczał nawracaniem. Żyliśmy, nie wiedząc prawie o sobie... Widywałem go tylko przez okno, gdy szedł do kościoła, albo gdy pod drzewami cmentarza odmawiał swój brewiarz—opowiadał bojowiec, któremu coraz bardziej rozwiązywały się usta.

— Mijały dni. Zaszedłem raz do kościoła. I jak gdyby promień jaki oświecił mnie nagle, zrozumiałem potrzebę uczynienia pokuty. Odbylem spowiedź... Byłem szczęśliwy, wyzwolony, czysty. Uśmiechnęło mi się nowe życie; ukazały mi się cele. Miałem już iść do pracy...

Głos drżał Śniałowskiemu, gdy mówił dalej:

— Potem przepadło czy zapadło się to szczęście... Wiara była tylko złudzeniem, przelotnym nastrojem. I jestem dziś znowu dawniejszy człowiek... Błąkam się w mroku i pustce, trapiony widmem zła... Szeptanie do kratek konfesyonału nie zmazało winy. Tylko własna dusza człowieka może rozgrzeszyć, a została w niej pamięć i zgroza...

Bojowiec zerwał się, chodził po pokoju, tarł sobie czoło, jak człowiek, który pragnie odegnać trapiącą dokuczliwie myśl, poczem usiadł i ciągnął dalej coraz gwałtowniej:

— Gdyby modlili się nademną wszyscy z całego kraju księża, nie odrobiłbym przeszłości i nie naprawił życia. Najpiękniejsze szaty nie ulecą ciała, które toczy trąd... A kościół nakłada na nas pewien mundur, zapisuje do swoich ksiąg i wymaga spełnienia pewnych uczynków... Wykonam przykazania, ulegnę, usłucham—alboż zmieni się od tego życie moje?... Bóg, który objawił mi się w godzinie zbrodni, którego oblicze oślepiło mnie, gdy m mordowałem, skrył się... A jeśli jest owa utajona w przestworach potęga? Nie widzę związku między istnieniem człowieka a niedocieczoną tajemnicą Bóstwa... Bóg i dzieje świata niby dwie równoległe...

— Pragnąłem dobra—wołał, unosząc się—marzyłem o odrodzeniu człowieka, o szczęściu ziemi... Dążyłem... Droga moja stała się krwawą — i przeraziłem się... Powiedzieliście mnie, że droga moja była błędną i—życie grzesznem. Przywiózł pan mnie tutaj, żebym w samotnem skupieniu poznał złe i odbył pokutę... A co dalej?! Mam odtąd chodzić w niedziele do kościoła, spowiadać się, pościć w piątki, mam zapisać się do innej partii, rozdawać między ludem broszury o treści religijnej, wygłaszać może odczyty, krzątać się na społecznej ścieżce. Taki zakreslono mi program nowego życia! Tymczasem o zadośćuczynienie wołają dawne pragnienia moje, sądu domagają się złe czyny—i zapewne męki potrzeba... Gdybyście wskazali mi cele i trudy niezmierne, wielkie dzieło dobra, drogę, na której mógłbym naprawić albo zniszczyć tamto, a dokonać cudu, ale nie potraficie, boście sami zbłąkali i słabi... Niema na ziemi dzieł wielkich, ani trudów ogromnych, i niema tu celu, ani planu... Zgubne są wysokie marzenia... Nie na to rodzi się człowiek mały, lichy, znikomy... Człowiek przychodzi na świat, żeby żyć i cieszyć się...

Popatrzał pilnie na gościa, przypuszczając, że ten zechce zaprzeczyć, i powtórzył, jakgdyby przekornie tę samą myśl:

— Człowiek rodzi się dla życia...

— Mijały wieki złe i smutne—ciągnął potem dalej—a radowały się pokolenia... Radują się i dziś... Jednym jest dobrze, niektórzy cierpią, a w sercu każdego kryje się silniejsza niż wszystko żądza istnienia... I płynie rzeka życia... Upadają państwa, gasną wierzenia, rozwiewają się systematy filozoficzne, toną w zapomnieniu programy—płynie przez obszar czasów rzeka życia, i będzie płynąć... Jak liście na drzewach opadają i rodzą się wciąż nowe pokolenia... Kto to powiedział? Homer... Mylą się ci, którzy szukają planu budowy, ukrytego znaczenia, wytycznej linii... Jedynym celem życia — samo życie... Pojąłem zapóźno... Szamotałem się, rozpocząłem jakąś walkę... Należało płynąć... — kończył znużonym głosem.

Nastała cisza. Śniałowski chodził po pokoju powoli mierzo-
nym krokiem. Zapomniał o obecności gościa, a może chciał już pozbyć się go. Nie miał mu nic więcej do powiedzenia. Wybuch szczerości przyszedł nagle i tak samo nagle opadł.

— Co pan zamierza teraz uczynić z sobą? — spytał hrabia Tobiasz.

— Nie wiem, panie. Przedewszystkiem pójdę stąd — odparł apatycznie bojowiec, nie przerywając swego spaceru — wzywają mnie dla jakichś spraw towarzysze... Powiem im, że błędziłem...

Potem, nie wiem... Spróbuję jeszcze żyć... Żądza istnienia silniejsza niż wszystko...

I znowu była cisza. Śniałowski krążył ciągle po pokoju, przyzwyczajony do monotonnej przechadzki, którą przez tyle tygodni zabijał czas.

— Nie na wiele przydał się panu ten pobyt—zauważył gość.

— Tak, nie na wiele.

Spowiedź młodzieńca, pełna dawnego patosu, a jałowa w treści, zniechęciła hrabiego Tobiasza. Słuchał jej z niesmakiem i wydawało mu się bezcelowem zbijać, przekonywać, nawracać. Jak kwiaty, wetknięte w piasek musiały zginąć słowa wiary, obce tej duszy, w której zamarła moc twórcza. Ale z drugiej strony hrabia Tobiasz nie chciał milczeniem potwierdzić beznadziejnych wniosków młodzieńca i postanowił odpowiedzieć.

— Nie pierwszy pan błędził i grzeszył... I ja niegdyś... Zresztą grzeszy każdy w każdej chwili—mówił jak zwykle sucho, krótkimi zdaniami.—Cierpienie prowadzi do skruchy, a ze skruchy wynika niekiedy odrodzenie... Są w człowieku moce twórcze... Pan nazwał Kościół instytucją i potępił... Kościół jest symbolem i odbiciem w zwierciadle doczesności najwyższego ideału, Kościół jest źródłem i skarbem, drogą, drzewem wciąż rosnącym... Zresztą...

— Nie dla mnie te wzniosłe teorie — wstawił Śniałowski i ziewnął.

— Nie narzucam swoich poglądów, wypowiadam się. Mogę przerwać — szorstko odparł gość.

— Słucham pana—uprzejmie przeprosił bojowiec.

— Chcę jeszcze zaznaczyć... Że nie doprowadziła pana do celu ścieżka jego, stąd nie wynika jeszcze, że niema celu i żadnych wogóle dróg... Należałoby szukać... Ci, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, nie przestają dążyć... Spragnionemu duchowi w męce objawia się prawda. Trudno jest wskazać oczom rozumu!... Oprócz żądzy życia istnieją wysokie umiłowania, strzeliste tęsknoty... Dla nich człowiek ponosi nieraz śmierć, przez nie dźwiga trud żywota...

Hrabia Tobiasz patrzył wyniosłe i twardo w twarz młodzieńca i mówił dalej:

— Nie odkrywam żadnej Ameryki... Słowa są proste i rzeczy znane... Nieraz wystarczy przypomnieć... Ubolewa pan, że nie potrafiliśmy wskazać, że niema dziś proroków i bohaterów, że nie widać dzieł wielkich... Zapewne, zapewne... Wątki i znikomy jest człowiek, czasy teraz posępne... Ale żyją mimo małość

ludzi i małość czasów te same święte i nieśmiertelne cele... Niech każdy służy w miarę możności... Pycha pożąda rozgłosu, wrzawy, wielkich pozorów.

— Pan nazywa to pychą? — zdziwił się Śniałowski.

— Tak. Wiem z doświadczenia. Wiara, którą wyznaję dziś, nie spłynęła na mnie w chwili natchnienia... nie kupiłem jej także w sklepiku za tanie pieniądze... Zmagałem się długo... Były lata grzechu i błędu... Wikłałem się w marzeniach samolubnych, upadałem... Aż ujrzałem cel doczesny — ojczyznę i cel wieczny... Służbą i niezmiernym poświęceniem sprawie narodowej, trudem ducha dążącego winno być życie nasze...

Hrabia Tobiasz mówił bez zapału, rzekłbyś bez przekonania. Urwał nie dokończywszy.

Nużył go jałowy spór, niecierpliwość niedbała obojętność i zuchwała pewność siebie Śniałowskiego, a jednocześnie wymawiał sobie, że wyniosłością i chłodem zraził młodzieńca, gdy kto inny z większą miłością i bardziej doskonałą pokorą potrafiłby może zjednać, przejednać i skruszyć... Nie chciał już rzucać próżnych słów.

— Wdzięczny panu jestem za jego usiłowania — uprzejmie, niby w jakiej salonowej rozmowie odezwał się Śniałowski — pan zawiódł się na mnie... Może i ja się zawiódłem... Nie potępiam i nie przeczę... Gdzież owa pycha?... Zazdroszczę tym, którzy wierzą, bo wiara jest jedynym z warunków radosnego istnienia... Chciałbym... Ale owe cele, które pan wskazywał, znikły mi od dawna... Wzbiłem się ponad patriotyzm, nie doleciałem do szlaków wiekiustych... Nie widzę i dlatego nie mogę... Błąkam się w ciemności i pustce...

Hrabia Tobiasz wstał, długo zapinał palto i wciągał rękawiczki, zwlekał, jakgdyby chciał jeszcze coś powiedzieć—i wreszcie wyszedł, nie mówiąc nic.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

WEZWANIE AUSTRYI NA TRON POLSKI

w r. 1794.

Dotknięto raz już na tem miejscu kwestyi stosunku Austrii do insurekcyi kościuszkowskiej, przyczem zawiłe perypetye, jakim stosunek ów podlegał, zamierzono obszerniej wyłuszczyć przy innej sposobności.¹⁾ Gdy poszukiwania, czynione w tej materyi, dziś jeszcze zgoła ku temu nie dojrzały, aby można z nich stanowcze wyciągać wnioski, przecież godzi się i należy przedstawić odwrotną stosunku owego stronę w jej najbardziej jaskrawym, dokumentowo stwierdzonym dziś objawie: stroną tą odwrotną nawskroś dla Austrii przyjazna orientacya polityczna dyplomacyi insurekcyjnej, a tym objawem najjaskrawszym — zaprosiny habsbursko-lotaryńskiego domu cesarskiego na obwarowany przez Ustawę Majową tron dziedziczny Rzplitej.

Nie są to rzeczy całkowicie nieznanne. Od szeregu lat ogłoszonych było drukiem parę dokumentów urzędowych z czasu insurekcyi, wskazujących w tym kierunku wcale niedwuznacznie.²⁾ Nie doceniono jednak całej ich doniosłości, niekiedy zaś odmówiono im wręcz a głośno wszelkiej wartości źródłowej. Mimoходом, na marginesie innej pracy, czynione w tym względzie

¹⁾ „Biblioteka Warszawska,“ 1910, III, 12. „Polityka Austrii względem Polaków w końcu XVIII w.“

²⁾ Vivenot-Zeissberg, Quellen zur Geschichte der Politik Oesterreichs, Bd. II (IV): Kościuszko an Ossoliński, Cracovie, 29 mars 1794; Ossoliński an Thugut, Vienne, 1 mai 1794; Bericht Gallenbergs, Podgórze, 6 mai 1794; Geheime Polizeiberichte, Wien, 8 Mai, 19 Mai 1794.

poszukiwania w Wiedniu dostarczyły szereg dokumentów nowych, nasuwających mnóstwo zagadek i przypuszczeń.¹⁾ Wreszcie najniespodzianie całkiem nieznanne a konkretne światła w tym ważnym i interesującym przedmiocie udało się wykryć wśród tajnych aktów prezydyalnych z działu t. zw. „rektyfikatów“ w Archiwum Namiestnikowskim we Lwowie, gdzie pomiędzy zeznaniami śledczymi późniejszej doby znalazła się nieoceniona plika rękopisów, główny następujących wywodów fundament.

*

*

*

W samem już założeniu insurekcji kościuszkowskiej leżało „menażowanie“ Austryi i rachuba na jej życzliwą neutralność, czy nawet zgoła na czynne jej poparcie. Było to wynikiem nasam-pierw upowszechnionej w kołach patryotów polskich świadomości antagonizmu, jaki dzielił rząd wiedeński, wyrzucony za nawias drugiego podziału, od rządów berlińskiego i petersburskiego, które za plecami Hofburgu na własny benefis uwinęły się z tym drugim aktem podziałowym. Z tej zaś świadomości rodziło się następnie dość głęboko zakorzenione przeświadczenie, że Austrya, poprzednio zaskoczona przez niespodziankę drugiego rozbioru, uprzytomniła sobie odtąd błędność swego udziału w pierwszym rozbiorze, że zatem obecnie austriacki rozum stanu wymaga ocalenia Polski. Starano się w okresie przygotowań powstańczych usilnie o porozumienie z Wiedniem. Ignacy Potocki proponował baronowi Thugutowi, nowemu naówczas, w r. 1793, sternikowi dyplomacyi cesarsko-królewskiej, za pośrednictwem Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, wpływowego w sferach wiedeńskich, medycę emigrantów polskich między Austryą a Francją.²⁾ Pomysł pozbawiony wszelkich widoków powodzenia, zrodzony w obo-siecznej zresztą intencji w paryskich biurach ministeryalnych, harmonizował jednak z ogólną koncepcją polityczną wielu polskich mężów stanu w owym momencie: marzyli oni o przeciw-

¹⁾ „Kwartalnik historyczny,“ 1910, I/II: Z dziejów dyplomacyi insurekcyjnej 1794 r.

²⁾ Tokarz: Ostatnie lata Kollątaja, II, Dodatek źródłowy.

stawieniu Austrii i Francji zaborczym potęgom Północy. Oba państwa, wyteżające siły w walce śmiertelnej, zejść się miały na wspólnym gruncie sprawy polskiej. Koncepcya owa przetrwała wybuch insurekcyi i orędownik jej u dworu wiedeńskiego pozostał ten sam: Józef Ossoliński. Jeszcze po fatalnych doświadczeniach r. 1794 pozostanie w nim niezachwiana wiara, że Austriya i Francya stanowią winny dwa główne filary równowagi europejskiej; wyrazem wiary owej będzie ciekawa broszura, wydana jednocześnie po francusku, niemiecku i polsku: „List starego kosmopolity Syracha do paryskiej Konwencyi Narodowej“¹⁾.

W samym dniu pamiętnym 24 marca 1794 r., „rozpoczynając sprawę obrony ojczyzny... z woli i wezwania uciemiężonego narodu polskiego“ uczynił Kościuszko „imieniem jego zaręczenie, złożone w rękach Imci Pana Johana Weber, kapitana i komendanta pogranicznego krajów Najjaśniejszego Cesarza Rzymskiego,“ że już dnia poprzedniego, 23 marca, wydał ordynanse do wszystkich komend i oficyalistów celnych, aby „granice państwa cesarskiego najuroczyściej szanowane były...“²⁾ Jednym z najpierwszych kroków Naczelnika było uroczyste zdeklarowanie swego stosunku przyjaznego względem Austrii. Nie o to jednak szło tylko, aby uchylić wszelkie z tej strony niebezpieczeństwo. Szło o zjednanie dworu cesarskiego dla sprawy insurekcyi. W liczbie najspieszniejszych ekspedycyj Naczelnika znalazł się list z dn. 29 marca do Wiednia do hr. Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, z którym już jesienią ubiegłego roku, po naradzie podgórskiej, Kościuszko długie miał rozmowy. List ten był półurzędową notyfikacją rewolucyi polskiej rządowi wiedeńskiemu; spoczął też w papierach tajnej kancelaryi Dworu i Stanu.³⁾ Pisał Kościuszko o dokonanym wybuchu, o swoim wpływie, jaki wywiera na rewolucyę w duchu „szacunku, przyjaźni i życzliwości sąsiedzkiej, która należy się od nas dostojnemu domowi austriackiemu“; zapewniał, iż zachowanie się tego domu wobec rabunku, dokonanego świeżo na Polsce, zjednało dlań opinię a nawet wdzięczność Polaków. Ossolińskiego przyzywał Naczelnik pośpiesznie do Krakowa, ażeby mógł, jako świadek naoczny, własny swój sąd wydać

1) Lettre du vieux cosmopolite Syrach à la Convention Nationale de Paris; Sendschreiben des alten Weltbürgers Syrach; Stary kosmopolita Syrach. W Sarmacyi, 1795.

2) Archiv des Innern. Revolutionen. Fasc. I.

3) Zeissberg l. c.—Haus-Hof. u. Staats-Archiv.

o wypadkach. List nierychło doszedł adresata, bawiącego naówczas we Lwowie; powiadomiony o woli Naczelnika, pośpieszył on jednak niezwłocznie do obozu pod Bosutowem; 1 maja, będąc już z powrotem w Wiedniu, zdawał Ossoliński w obszernym liście do Thuguta sprawę ze swej wycieczki politycznej.¹⁾ Był to memoriał starannie obmyślany i zręczny, usiłujący przekonać Wiedeń o potędze ruchu i obronić zarazem Kościuszkę przed niebezpiecznym oskarżeniem o hołdowanie pryncypiom rewolucyi francuskiej. Treść memoriału ubrano w szatę rozmowy między Ossolińskim, a Kościuszką i Ignacym Potockim. Dyskretnie, w formie wynurzeń Kościuszki, wypowiedziano insynuacje polityczne pod adresem cesarza: pragnęła Polska życzliwej neutralności, pewnej swobody poruszeń dla dostawców i kuryerów na gruncie galicyjskim, wreszcie tajnego poparcia dyplomatycznego z jego strony. Zantować wypada solenne zapewnienia, że obaj sternicy nawy powstańczej są zwolennikami zdecydowanymi monarchii ograniczonej, oraz usilne prośby Ign. Potockiego o spotkanie osobiste z Thugutem...

W kilka dni później miał Potocki sposobność do rozmowy z austriackim urzędnikiem, właśnie wydelegowanym z Wiednia celem objęcia zarządu Galicji.²⁾ Był nim wiceprezydent krajowy, hr. Zygmunt Gallenberg. Poprzednik jego, gubernator hr. Brigido, został odwołany, co wiązało się pono ściśle z wybuchem insurekcji. Użyty był on poprzednio za narzędzie dla robót mocno podejrzanych, wplątany w pertraktacje z patryotami polskimi, silnie zatraćające prowokacją, musiał przeto zniknąć z widowni, gdy położenie stało się niebezpiecznym. Wówczas to powołano radcę gubernialnego Gallenberga do Wiednia. Jakie pobudki kierowały tym wyborem, orzec trudno. To pewna, że był Gallenberg *persona grata* dla wyższych sfer społeczeństwa galicyjskiego, „mąż powszechnie od obu narodów ukochany, który wszelkich nauk i kunsztów był lubownikiem,“ oprócz zaś nauk i kunsztów, lubownikiem pewnej pięknej polskiej „jakobinki“ i przyjacielem wielu „jakobinów.“ Dość było tego, aby cień podejrzenia o „jakobinizm“ padł na samego Gallenberga. Był on nawet denuncjonowany do Wiednia i miał dochodzenia dyscyplinarne. Teraz, w trudnej chwili, gdy wypadło wdać się względem Polaków w podwójną grę, stał się on mężem zaufania dworu i powiernikiem tajemnych, depeszom nawet nie powierzanych, dworu tego zamierzeń. D. 6 maja

¹⁾ Zeissberg, lc.

²⁾ „Z dziejów dyplomacyi insurekcyjnej.“ I. Kw. hist. I. c.

w Podgórzu, w mieszkaniu starosty tamecznego, Antoniego Bau-
ma, miał nowy wielkorządca Galicyi długą rozmowę ze sternikiem
dyplomacyi insurekcyjnej. Pozostał w papierach kancelaryi Dworu
i Stanu dokument, w którym Gallenberg spisał własnoręcznie
„propozycye“ i „nalegania“ Potockiego; niestety, uczynił on to
w formie dyskretnej, wplatając je w tok własnego raportu o sy-
tuacyi, a wyróżniając tylko ołówkowymi znakami, które wytarto.
Przecież wynika wyraźnie z owej depeszy, iż Ignacy Potocki
skutecznie przekonywał Gallenberga, że insurekcyja jest potęgą
i że z „jakobinizmem“ nie ma nic wspólnego; że interesom Austryi
nie zagraża, przeciwnie, zagraża jej rywalom; wyrażał nadzieję,
że Austryja wraz z Anglią przyłożą ręki do ocalenia Polski i że
będą interweniować czynnie. Posuwał się Potocki do insynuacyi
najdalej idącej: wspominał o powierzeniu kilku województw ce-
sarzowi *en dépôt*, prawem jakby zastawu, pokąd losy Polski nie
będą rozstrzygnięte. „Kilka województw“ stanowiło przecież całą
Polskę, okaleczała przez rozbiór drugi. Byłażby to insynuacya,
by Austryja brała wszystko? Byłażby to po prostu zapowiedź
rychłego oddania Krakowa w ręce cesarskie, co wówczas było już
rzeczą postanowioną i tajnym rozkazem poleconą Wieniawskiemu,
nieszczęsnemu komendantowi miasta? Daremnie szukać dzisiaj wy-
rażnej odpowiedzi. Jedno tylko wydaje się pewnem: że w chwili,
gdy gromadziła się armia pruska, zagrażając starej stolicy, posta-
nowiono ten punkt, pod względem militarnym stracony, obrócić
w kość niezgody między Prusami a Austryją, doprowadzić do walki
pomiędzy obu temi potencjami o Kraków, do zatargu, albo zgoła
i starcia między dwoma mocarstwami rozbiorowemi, w czem do-
patrywano się zbawienia dla sprawy polskiej. Jak daleko szły
insynuacye ustne Ossolińskiego w Wiedniu, jakimi drogami i w ja-
kim kierunku działał dla sprawy polskiej przebywający tamże
generał ziem podolskich, książę Adam Kazimierz Czartoryski, po-
zostało zupełną tajemnicą.¹⁾

1) Jak dalece autorowie insurekcyi polegali na tych wpływach, wska-
zuje to list jednego z najgłówniejszych, Descorcha, agenta Republiki w Kon-
stantynopolu, do Ignacego Potockiego, z d. 22 listopada 1794 r. Ogiński, „Mé-
moires,“ II, 148 sq., gdzie wzmianka o „estimable négociant, mais très servile
courtisan et très russifié baron H.“ (Mowa o Herbercie, internuncjuszu austryac-
kim); poczem ważny dodatek: „Avis au remède également dans le cas où tu
auras la recette.“ — O działalności księcia generała ziem podolskich: Dębicki,
Puławy I.

Na cały ten splot zagadek rzuca jednak światło znana nieco z tajnych doniesień, zabłąkanych między kopie raportów Gallenberga dla Nadwornej Rady Wojennej, współczesna tamtym zabiegom misya wiedeńska znakomitego działacza Sejmu Wielkiego, jakim był Stanisław Sołtyk. Zadaniem jego miało być „przeniknięcie na wszelki wypadek usposobienia dworu i skłonności ministeryum.“ Napewno powierzono mu ważne zadanie; wyczekiwał on na instrukcye z Polski; usiłował wejść w styczność z ochmistrzem dworu hr. Stahrembergiem, ministrem przybocznym feldmarszałkiem Lacy i samym zastępcą monarchy, arcyksięciem-palatynem Leopoldem. Miał być wykonawcą planu, ułożonego przez Ignacego Potockiego: treść planu przekazały wspomniane wyżej doniesienia szpiegowskie,¹⁾ a przypominała ona żywo znane skądinąd wywody Ossolińskiego i Potockiego. Także i Sołtyk miał bronić Polaków przed zarzutem „jakobinizmu,“ dowieść, że celem ich jest tron dziedziczny i ograniczona monarchia. I on mówił o interwencji Austryi i Anglii. Lecz mówił więcej, mówił o obśadzeniu tronu, o wprowadzeniu nań arcyksięcia palatyna, ożenionego z infantką, jako monarchy konstytucyjnego; w tym celu mianoby go wysłać dla przygotowania umysłów do Galicyi. Polska, wydzwignięta naraz ze stanu anarchii i z niewoli, byłaby dla Austryi „przedmurzem naturalnem przeciw zaborczym ambicyom Prus i Rosyi.“

Znakomity biograf Kościuszki, Tadeusz Korzon, czyniąc w swem pomnikowem dziele wzmiankę o tej misyi Sołtyka, sądzi, że „w każdym razie projekt zaproszenia arcyksięcia na tron polski i ożenienia go z infantką saską nie dotyczy Kościuszki.“²⁾ Nie wiemy, na jakiej podstawie ugruntował owo zastrzeżenie nasz historyk; wydaje się ono dedukcją z bałamutnych wywodów tajnego sprawozdawcy na temat umiarkowanego stronnictwa, opierającego się na Ustawie Majowej, na którego czele stoi Ignacy Potocki, a którego wysłańcem jest Sołtyk. Nie jest rzeczą niemożliwą, że w owym momencie myśl ofiarowania domowi habsbursko-lotaryńskiemu korony polskiej była jeszcze Naczelnikowi obcą; pewnem jest natomiast, że niebawem wielki ów republikanin, wielbiciel Jeffersona i Zyrondy, w imię ocalenia ojczyzny na myśl ową przystał, udzielił sankcyi najdalej idącym propozycyom

¹⁾ Zeissberg, lc., II, 212 sq., 227 sq., 234 sq. — Kriegs-Archiv, Cabinets-Acten, Correspondenz von Gallenberg u. a. 1794.

²⁾ „Kościuszko,“ wyd. drugie, str. 655, przyp. 620.

polskim w Wiedniu. Stało się to wówczas, gdy Austria coraz jawniej zaczęła występować przeciw chwiejącej się sprawie insurrekcyi, kiedy wojska cesarskie były już w Sandomierskiem i Lubelskiem. Pośrednikiem i tutaj miał być Ossoliński; z inicjatywą wystąpił inny poddany cesarski, a zarazem patriota gorący, postać mało znana, ze wszechmiar interesująca swym ostrym, wyrazistym konturem, jeden z wybitnych przedstawicieli owej znakomitej generacyi—hr. Wiktoryn Waleryan Dzieduszycki.¹⁾

Urodzony z ojca Tadeusza, cześnika wielkiego koronnego, regimentarza podolskiego, generał-lejtnanta Rzplitej i z Salomei z Trembińskich, w r. 1754, w województwie Lubelskiem, kształcił się we Lwowie, w jezuickim *collegium nobilium*, dalej zaś, od 14 roku życia, w Warszawie; dopełnił studyów na uniwersytecie wiedeńskim, gdzie już jako młodzieniec osiemnastoletni dostąpił zaszczytów doktorskich. Był on synem rodziny zdawna, za czasów jeszcze niepodległej Rzplitej, mającej zasługi względem dworu wiedeńskiego i cieszącej się jego przyjaźnią. Pradziad Waleryana, Jerzy Dzieduszycki, miał zaufanie cesarza Leopolda I, sprawował interesy jego w Rzymie i otrzymywał od niego w listach tytuł hrabiowski; ojciec, Tadeusz, do którego imienia przyłgnęła uwieczniona w Rullhierze i w strofach Beniowskiego hańbiąca legenda, niefortunny przeciwnik konfederatów barskich, w r. 1762 udaremnił najście Tatarów na Siedmiogród, przestrzegając o niem w czas komendy cesarskiej, za co po rekuperacyi Galicyi otrzymał w r. 1775 tytuł hrabiowski i godność tajnego radcy; w tymże czasie młody Waleryan, pierwszy szambelan cesarski z pośród Polaków, obok korony hrabiowskiej otrzymał i klucz podkomorski, przyczem takse od nadanych tytułów w dowód szczególniejszej łaski pokryto z prywatnej szkatuły monarszej. Cieszył się Waleryan względami Maryi Teresy i Józefa II, bywał niezawodnie na pokojach Burgu. Tutaj, w Wiedniu, zadzierzgnięty został węzeł sympatyj, długo potem wiążący Dzieduszyckiego do domu habsburskiego, sympatyj niezachwianej zgoła gorączkową czynnością reformatorską cesarza Józefa, którego pamięć „przesławną“ będzie w oczach Waleryana, a panowanie „jednem z najświetniejszych.“ Przecież nie oddał się młody Galicyanin karyerze dworskiej na obczyźnie. Był *sujet mixte*, posesyonowany na Pobereżu, w uszczuplonych granicach Rzplitej. Tam osiadł w dobrach jaryszowskich, biorąc udział

¹⁾ „Kronika domowa Dzieduszyckich,“ Lwów, 1807, rozdz. „Waleryan.“— Akta sprawy Dzieduszyckiego w Archiwum Namiestnikowskiem we Lwowie.

w życiu swego powiatu latyczowskiego i województwa Podolskiego, jako śmiały rzecznik sukcesyi tronu, wzmocnienia rządu, przyznania praw mieszczanom. Gorący zwolennik Ustawy Majowej, po tryumfie Targowicy osiadł na stałe w Galicyi, skoro zaś województwo Podolskie przy drugim podziale poszło w ręce rosyjskie, a Waleryana wezwały władze do przysięgi homagialnej na wierność imperatorowej, nie udał się do Kamieńca, kosztem wielkich strat materyalnych własnych i swego rodzeństwa dokonał fikcyjnej sprzedaży kluczów podolskich, powodowany stałą, mimo wszelkie losów odmiany, niechęcią ku rosyjskiemu imperyum. Nadeszła insurekcyja. Waleryan, najstarszy teraz w rodzinie, słabowity na zdrowiu i ułomny, nie mógł krwi swej ofiarować ojczyźnie; działał w Galicyi, jako jeden z najgorętszych, najenergiczniejszych i najbardziej wpływowych „patriotycznych polityków.“ Trzej bracia jego byli w insurekcyi: Antoni, dyplomata, partyzant Stanisława Augusta, należał do Rady Zastępczej Tymczasowej, jako przełożony jej wydziału dyplomatycznego, później zaś do Rady Najwyższej Narodowej, jako zastępca. Dwaj młodsi, Wawrzyniec i Józef, służyli wojskowo: Józef, jako prosty ochotnik, wstąpił do artyleryi, Wawrzyniec znalazł się w liczbie adiutantów Naczelnika. W szeregach narodowych stanęli dwaj młodziutcy synowie Waleryana, kształcący się w Warszawie w wojskowej szkole inżynierów. Osiemnastoletni Stanisław służył w sławnym pułku Działyńskich, szesnastoletni Ludwik bił się na ulicach stolicy w dn. 17 i 18 kwietnia, bronił jej podczas oblężenia, był później pod Krupczycami, pod Brześciem i w Wielkopolsce. Sam Waleryan organizował przejście przez Galicyę brygad Wyszowskiego i Łażnińskiego, wspierał je żywnością, furazem i sumami, złożonemi przez obywatelstwo, ułatwiał przedostanie się pod sztandary insurekcyjne poszczególnym wojskowym polskim, zbiegłym z oddziałów, które Sołtykow i Suworow rozbroili na Podolu i Ukrainie.

Ważniejsze jednak sprawy łączyły Dzieduszyckiego z główną kwaterą. Był on mianowicie, obok Józefa Maksymiliana Ossolińskiego i Adama Kazimierza Czartoryskiego, naturalnym pośrednikiem pomiędzy Polską insurekcyjną a dworem wiedeńskim. Patriota gorący, był przecie, jak tanci obaj, szczerym przyjacielem Austryi. Z czasem, gdy bieg wydarzeń krajowych zawiedzie go do austriackiego więzienia, Waleryan powoła się nietylko na ojcowskie zasługi względem dworu cesarskiego, lecz także na gorliwość, z jaką sam dworowi temu służył. Powoła się na to, że przez swoje stosunki z Naczelnikiem Kościuszką przekonał go,

„iż odbudowanie Polski nie inaczej może nastąpić, jeno w związku z interesami domu austriackiego.“ Na skutek jego to przełożeń miał Naczelnik „przyjąć system, oparty na powołaniu domu austriackiego do sukcesyi na tronie polskim.“ Jakie były to przełożenia, czy ustnie uczynione w r. 1792 we Lwowie, Zamościu, Sieniawie, albo w r. 1793 w Podgórzu; czy pisemne przez brata Antoniego lub Wawrzyńca, pozostaje rzeczą niewyjaśnioną.

W piśmie swem z d. 22 czerwca 1797 r. do lwowskiego prezydium gubernialnego pisał dalej Waleryan Dzieduszycki w materji powyższej co następuje:

„Poruczono mi przełożenie ministeryum Jego Cesarskiej Mości memoriału, rozwijającego owe poglądy. Stworzyłem wskutek tego rodzaj kanwy czy też szkicu tego planu... Szkic ten wysłałem pod adresem p. hr. Ossolińskiego do Wiednia, powierzając jego sentymentom patriotycznym, gorliwości względem domu austriackiego i jego talentom dobrze mi znanym, rozwinięcie tego szkicu do rozmiarów, jakie tylko piśmu takiemu można było nadać i złożenie go J. E. p. baronowi Thugutowi, ministrowi spraw zagranicznych...“ Memoriał, wysłany przez Dzieduszyckiego tuż przed Maciejowicami, wręczony został Thugutowi już po klęsce, z obszerną o niej wzmianką. Data zatem jego powstania da się oznaczyć na początek października, data wręczenia na sam koniec tego miesiąca. Pisano go zatem wtedy, gdy wojska cesarskie, od dnia 30 czerwca r. 1794, w którym ukazała się proklamacya hr. Józefa Harnoncourta FML i „poddenczas komenderującego generała,“ okupujące połąć południową Rzplitej, za wtórym już nawrotem zajawszy Lublin, usiłowały zagarnąć kraj cały po rzekę Wieprz, gdy spełży na niczem wszystkie wysiłki Naczelnika, aby za zgodę milczącą na okupację kupić moralne przynajmniej gwarancje na przyszłość, gdy półstówkami zbyto dwa jego listy, dokumenty szlachtetnej i dzielnej dyplomacyi insurekcyjnej, gdy odmówiono odpowiedzi na energiczny list G. M. Antoniego Baranowskiego, zawierający projekt konwencyi wojskowej między insurekcyą a cesarzem.¹⁾ W tych warunkach trzeba było głęboko zakorzenionego przeświadczenia o związku interesów Austrii z ocaleniem Polski, aby raz jeszcze próbować drogi do rozumu stanu i sumienia politycznego ministrów wiedeńskich.

Zachowały się bruliony memoriału, takiego, jakim go Dzieduszycki naszkicował i takiego, jakim go doręczył Ossoliński.

¹⁾ Zeissberg, l. c. II, 327. — „Z dziejów dyplomacyi insurekcyjnej,“ Kw. hist., l. c.

Śmiałą ręką ów szkic kreślono, z dużym polotem myślowym i wybitnym talentem pisarskim. Stanowi on też najcenniejszy dokument owych dyplomatycznych zabiegów przy dworze wiedeńskim: myśl polityczna, która kazała emigrantom polskim w Lipsku ofiarować swoją medycynę w wojnie między Francją a Austrią, która kierowała zabiegami Ossolińskiego, Potockiego, Czartoryskiego i Sołtyka, w pracy Dzieduszyckiego wyraziła się najpełniej. Usiłował on przekonać Austrię, że stała się ona igraszką w rękę sprzymierzeńców, wyzyskana przez nich i zdradzona. „Rzecz to powszechnie dziś znana, że wojna z Francją wynikła jedynie z chciwości dworów rosyjskiego i pruskiego i z zamiarów przez nie uknutych, by ubezwładniwszy nią cesarza, wolne mieć ręce dla przywłaszczania sobie szczątków Polski.“ Nie dość na tem; aby tembardziej się zabezpieczyć od wmieszania się Austrii w sprawę polskie, „aby napiętnować w oczach dworu cesarskiego te kroki, które rozpacz podyktowała uciskanemu narodowi,“ stworzyły owe mocarstwa legendę o rzekomym duchu jakobińskim u Polaków i przygotowywanej rzekomo insurekcji galicyjskiej. Dzieduszycki wskazywał, jako jedno ze źródeł tych tendencyjnych, fałszywych pogłosek, Seweryna Rzewuskiego, „już powieszzonego *in effigie* za to, że przez ambitną żądzę zachowania swego stanowiska hetmańskiego służył Rosyi za narzędzie i przyczynił się do wezwania jej pomocy przeciw własnej ojczyźnie,“ jednego z tych ludzi, którzy „usiłują ogień podłożyć, aby mózdz kraść, korzystając z zamieszania przy pożarze.“ Obok tego zwrotu, nader znamiennego dla stosunku Dzieduszyckiego do Targowicy, godzi się z jego memoriału przytoczyć ustęp inny, pełen gorzkiej ironii, ustęp o rzekomym „jakobiniźmie“ Polaków. „Wystarczy znać szlachtę polską podług obrazów, jakie kreślą autorowie wszelkich narodowości, aby pojąć, że szlachcic polski, nawykły do tego, że sam jest najwyższym sędzią swych chłopów, których swymi poddanymi zowie, niezmiernie jest daleki od dopuszczania tej klasy do równości, pozbawiłby się bowiem przez to prawa sprzedawania swych poddanych, uważania wszelkiej emigracji z jednej wsi do drugiej za bezprawie, prawa do robocizn, prawa, wzbraniającego jego chłopom mleć zboże w cudzym młynie, kupować wódkę lub piwo w cudzej karczmie; jednym słowem, wystarczy znać powinności (*redevances*, w oryg. mylnie *revêrances*), z których poddany polski musi się swemu dziedzicowi uiszczać, aby powziąć silne przeświadczenie, że szlachta polska najodleglejsza jest ze wszystkich od przejścia się zasadami francuskimi.“ Tutaj gorący

patryota stopił się już z wielbicielem reform józefińskich w jedną osobliwszą indywidualność polityczną...

Jeśli jednak—rozumował Dzieduszycki—ani ów rzekomy jakobinizm, ani rzekome machinacje powstańcze w Galicyi nie mogły dać Austryi słusznego powodu do wystąpienia przeciw Polsce, pozostaje jedyne wyjaśnienie: chęć uczestnictwa w rozbiore, sprzeczna z głoszoną przez cesarza zasadą słuszności. Niestety jednak, „racye polityczne nieraz były powodem kroków, przy których uważano za konieczne poświęcić inne zasady.“ Lecz nowy podział Polski, którego granice Dzieduszycki odgaduje dość trafnie, nietylko nie przyniosłby Austryi żadnego rzeczywistego pożytku, lecz owszem, byłby dla niej ze względów politycznych i gospodarczych dotkliwym ciosem. Dopiero przez opanowanie żyznych i ludnych prowincyj południowych, Rosya nabywa siłę, aby z całą energią poprowadzić dalszą wojnę z Turcyą i przynieść temi siłami cesarstwo otomańskie. Panowanie na Ukrainie i Podolu daje Rosyi natychmiastową przewagę w rai Chocimskiej, na Mołdawii i na Wołoszczyźnie; gospodar mołdawski będzie odąd urzędnikiem rosyjskim. „Dość jest przeczytać deklarację rosyjską, ogłoszoną, gdy mocarstwo to opanowało ostatniemi czasy ogromne te przestrzenie, zabrane Polsce. Jako tytuł prawny do zajęcia tych krajów powołano tam okoliczność, że ludy, które je zamieszkują, mówią tą samą mową, co Rosyanie. Owóz z tego tytułu obwód stanisławowski, stryjski, samborski, brzeżański, zaleszczycki, tarnopolski, żółkiewski, przemyski, lwowski, sanocki, stanowiłyby już własność Rosyi... Tutaj winniem zauważyć, że Rosya, chcąc tem więcej zabezpieczyć swe panowanie nad wszystkimi ludami, które mówią po rusku i chcąc tem więcej oddalić wieśniaków od ich panów, wyznających inny obrządek, t. j. obrządek łaćniński, we wszystkich nowych swoich posiadłościach zaprowadza schizmę; zmiana ta, która z innego punktu widzenia mogłaby się wydać obojętną, ma tu najgroźniejsze konsekwencye, bo w religii rosyjskiej głową kościoła jest imperatorowa, a samowładztwo jej, rozciągające się na wszystkie mniemania religijne, da jej taki rząd nad księżmi i ludem, jakiego posiadać nie może żaden inny monarcha...“ Stąd wnosił Dzieduszycki, że sąsiedztwo Rosyi groźnem będzie dla panowania austriackiego nad temi prowincjami, w których lud jest obrządku greckiego i mówi po rusku. Wskazując z drugiej strony na politykę wschodnią Rosyi, jako wrogą interesom mocarstwowym austriackim, wzywał Austryę do ratowania Polski; dowodził, że przy pierwszej okazji Rosya zabierze wschodnią część dzielnic austriackiej, zamknąw-

szy przedtem rynki zbytu dla soli wielickiej i bocheńskiej; Prusy znowu po same żupy solne wyciągną rękę. Zabłysną tutaj instynkt polityczny Waleryana Dzieduszyckiego, odgadujący trafnie tendencje, które w części doszły do realizacji chwilowej, rozwinać się zaś miały potężnie w ciągu całego następnego stulecia.

Konkluduje więc Dzieduszycki, że Austria powinna zaniechać wojny na Zachodzie, przez którą przyczyniła się tylko do trwania i rozwoju rewolucyi; powinna zawrzeć pokój z Francją, zaskoczyć nim Prusy i zwalić na nie brzemień dalszej wojny. Winna podać dłoń Polakom, co samo już mogłoby przeważać szalę zwycięstwa, co zresztą mogłoby przyśpieszyć zbrojne wystąpienie Porty, a może i Szwecyi. Później, po zawarciu, choćby kosztem wielkich ustępstw, pokoju z Republiką, winna otwarcie wystąpić w Polsce. Z pośród trzech mocarstw rozbiorowych, jeden tylko dwór wiedeński „umiał sobie zyskać rządem umiarkowanym serca swoich nowych poddanych“; opinia publiczna przypisuje „rewindykację“ Galicyi naciskowi tylko prusko-rosyjskiemu, a naród cały jest życzliwie usposobiony dla Austrii. Dwór wiedeński miałby więc prawo spodziewać się wszystkiego od narodu polskiego, „pierwszą zaś rzeczą, o którą możnaby się pokusić, byłaby sukcesya na tronie polskim, z zachowaniem konstytucyi, zwanej Trzeciego Maja; Galicya połączona z tem Królestwem i z innymi zaborami r. 1772 stworzyłaby z tego królestwa rozległą posiadłość dla domu austriackiego, posiadłość tem pewniejszą, bo nadaną przez wdzięczne serca szlacheckiego Narodu.“

„Oto plan—pisze Dzieduszycki—który doradzałbym jako Galicyanin i jako Polak. Znam serca mych rodaków, sam nigdy nie umoczyłem rąk w żadnej znowie, knowanej przez któryś z obu dworów, które rozebrały Polskę; pochlebiam sobie i chlubię się z tego, że posiadam zaufanie insurekcji polskiej; jeślibym miał szczęście się dowiedzieć, że Dwór Wiedeński skłonny jest do przyjęcia tego planu, ofiaruję wszystkie me zdolności, całą gorliwość, całe zaufanie, które posiadam u powstańców, aby podjąć działania wstępne. Podejmuję się dokonać dywersyj powstańczych przeciw wrogom mej Ojczyzny i zarazem Domu Austriackiego, gdzie tylko zajdzie tego potrzeba; wreszcie na cel ten przeznaczam życie moje i całe moje mienie. Nie życzę sobie żadnej pensyi, żadnej nagrody, żadnego stanowiska za usługi, które wyświadczę, bo samo przekonanie, że służę Ojczyźnie i sposobność oddania usług Dworowi Cesarskiemu, który przez umiarkowane rządy wzbudził w nas ku sobie uczucia niewysłowione, dostateczną już będzie mi nagrodą...“

Memoryał Dzieduszyckiego, przytoczony w pobieżnym zaledwie streszczeniu na tem miejscu, uległ w Wiedniu całkowitemu przetworzeniu pod gładkiem, bardziej dworskiem i dyplomatycznym piórem Ossolińskiego. Usunięto ostrość wyrażen, wypolerowano namiętne rekryminacye, pocukrzono złośliwe aluzye. Rozwinięto wiele poglądów, dorzucono nowe argumenty. Sprecyzowana myśl pacyfikacyi: ustąpienie Niderlandów Francuzom, odszkodowaniem Polska! W liczbie ustępów, zmodyfikowanych do niepoznania, był zwrot, w którym Dzieduszycki-weredyk całkowicie plan drugi zepchnął polityka. Opiewał on: „Zważywszy, że złoto rosyjskie i pruskie z pewnością więcej ma wagi, niż najlepsze racye, że jest ustalonym prawie w publicznym mniemaniu, iż dom austriacki w działaniu politycznym obiera zawsze drogę najsprzeczniejszą z jego interesem i że zawsze prawie jest oszukany... wszystko zależy od nieskazitelności ministra, któremu te myśli będą przedstawione; jeśli bowiem za miarę postępowania dworu wiedeńskiego przyjmiemy jego działania polityczne ostatnich czasów, to nasuwa się mniemanie, że dwór ten, zamiast obrać drogę godną jego potęgi i majestatu, da się uwieść do współuczestnictwa w rozbiórce Polski...“ Ze wszystkich słusznych przewidywań Dzieduszyckiego to było najtrafniejszem. Jeszcze w lutym, czy w marcu roku następnego, gdy konwencya austro-rosyjska oddawna była już zawarta, rozwijał on też same poglądy, analogiczne plany działania, w broszurze p. t. „Uwagi o związku interesów Polski z interesami politycznymi innych europejskich mocarstw,“ wydanej wraz z „Listem Syracha“ w „Sarmacyi,“ również w trzech językach, a rozbieżnej, podobnie jak rzecz Ossolińskiego, z owoczesną rzeczywistością dziejową.

Myśl jednak wprowadzenia domu habsbursko-lotaryńskiego na tron polski nie była wyłączną własnością Waleryana Dzieduszyckiego, ani Stanisława Sołtyka, ani dowolną polityczną kombinacją. Ufundowana na występującym coraz jawniej antagonizmie pomiędzy Austryą i Rosyą, należała ona od czasów barskich do tradycyjnych koncepcyj powstańczej dyplomacyi polskiej; podejmą myśl tę legiony po Campo-Formio; z większą jeszcze siłą narzuci się ona umysłom wśród zawieruchy listopadowej. Nowym jest tutaj przedewszystkiem fakt uczestnictwa w owej myśli Najwyższego Naczelnika Siły Zbrojnej Narodowej, Tadeusza Kościuszki.

PRZED PÓŁ WIEKIEM

Wspomnienia z czasów uniwersyteckich.

II.

Podczas zimy młodzież uniwersytecka mieszała w Dorpacie w owe czasy kilka dni szalonych zabaw, były to dni maskarady ogólnej, mianowicie na św. Marcina 11 listopada i św. Katarzyny 25 listopada każdy bursz, mający tyle pieniędzy, by mógł wynająć sobie kostyum, ubierał się weń, szczęśliwy, że przecie na kilka godzin może się pozbyć munduru oficjalnego i występować w roli zwykłego śmiertelnika, bo tak dobrze rola „półboga,“ za którego każdy bursz niemiecki siebie poczytywał, jak też i przymus formalny urzędowy — były ciężarem nie ladajakim dla młodzieży. Pozbywszy się skóry skarbowej, bursze dawali folgę szalonym swoim temperamentom, podniecanym obfitami libacyami alkoholowemi. Każdy oświetlony lokal był oznaką, że tam przyjmują gości maskowanych. U drzwi wchodowych bursze znajomi i przyjaciele domu danych gospodarzy sortowali przybywających; nieprzyzwoicie kostyumowani nie bywali wpuszczani do środka, stąd powstawały kłótnie, a często i bijatyki, których rezultatem były pojedynki. Wpuszczeni do sali, gdzie tańczono, zwykle przy akompaniamencie brząkadefka fortepianowego, nowoprzybyli brali udział w tańcach, a jeżeli okazali się przyzwoitymi w tańcu i obejściu, wtedy gospodarze domu prosili o zdjęcie masek, inni nieproszeni opuszczali lokal, próbując szczęścia gdzieindziej. Grupy tańczących zmieniały się po lokalach jak w kalejdoskopie: mnichy, Turcy, Hiszpanie, Lapończycy, Rosyanie, aniołowie, bociany, dyabli etc. przewijali się kolejno po lokalach oświetlonych. Życie na ulicach wrzało, jak podczas karnawału

w Rzymie, wszystko co żyło, wylegało z domów, był to rodzaj zabawy, niespotykanej gdzieindziej.

Plater Kazimierz urządził był w czasie maskarady w dzień św. Katarzyny szopkę dowcipną pod mianem „Katerinchen vom Monde.“ Była to szopka wędrowna, w niej karzeł-kobieta była upostaciowana przy udziale dwóch osób, jednej, która tworzyła głowę, biust i ręce karlicy, drugiej, której ręce przedstawiały jej nogi odziane w eleganckie buciki. Karlica przepowiadała przyszłość pojedynczych osób, społeczeństw, narodów i światów, jak prawdziwa wyrocznia mówiła sentencyjami, przeważnie dowcipnymi, wypowiedzianymi w języku niemieckim, czuchońskim, albo rosyjskim, a nawet polskim. Szopka miała niezwykle powodzenie, tłumy cisnęły się do prorokini, śmiechy, żarty towarzyszyły pochodowi. Uniwersytet wszakże uznał taką szopkę za niebezpieczną dla spokoju państwa, albowiem mogła się przekształcić w jakąś „propagandę polityczną.“ To też gdy pedele poznali Platera, zażądali od niego „im Namen des Rektors und des Gesetzes,“ ażeby zaprzestał dalszego przedstawienia, zaś rektor Haffner robił nazajutrz wymówki Platerowi i oświadczył mu, że na przyszłość podobne przedstawienie będzie surowo karane; co innego hulaszczcze, głupie, bezcelowe zabawy, na nie patrzono przez palce, a nawet je protegowano.

Oprócz tych dwóch dni maskaradowych z ich bachanaliami, jeszcze jedna uroczystość burszowska niemiecka była tolerowana w Dorpacie, mianowicie t. zw. „Völkerschmor.“ Polacy przezwali ją „Ferkelschmor.“ Obchodzono tę uroczystość w kwietniu, w dzień pamiętny dla uniwersytetu, gdyż była to data inatrykulacji pierwszego bursza 21 kwietnia 1802 r. Ażeby nadać temu obchodowi cechę wysokiej uroczystości, bursze niemieccy spijali się do niepamięci—wypróżniali oni w ten dzień cały zapas piwa t. zw. marcowego „Märzbier,“ mieszczącego się w obszernych składach podziemnych Schrama, w piwnicach pojezuickich na „Domie.“ Otóż przy takiego rodzaju bachanalii powstawały bójki i inne wszelkie następstwa orgij pijackich. Chcąc uniknąć styczeńności w dzień ten z burszeryą niemiecką, Polacy postanowili byli przez czas pewien usuwać się z miasta, więc urządzali wycieczkę wiosenną na wieś do wielkiej gospody, położonej na trakcie petersburskim, o 10 wiorst od Dorpatu oddalonej; w ten dzień przypadała również jakaś uroczystość, obchodzona przez mieszczaństwo dorpackie, zwane w żargonie studenckim „knotami,“ po polsku „kołtunami.“

Kurator, jak już wspomniałem, był olbrzymem, lecz przytem estetycznej i proporecyonalnej budowy ciała, musiał być za młodu

pięknym i silnym mężczyzną, w danej chwili już jako siwy starzec imponował marsową lecz zarazem rozumną fizyognomią, powiadano o nim, że był w wojsku „tambur-majorem,“ a tylko dzięki posiadanej „virtus virilis“ pozyskał rangę generała, że nie był głępszym od innych generałów owej epoki, nie ulega żadnej wątpliwości. Gdy przybył do Dorpatu na kierownika oświatą wyższą, był tyle na swoim miejscu, co Nazimow w Moskwie albo Katakazi w Charkowie. Kraftström był o tyle lepszym od innych, że pragnął się kształcić i poznać bliżej świat uczony, to też po przybyciu do Dorpatu zapraszał profesorów do siebie na pogadanki naukowe, zapytywał się prof. astronomii, Medlera jak daleko księżyc od ziemi, czy odległości mierzą się „kwadratowymi czy kubicznymi“ miarami; zwiedzając gabinet zoologiczny, rzucił prof. Asmussowi, ażeby kazał uszyć spodnie dla strusia, bo gołe łydki obrażają uczucie wstydlivosti u kobiet, kazał w oranżeryi botanicznej ustawić rośliny według wzrostu, pozwolił nawet zachować napisy łacińskie na bramach do ogrodu spacerowego umieszczone, w tem przekonaniu, że napis „Otium reficit vires,“ tłómaczony na język rosyjski znaczy „zdzieś nieźlia kurit' cygary.“ Początkowo wtrącał się do wszystkiego, lecz później główną jego troską była oszczędność, to też nie pozwalał obsadzać katedr opróżnionych, ażeby w ten sposób pozostawały rezerwy, które skrupulatnie odsyłane były do ministerjum, jako dowód dobrej gospodarki na uniwersytecie. W świecie burszowskim starał się wprowadzić porządek, więc każdy musiał mieć mundur zapięty na wszystkie guziki, kołnierzyków nie lubił, to też je nosić zabronił, wogóle uważał, że nie on dla uniwersytetu jest wyznaczony, lecz uniwersytet dla niego. Taką była opinia powszechna o kuratorze. Niemcy go nie lubili, a on też ich nawzajem nie kochał. Polaków nie prześladował, przeciwnie nigdy im krzywdy nie wyrządził, ani pozwalał innym ich krzywdzić. Jako dowód życzliwości jego względem Polaków służyła ta okoliczność, że prawie co niedziela bywał w kaplicy katolickiej, dosyć odległej od jego mieszkania i tam przesiadywał na fotelu, dla niego specjalnie ustawionym, przez cały czas nabożeństwa; nie uczęszczał zaś do kościołów luterskich, a do cerkwi przybywał tylko podczas uroczystych modłów w dniu t. zw. tabelne.

Po obchodzie uroczystym jubileuszowym, odbytym w Dorpacie, dowiedziano się, że grad krzyżów, gwiazd i innych nagród spadł na uniwersytet; od kuratora i rektora poczynając, aż do personelu urzędniczego wszyscy nagrodzeni zostali. I tak kurator został zaszczycony orderem Włodzimierza I klasy, rektor do-

stał order św. Anny na szyję, który odtąd nosił nawet wtedy, gdy był w szlafroku. Te ordery dały powód do żartów rozmaitych ze strony burszów niemieckich; otóż, pomiędzy innymi, urządzili oni figiel taki: generał Kraftström miał sławnego kozła z wymionami, wydzielającemi mleko obficie, tak, że go dojono jak kozę, następnie hodował źórawia oswojonego, który odbywał z nim przechadzki po mieście, często także w asystencji kozła. Bursze niemieccy w kilka dni po odbytej uroczystości, gdy kurator wyszedł ze swoją menażeryą na spacer, zawiesili na szyi kozła i źórawia ordery papierowe. Zrazu nie spostrzeżono tych oznak, któremi udekorowano zwierzęta i generał maszerował, a za nim kozioł i źóraw. Pedele zamiast zerwać naśladownictwa papierowe i pokryć milczeniem figiel studencki, zwrócili nań uwagę kuratora, a ta farsa stała się powodem wielu nieprzyjemności. Kurator kazał kozła zamykać, zaś źórawia odesłał na wieś. Odtąd odbierał ciągle listy od zesłanego źórawia, w których ten ostatni uprasza o ulaskawienie i obiecuje nie wkładać już na siebie nigdy odznak orderowych. Opowiadano, że te listy gniewały mocno kuratora, a pozbyć się ich nie mógł, gdyż wysyłane były z najrozmaitszych stron. Wogóle kuratora otaczała taka chmura anegdota, że z za niej nie można było dokładnie widzieć samej jego osobistości. Polacy nie brali udziału w wytwarzaniu tych pociesznych opowieści, przeciwnie, otaczali osobę kuratora życzliwością, nie było bowiem wypadku, ażeby ze strony jego wyszło jakie rozporządzenie wrogie dla nich. Gdy który z kolegów umarł w Dorpacie, a trzeba było pożyczyć znaczniejszej sumy na pogrzeb, bo zwykle chowano studentów z wielką paradą, udawano się do kuratora o pożyczkę, on nigdy nie odmawiał, lecz z własnych funduszków dawał na słowa, bez żadnej kaucyi, lub poręczenia.

O ile Polacy byli życzliwi dla kuratora, o tyle nie lubili rektora Haffnera, zresztą nikt go chyba nie kochał w Dorpacie. Niemcy uważali go za bezprawnie narzuconego urzędnika, a nie za wybranego na godność rektora przez profesorów, zresztą był to człowiek ograniczony, dziecinnie próżny, służalec rządowy, szpiegujący wszędzie wszystkich i wszystko. Dykteryjki, jakie krążyły o Haffnerze, wystawiają go jako naiwnie niemądrego człowieka.

Figle i dowcipy charakteryzowały burszeryę dorpacką; powiedzieć o niej można słowami Rosseger'a, że cała jej czynność w czasie studyów redukowałą się do:

Feste feiern, Lieder singen,
Reden kalten, Gläser klingen,
Spielen, fechten und flanieren,
Tanzen, flierten und Scharmieren,
Dies ist der Burschen Pflicht.

Polacy studyjujący w Dorpacie naśladowali Niemców; w podaniach przechowywały się były rozmaite figle, dokonywane np. przez Dziekońskiego Józefa Antoniego, rodem z Kaliskiego w latach 1837—1840, następnie Poziómskiego Zbigniewa z Podola, w latach 1845—1848. W czasach studyów moich w Dorpacie zachowały się były jeszcze w pamięci Niemców przydomki, nadawane Dziekońskiemu i Poziómskiemu; pierwszego nazywano Tollpole, drugiego Stepperpferd.

Stosunki Polaków z Niemcami były zawsze wrogie. Niemcy uznawali Polaków za intruzów, wcale niepotrzebnych, których pozbyć się wypadało. Jakkolwiek Polacy nigdy nie godzili na niemieckość uniwersytetu, a stąd wrogość była wcale zbytęzną, lecz żałowano dla nich miejsca po audytoryach i pracowniach. „To jest uniwersytet niemiecki i dla Niemców wyłącznie przeznaczony, twierdzili, my tu panami jesteśmy.“ Taki stosunek dawał się czuć tu wszędzie na każdym kroku, tymczasem ilość Polaków coraz bardziej się zwiększała i to się Niemcom burszom nie podobowało. ¹⁾

¹⁾ Jeżeli zechcemy porównać ilość Polaków w procentowym stosunku do Niemców słuchaczy wstępujących na uniwersytet, to będziemy mieli, że było: w 1804 r. 2 Polaków na 72 Niemców = 2.4%. Pawłowscy z Białej Rusi byli pierwszymi Polakami na uniwersytecie dorpackim.

w 1806 r. 1 Polak	na	65 Niemc.	= 1.5%	Munkiewicz Ignacy z Wilna.
w 1807 r. 1	„	50	„ = 2.0 „	Mejerowicz Szymon z Wileńskiego.
w 1811 r. 1	„	100	„ = 1.0 „	Goroszewski Piotr z Witebskiego.
w 1819 r. 1	„	110	„ = 0.9 „	Łappa Aleksander z Witebskiego.
w 1820 r. 1	„	112	„ = 0.8 „	Szemiott Ludwik z Mohilewskiego.
w 1822 r. 1	„	87	„ = 1.1 „	Terlecki Ignacy z Mińskiego.
w 1824 r. 6	„	116	„ = 5.1 „	prawie wszyscy z Wileńskiego.
w 1825 r. 6	„	131	„ = 4.5 „	„ „ „
w 1826 r. 4	„	134	„ = 2.9 „	„ „ „
w 1827 r. 4	„	175	„ = 2.2 „	„ pomiędzy Polakami, Chreptowicz

Michał poseł przy Neapolitańskim Dworze.

w 1828 r. 11 Polaków	na	190 Niemców	= 5.2%
w 1829 r. 5	„	161	„ = 3.1 „
w 1830 r. 5	„	144	„ = 3.4 „

W spisach studentów dorpackich spotyka się często z nazwiskami polskimi, piszącemi się jednak już czysto po niemiecku, tych nie zaliczyłem do Polaków, tak np. Aleksandrowitsch, Berkowsky, Bielogorsky, Bielsky, Dombrowsky, Gawroński, Gonsior, Guleffsky, Jablonsky, Jankowsky, Jaskowitsch, Jeskowsky, Karpieński, Karpowicz, Koletzky, Kottkowitz, Krajewsky, Lange-witz, Lubschewitz, Maximowitsch, Napiersky, Naprowsky, Ol-schewsky, Pawlowsky, Ragotzky, Rasewsky, Sagorsky, Sakrew-sky, Schichowsky, Schubersky, Sokolowsky, Schtschensny, Szy-

w 1832 r.	14	Polaków	na	134	Niemców	=	10.4	„
w 1833 r.	17	„	„	108	„	=	15.7	„
w 1834 r.	19	„	„	110	„	=	17.2	„
w 1835 r.	15	„	„	141	„	=	10.6	„
w 1836 r.	14	„	„	124	„	=	11.2	„
w 1837 r.	23	„	„	144	„	=	15.2	„
w 1838 r.	16	„	„	116	„	=	12.8	„
w 1839 r.	14	„	„	127	„	=	11.0	„
w 1840 r.	17	„	„	136	„	=	12.5	„
w 1841 r.	18	„	„	127	„	=	14.5	„
w 1842 r.	17	„	„	121	„	=	14.0	„
w 1843 r.	13	„	„	146	„	=	8.9	„
w 1844 r.	17	„	„	150	„	=	11.3	„
w 1845 r.	18	„	„	145	„	=	12.4	„
w 1846 r.	14	„	„	149	„	=	9.3	„
w 1847 r.	17	„	„	138	„	=	12.3	„
w 1848 r.	34	„	„	154	„	=	22.5	„
w 1849 r.	19	„	„	146	„	=	13.0	„
w 1850 r.	28	„	„	184	„	=	16.0	„
w 1851 r.	28	„	„	175	„	=	24.0	„
w 1852 i połowie 1853 r.	41	„	„	189	„	=	26.9	„

w ciągu lat 50 studyowało w Dorpacie Polaków 451 na 5,694 słuchaczy Niemców, co stanowi 7.9%. Z Królestwa było 90, co stanowi prawie 20% wszystkich Polaków, studyujących w Dorpacie. Z Wileńskiego było 87 = 19.2%. Z Mińskiego 74 = 16.4%. Z Kowieńskiego 57 = 12.6%. Z Grodzieńskiego 52 = 11.5%. Z Wołnia 29 = 6.4%. Z Witebskiego 26 = 5.7%. Z Podola 16 = 3.5%. Z Mohilewskiego 7 = 1.3%. Ze Smoleńskiego 2. Z Kurlandyi 2. Z Galicyi 2. Z Lifflandyi 2. Z Krakowa 1. Z Drezna 1. Z Woroneża 1. Z Połtawy 1. Z Petersburga 1. To są cyfry w przybliżeniu, sprawdzić ich powtórnie nie mogłem, dla braku źródeł odpowiedniej literatury. Zestawiłem je z notat przed laty pisanych. Ci z Dorpaczanów, którzy są u źródeł, zechcą może niedokładności, jakie by się tu znalazły, usunąć. Wszakże nam nie chodzi o ścisłość matematyczną.

manowsky, Werbitzky, Wolsky etc. Krew polska płynie obficie wśród rodzin liflanckich.

Polacy doszedłszy liczebnie do pewnego znaczenia na uniwersytecie, złamali despotyczną władzę burszów niemieckich. Odtąd ich tak zwane „verschiesy“, czyli bojkotowanie właścicieli domów, rzemieślników, kupców etc. straciło na swoim znaczeniu. Tak np. „posadzili“ bursze niemieccy pewnego krawca, zwanego „Hosengenie“ „na ferszys“, Polacy nie uznali słuszności tego bojkotowania i „ferszys“ upadł. Następnie korporacje niemieckie, jakkolwiek oficjalnie nie uznane przez władzę, lecz w rzeczywistości istniejące, uznały pojedynek na rapiry jako obowiązujący wszystkich studentów. Polacy sprzeciwili się i żądali ażeby przyznano im prawo pojedynku na pistolety. Żądanie to musiało być uwzględnione. Następnie zmuszono Niemców do uznania korporacji polskiej, jako równej innym korporacyom; wszystkie te ustępstwa zawdzięczali liczebnej sile Polonii w Dorpacie. Ze zniemczonymi mieszczanami dorpackimi stosunki Polaków były przyjazne. Do arystokracji niemieckiej Polacy się nie rwali, bywali w domach swoich profesorów na rzadkich przyjęciach t. zw. herbatkach oficjalnych, ale wogóle stosunki z mieszkańcami Dorpatu były dość luźne. Polacy żyli jak na obczyźnie wśród własnego towarzystwa, stąd też w wyjątkowych wypadkach tylko amor nawiedzał którego z nich i połączył go węzłami matrymonialnymi z panną dorpacką. O ile wiem Krzywicki jedynie pojął za żonkę Niemkę. Z Dorpatu w późniejszych czasach Kiersnowski ożenił się z Niemką.

Zarysowawszy w krótkim zestawieniu faktów tło dla dalszej opowieści, wracam do niej.

Zdawać musieliśmy egzamin z łaciny, z niemieckiego, z rosyjskiego, z matematyki, historii powszechnej i greki; ten ostatni przedmiot wymagany był od tych, którzy mieli zamiar studyować medycynę albo nauki przyrodnicze, tudzież filologię; wszyscy inni byli zwolnieni od tego egzaminu, stąd też wielu ze zdających odkładało grekę na później, by tymczasem zapisać się na fizykę. Ażeby zostać przyjętym na uniwersytet, zdający musiał dostać zdanie „dobrze“, oznaczone cyfrą 2, ze wszystkich przedmiotów, mógł jednak mieć z jednego przedmiotu trójkę, czyli zdanie dostateczne, lecz wtedy wymagano, ażeby obok trójki była i jedynka (czyli bardzo dobrze), uzyskana z któregoś przedmiotu egzaminacyjnego. Polacy liczyli na możliwość dostania jedynki zwykle tylko z rosyjskiego, albo z historii; egzaminatorowie tych dwóch przedmiotów byli życzliwie usposobieni względem nich. Profe-

sor Michał Pietrowicz Rosberg, uczciwy i wielce sympatyczny człowiek, nie był wcale fanatykiem narodowościowym, przyjmował Polaków u siebie w domu; miał nawet pensyonat dla nich, tak np. Jasiński Ignacy, Mierzejewski Leon, byli tu w pensyonacie, zanim zdali egzamin do uniwersytetu. Stosunki Polaków do rodziny Rosberga były przyjacielskie; dwie panny, córki Rosberga, Anna i Marya, były wykształcone osoby, miłe w obejściu, młodsza, Marya, którą „Maszutką“ nazywano, odznaczała się pięknnością klasyczną. Każdy Polak dostawał od Rosberga przy egzaminie jedynekę. Egzaminatorem z historii był prof. historii, Fryderyk Kruse; miał on pretensję do znajomości języka polskiego, tym, którzy go prosili, ażeby im wolno było odpowiadać po polsku, udzielał chętnie takiego pozwolenia. Egzaminował Polaków prawie wyłącznie z historii polskiej, najczęściej pytał o wypadkach z czasów panowania króla Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełły, Stefana Batorego i Sobieskiego. Chcąc go ująć, egzaminujący się powinien był dotknąć kwestyi handlowej, mówić o drogach handlowych, o rzekach spławnych, a następnie w jakikolwiekby sposób nawiązać stosunek danej epoki z przeszłością daleką i tu rzucić parę ogólnych poglądów na kwestyę pochodzenia Słowian, wspomnieć o Wariagach, a szczególnie zaznaczyć, że zna dzieła samego profesora. Rupniewski Gustaw tak go był ujął w czasie egzaminu wiedzą swoją z zakresu geografii starożytnej, a nadto tem, iż znał atlas historyczny Krusego, że profesor zaprosił go do siebie i radził, ażeby się poświęcił studjom historycznym i geograficznym. Zresztą Rupniewski był rzeczywiście człowiekiem o zdolnościach niezwykłych; zdał też bez wszelkiego przygotowania egzamin na stopnie celujące ze wszystkich przedmiotów, nie wyłączając greki. Profesor Kruse był wielce sympatyczną osobistością, miłym w obejściu, lecz wogóle nie lubianym przez Niemców, może dlatego, że sympatyzował ze Słowianami. On Polakom dawał prawie zawsze jedynekę przy egzaminach. Z niemieckiego egzaminował Michwitz Karol, lektor czuchońskiego języka na uniwersytecie, a do tego nauczyciel w gimnazjum klasycznym w Dorpacie — wymagania jego przy egzaminie nie były wielkie. Egzaminatorem naszym z matematyki był Minding Ernest. Ponieważ urodził się w Kaliszu i znał nieco język polski, pozwalał niekiedy odpowiadać po polsku, namawiał zwykle do studyowania matematyki, a szczególnie zalecał uczęszczanie na swoje wykłady o „Differential und Integralrechnung.“ Przystępując do egzaminu, wiedziano o tem, że Minding zwykł zadawać pytanie: „Was denken sie studieren“; na to pyta-

nie trzeba było odpowiadać, że matematykę, albowiem to jest jedna z najpiękniejszych i najpożyteczniejszych gałęzi wiedzy ludzkiej. „Selbstverständlich“ — mawiał wtedy Minding i zaraz wpadał w dobry humor. Z łaciny i greki egzaminował prof. Ludwik Merklin, kolega Schönrocka na uniwersytecie dorpackim, więc przez niego wtajemniczany był odnośnie do postępów uczniów Schönrocka.

Nareszcie nadeszła chwila egzaminów. Żaden z naszych ziomków, z którymi przystępowałem do egzaminu, nie został „odpalony“ — cieszyliśmy się z pokonania tej pierwszej przeszkody, stawianej na drodze do studyów uniwersyteckich. Zapisalem się na fizykę, albowiem do studyów medycyny wymagano egzaminu z greckiego, a tego języka nie znałem wcale, bo nie uczono go w mińskim gimnazyum. Brałem tedy dalej lekcye greki u Schönrocka, przygotowując się do egzaminu dopiero po roku, a tymczasem słucałem wykładów z przedmiotów, obowiązujących medyków i przyrodników. „Czesne,“ jakkolwiek niższe niż na uniwersytetach zagranicznych, ale ciężżyły ogromnie na szczupłych naszych budżetach, w pierwszym półroczu zapłaciłem około 30 rb. „czesnego.“

Równocześnie z przywdzianiem munduru rozpoczynał się okres ruchliwej działalności w dwóch kierunkach, niekiedy sobie sprzecznych, mianowicie w kierunku życia towarzyskiego i naukowego; pierwszy pochłaniał wiele czasu i odrywał od pracy systematycznej naukowej. Student w pierwszym semestrze nosił miano „fuksa,“ a jakkolwiek przyjęty do korporacji, nie miał jednak prawa głosu, musiał być na usługi korporacji i burszów. Do obowiązków fuksów, przyjętych do korporacji, należało wyprawienie uczty, czyli t. zw. oblanie matrykuły albo knejpa fukowska, na którą to ucztę zapraszano burszów i tu zwykle spajano fuksów na pociechę burszów. Dla mnie taka uczta była wstrętną, to też, pomimo nalegań kolegów, nie brałem w niej udziału; gdy o mojem postanowieniu zakomunikowałem Sankiewiczowi, obok którego zamieszkałem w tym samym domku w pokoiku parterowym, pochwalił mnie za to i przy tej okoliczności opowiedział mi historję, dotyczącą życia Żółcińskiego Aleksandra, którego alkoholizm doprowadził do najzupełniejszego upadku moralnego. Rzecz się tak miała: 1847 przybył do Dorpatu Anglik, wysoko wykształcony naukowo, znający kilka języków nowożytnych, pomiędzy nimi nowogrecki; towarzyszył on młodzieńcowi pięknemu, eleganckiemu, arystokratycznie wychowanemu. Młodzieniec ten był uczniem Anglika, kształcił się w domu, gdzie

miał nauczycieli muzyki, tańców, fechtunku etc., grał biegle na fortepianie, tańczył wzorowo, śpiewał, mówił po francusku, po angielsku i po niemiecku; zdolności jego podziwiali wszyscy, wogóle uchodził za fenomenalnego młodzieńca i wrócono mu wielką a znakomitą przyszłość. Zdał egzamin z odznaczeniem. Anglik, przyjechawszy do Dorpatu, zawierał znajomości z całą arystokracją ówczesną w Dorpacie, stanowiącą „High-life“ tamtejsze, więc z Liphardami, Mantejflami, Siewersami etc., a zarazem i ze światem naukowym, począwszy od kuratora. Najściślej atoli była przyjaźń jego z prof. Chrystyanem Nene; ten się uczył od niego rozmawiać po nowogrecku. Umieściwszy swego ucznia i pupila na uniwersytecie, jako słuchacza dyplomacyi i poleciwszy go opiece kilku domów arystokratycznych, odjechał. Istniały rozmaite domysły o młodym Żółcińskim, przypuszczano, czy słusznie?, że to jest syn z nieprawego łoża hr. Branickiego, właściciela Białej Cerkwi, że on się nim opiekuje i łoży na jego wychowanie; domysły takie istniały nietylko wśród studentów, lecz także i pomiędzy Niemcami. Aleksander Żółciński stronił od Polaków, natomiast przystał do arystokracji burszowskiej, noszącej już wtedy nazwę „Bałtyki“; przyjmowany po domach arystokratycznych, bywał na balach, zabawach, był admiirowany i wszędzie dobrze widziany. Burszerya niemiecka wywarła wpływ zgubny na Żółcińskiego, pijatyka, rozpusta płciowa, a w następstwie choroby, zniszczyły organizm tyle obiecującego młodego człowieka. Już w czasie pierwszego roku swoich studyów miał kilkanaście tysięcy rubli długu. Dano o tem znać do Białej Cerkwi, dług zapłacono, lecz zarazem oznajmiono, że dalszych długów płacić nie będą, kredyt tedy upadł, przyczem zgodzono studenta kameralii i dyplomacyi, Jana Eysymunta, z grodzieńskiego rodem, ażeby wziął Żółcińskiego pod swoją opiekę i dozór. Pieniądze przysyłano na ręce dozorczy, a ten nie odstępował pupila ani na krok, wodził go na wykłady, spacerował razem, uczył, woził na wakacje, a na każdą noc odbierał ubranie i kładł przy sobie. Lecz, niestety, i taka opieka nic już pomódz nie mogła, bo nietylko fizycznie, lecz i moralnie zwyrodniał, stał się alkoholikiem ze wszystkimi przywarami takiego stanu, więc zastawiał odzież swoją, byleby tylko mózdz zadość uczynić nałogowi. Eysymunt doprowadzić umiał do tego, że Żółciński zdał ostatecznie egzamin poczem odwiózł go do Białej Cerkwi.

Właśnie wtedy, gdym się był przeniósł na mieszkanie do oficyny w sąsiedztwie Sankiewicza, Eysymunt zajmował obok mnie dwa pokoje, gdzie trzymał, jak w więzieniu, swego pupila.

Widziałem parę razy tego ostatniego, wymykającego się z pod dozoru, w bieliźnie, okrytego kołdrą albo pledem, by w ten sposób dostać się do szynku po wódkę, bez której już istnieć nie mógł. Przykład taki, widziany na własne oczy, podziałał skutecznie, bo jakkolwiek nie miałem już z natury żadnej skłonności do napojów wysokowych, lecz odtąd postanowiłem unikać wszelkich okoliczności, pociągających za sobą konieczność upicia się, a każdą taką okolicznością są t. zw. „knejpny,“ „komersy,“ czyli uczty towarzyskie. Po owej knejpie fuksowskiej, od której się byłem wywinął, zaszły dwa wypadki nieprzyjemne, a mianowicie kolega Piotr Mackiewicz, dopiero co świeżo przyjęty na uniwersytet, dobrze podchmielony, jadąc dorożką, śpiewał głośno; któryś z pedelów prosił, ażeby zamilczał, on mu odpowiedział zdaniem poety nieco zmienionem: „Nur böse Menschen lieben keine Lieder“ i śpiewał dalej. Natychmiast go przyaresztowano, zaprowadzono przed rektora, a ten go kazał zamknąć do karceru na trzy dni za obrazę władzy i nieprzyzwoite zachowywanie się na ulicy. Drugi wypadek był jeszcze gorszy, podpitego młodziana J. B. zaprowadzono do domu nierządu i tu zapłacił zdrowiem za głupie orgie knejpowe.

W kółku bliższych znajomych postanowiliśmy usunąć napoje alkoholowe zupełnie z użycia, tak np. przy obchodzie imienin na przyjęcie ranne urządzaliśmy u solenizanta kakao składkowe; winszujący mianowicie przynosili pieczywo w formie olbrzymiego „wasserkringla“ i puszkę mniejszą lub większą kakao, gospodarz dawał do tego mleko i cukier — po takiej uczcie rannej zbierano się u kolegów zamożniejszych na herbatę wieczorną; biedniejsi solenizanci byli zapraszani na herbatę do któregośkolwiek z kolegów zamożniejszych.

Takimi były pierwsze nasze kroki w zakresie sanacyi stosunków towarzyskich; jako fuksy, nie śmieliśmy występować oficjalnie przeciw tradycjom i zwyczajom burszowskiemu, zresztą do naszego kółka należało ich bardzo niewiele. Jak trudna była propaganda, wykaże fakt, że jeden z najbliższych mi kolegów, Jan Nieszkowski, nie dawał się namówić do trzeźwości, to samo i Sankiewicz, który traktował tę całą sprawę dosyć obojętnie, a już nie mówię o starszych burszach, stojących niezłomnie przy knejpach, jako jedynym sposobie urządzania zebrań towarzyskich.

Ażeby dać wyobrażenie o takiej „knejpie,“ opiszę jedną z nich, na której byłem zmuszony stanąć osobiście. Towarzystwo, zwane „Ogół,“ urządzało uroczyste pożegnania dla bardzo lubianego i szanowanego członka, d-ra Feliksa Głogowskiego;

zebranie wyznaczono w Weisseurosie, w sali austeryi, w pobliżu miasta na trakcie ryskim. Gdy się zebrała publiczność, postawiono przekąski zimne wraz z likierami mocnymi i różnymi gatunkami wódek, było to preludyum do knejpy właściwej, ale już i przy okazji tych przekąsek humory się podnosiły do stopnia wrzenia, bo kieliszki nie próżnowały. Na dany znak gospodarza ucztę, uprzątnięto stoły, ustawiono szklanki i fuksy wnieśli wazy duże nalane dymiącym ponczem; poncz preparował się w ten sposób, że na daną ilość butelek wina białego albo szampana dolewano tyle a tyle butelek araku, do płynu dodawano cukier, pomarańcze krajane w kostki i inne jeszcze ingrediencye wonne. Gdy fuksy napełnili szklanki, gospodarz stanął u końca długiego stołu, mając po prawej swej stronie solenizanta ucztowego, dał znak, ażeby zajęto miejsca i rozpoczął krótką przemowę, objaśniającą powód obenego zebrania, następnie zaintonował pieśń: „Cześć polskiej ziemi, cześć, ojczyźnie naszej cześć,“ wszyscy powstali i stojąco śpiewali wszystkie strofy jedna za drugą. Ostatnia strofa przysięgi wywołała entuzjazm powszechny, powtórzono ją i zawołano „Eks“ (ex), co miało oznaczać, że każdy uczestnik ucztę wychylić powinien swą szklanekę duszkiem, aż do kropli ostatniej. Gdyby ktokolwiek śmiał nie usłuchać rozkazu, groziłaby kara wylania szklanki za kołnierz i drwiny całego towarzystwa. Po opróżnieniu szklanek natychmiast nalewano je znowu. Do siedzącego obok gospodarza d-ra Głogowskiego zwrócono się ze śpiewem „Ecce quam bonum, bonum et jucundum, habitare fratres, fratres in unum,“ nastąpiło „Gläserklingen,“ a następnie d-r Głogowski zaintonował pieśń „Po świata cudzego szerokich ziemicach“ — śpiewano chórem i znów przy końcu zagrzmiął rozkaz „Eks“ i tak szło koleją, im więcej wypijano, tem bardziej krzyczano, szczególnie wtedy, gdy kto zaintonował jakąś piosnkę burszowską, jak np. „Dzisiaj w brzuchu moim kiełbasa siedzi, gorącego ponczu szklanek sześć,“ albo „Dzielny bursz.“ Im dalej, tem huczniej; już eksy bywają spijane pomiędzy sąsiadami, przy założonych rękach obu pijących, a po opróżnieniu szklanek wrzeszczą sekundanci takiego pojedynku: „Wypił, wypił, nic nie zostawił, Bodaj go, bodaj, Bóg błogosławił.“ Nieporządek panuje przy stole, gwar, śmiechy, spory, napróżno nawołuje gospodarz do porządku, zresztą już cała ilość preparowanego ponczu pochłonięta, więc pauza, zanim „Gliwejn“ będzie gotów („Gliwejn“ — była to mieszanina rumu z winem czerwonym). Zwolnieni od stołu rozpraszają się uczestnicy przed austeryą pomiędzy drzewami małego zagajenia. Tu od gościńca nadjeżdżają kozacy i stają przed

austeryą. Ja, Nieszkowski i kilku jeszcze innych, namawiamy kozaków, ażeby nam wynajęli konie na jakie pół godziny, traktujemy wódką właścicieli koni, a ci zgadzają się. Dosiadamy wierzchowców i cwałem pędzimy ku miastu; dojechawszy, wracamy z powrotem. Kto pierwszy stanie u mety — wołają — temu wielka nagroda przyznana będzie; a jaka? — oto prawo pocałować tłustą gospodynię austeryi weissenroskiej w same jej usteczka wąsem ocienione. Za taką nagrodę warto kark skręcić — krzyczą, a smagając nahajami kozackimi boki koni, pędzimy, jak te tylko wyskoczyć mogą przed siebie, nie zwracając wcale uwagi na to, co się dzieje dokoła. W pół drogi był mostek, otoczony rowami z obu stron, tam się ukryło kilku kolegów, mając na czele Ignacego Ulanowskiego, który urządził zasadzkę. W chwili, gdyśmy już byli blisko mostu, a rowy nie pozwalały na ominięcie zasadzki, wypadli zaczajeni, a krzycząc i wywijając almawiwami, starali się spłoszyć konie; na szczęście nasze, konie kozackie, które prawdopodobnie już nieraz były wobec nieprzyjaciela, nie wstrzymały biegu, nie rzuciły się w bok, lecz poszły nieustraszenie na krzyczących i uniosły nas szczęśliwie do mety. W taki sposób ocaleni, powitani zostaliśmy jako zwycięzcy.

Po słusznym odpoczynku zawołano znowu do pracy, postawiono na stół znowu przekąski z wódką, a po nich wniesiono wazy dymiące, czyli bole, z gliwejnem, zajęto miejsca, nastąpiły znowu śpiewy chóralne, picie niepomierne, zmuszanie do eksów jeszcze natarczywsze, tak, że ostatecznie mnie, com nie przywykł do alkoholu, zemgliło i straciłem przytomność. Co mówiłem, co robiłem, tegom sobie nazajutrz przypomnieć nie mógł. Odniesiono mnie prawie bez czucia do najbliższego pomieszczenia studentów, tam ułożono na kanapie; byłem nieprzytomny do rana. Przebudziwszy się, czułem, że jestem chory: ból głowy, ziębienie, niesmak, słabość ogólna trwały do wieczora. Gdy wróciłem do mieszkania, Sankiewicz oznajmił, że mam dwa wyzwania na pojedynek: ze strony Nieszkowskiego i Dautera; pierwszego miałem obrazić, nazywając go blagierem, drugiego oblałem szklanką gliweju, gdy podszedł do mnie, ażeby pić „Bruderschaft.“ Z Nieszkowskim, z którym byłem stale w najprzyjaźniejszych stosunkach, załagodziłem sprawę pokojowo, lecz Dauter, mocno obrażony, pragnął zemsty krwawej, musiałem przyjąć wyzwanie i stanąć mu na cel; strzelił, lecz nie trafił. Sankiewicz, który był „flikierem,“ czyli chirurgiem, obecnym przy pojedynku, o wiele później pod sekretem mi zakomunikował, że nie kładziono kul do pistoletów przy naszym pojedynku.

Pierwszy i ostatni raz w życiu zostałem upojony, odtąd zaprzestałem uczęszczać na knajpy. Dziwne było działanie alkoholu na mój organizm: świadomość straciłem raptownie, a tem samem pamięć o czynnościach swoich. Nieszkowski powiadał, że robiłem wrażenie najzupełniej przytomnego człowieka, śpiewałem pieśń pożegnalną „Bracia w obcej krainie, ojczysty wznieśmy śpiew,“ uściskałem czule d-ra Głogowskiego i dopiero potem raptownie osunąłem się bezwładny na ziemię, jakby na wół martwy. Jak mi nie połamano kości, gdy koledzy pijani, sami potykając się i padając, wlekli mnie do miasta — to prawie cudem nazwać można.

Zastanawiając się nad tem, jaką przyjemność mogą mieć ludzie w picciu nad miarę, ryczeniu po pijanemu, by chorować nazajutrz, nigdy tego pojąć nie mogłem, a jednak Niemcy uznają knajpy za szczyt szczęśliwości burszowskiej; Polacy skutkiem naśladownictwa zwyczaj tak naganny przejęli od Niemców i trzymają się go, jak pijani płotu. Ile starań szczerych z naszej strony spełzło na niczem, gdyśmy pragnęli przekonać, że knajpy są barbarzyństwem średniowiecznem, że ludzie doby obecnej, kulturalnej rozstać się z takimi zwyczajami powinni. Nasze wołania były głosem na puszczy; jak groch od ściany odbijały się od przekonania burszowskich i dzisiaj jeszcze, po 50 latach postępu kultury, dorpatczanie Polacy trwają przy zwyczajach barbarzyństwa średniowiecznego — taką jest siła zwyczajów, taką jest moc tradycji.

Oprócz ogólnych zebrań towarzyskich, mających na celu wytworzenie spójni pomiędzy Polakami, odbywały się zebrania, zwane konwentami, na takie zgromadzenia zapraszano nietylko członków towarzystwa „Ogółem“ zwanego, lecz także inne osoby, stojące poza towarzystwem. Takie zebrania były rzadko zwoływane, a odbywały się w tajemnicy przed władzą uniwersytecką, która nie pozwalała na nie, gdyż wówczas surowo prześladowano wszelkie zbiorowe czynności młodzieży; na zebrania wieczorne, składające się z sześciu osób, trzeba było uzyskiwać pozwolenie rektora i każdego razu umotywować powód takiego zebrania. Knajpy i pijatyki były tolerowane, ale poza tem wszystko inne wzbронione i prześladowane. Gdy konwent zwoływano, starano się wybierać lokal oddalony od środka miasta, opatrzone kilkoma wejściami, schodzono się ostrożnie pojedynczo, na ulicach prowadzących do wybranego lokalu stawiano szyldwachy z fuksów, rozstawionych w takich odległościach, ażeby mogli wyróżnić znaki umówione dla sygnalizowania niebezpieczeństwa zjawienia się pedela. Na konwentach toczyły się sprawy, obchodzące całą Polo-

nię.¹⁾ Za czasu panowania Mikołaja raz tylko byłem na takim tajemniczym konwencie, sądzono sprawę karcjarstwa mułów i złodziejstwa, popełnionego przez jednego z przyjezdnych, który przybył pod pozorem, że ma wstąpić do uniwersytetu.

Po śmierci Mikołaja nastąpiła era wolniejsza, zbierano się częściej i wtedy zrodziła się myśl opracowania statutów dla towarzystwa i już na mocy tych statutów uformować miano nowe towarzystwo. Tak powstał nowy Ogół. Autorami, a zarazem kodyfikatorami statutów owych byli prawnicy z Korony, zaś ich sekretarzem Nieszkowski, ten ostatni brał gorący udział w pracach komisji statutowej. Poza Ogółem istniały rozmaite koła i kółka. Utworzone z ludzi, nie czujących potrzeby jakiegokolwiek bądź organizacyi społecznej, do tych kół należeli prawie wyłącznie t. zw. Litwini, czyli Polacy rodem z Litwy; prawdziwych Litwinów, uznających siebie za coś odmiennego od Polaków, mówiących po żmudzku, nie było wtedy wcale w Dorpacie, dopiero później przybyło kilku Żmudzinów z Petersburga i Moskwy, przynosząc ze sobą zarzewie waśni narodowościowych. Oni to wypowiedzieli dziwaczne żądania, ażeby Polacy, mieszkający na Litwie, albo się przekształcili na Żmudzinów, albo się wynieśli stamtąd precz; najpociesniejszą rzeczą było to, że jeden z najzaciętszych Żmudzinów mówić po żmudzku nie umiał. Z owej daty pochodzi wierszyk następujący:

Dawniej Żmuda wierzył w cuda,
Pana Boga chwalił,
A jak wiechy, dla pociechy
Krzyże jemu stawił.
Dziś nie wierzy w nietoperzy,
Cudu jednak pragnie,

By z Polaka, nieboraka,
Żmudę wykuć snadnie.
Nie, Żmudeczku-kochaneczku,
Cud się ten nie stanie,
Bo kultura-konfitura
Droga, jak kochanie.

Towarzystwo polskie Ogół, z racyi separatystycznych tendencyj Polaków litewskich, nie mogło skupić ogółu, siła ciężenia odśrodkowego była w owych czasach silniejszą od dośrodkowego.

¹⁾ Brat mój, Emil, opowiadał, że pewnego razu zwołano konwent, na propozycję dosyć licznego odłamu Polonii w celu usunięcia pojedynków. Referował w tej sprawie Natanson Jakób. W podniosłych wyrazach malował całe zło, wynikające z pojedynków. W chwili, gdy oświadczył, że przelewamy krew niepotrzebnie, że lepiej ją zachować na cele szlachetniejsze, zawołał Sankowicz: „tak na mace, na Wielkanoc.“ Natanson zamilkł raptownie i partya, wotująca za pojedynkiem, zwyciężyła.

Każde koło pragnęło żyć według własnej modły, nie krępowane żadnymi statutami. O tych kołach ówczesnych tu słów parę.

Rozpoczynam od koła arystokratycznego, „Fryczarnią“ zwanego, do niego należeli słuchacze dyplomacyi i komercyi, o których prof. Asmuss powiadał, że „Schorne“ zaliczają do kategorii minerałów, zaś z astronomii znają tylko „Bruststerne“; byli to uczniowie prof. Eberharda Frieländera, mieszkali w domu zajmowanym przez niego, a ponieważ profesora zwano „Fritschem,“ stąd jego uczniów nazywano „Fryczarzami.“ Sam profesor był to oryginalny człowiek, zapraszał uczniów swoich na herbatki dyplomatyczne, przy których traktował ich cygarami, a podając paczkę całą, powiadał każdemu: „Sie rauchen nicht,“ dyplomaci oświadczali kolejno, że nie palą i cała paczka wracała do pudełka nietkniętą. Nawet po wyjeździe prof. Frieländera z Dorpatu, nazwa kółka nie została zmienioną, do niego garnęli się studenci, lubiący elegancję w ubiorach, zdobili szyję wysokimi kołnierzykami, sztywnymi, podpierającymi uszy, które to kołnierzyki w żargonie studenckim nosiły nazwę „Vatermörderów“; wywieszali nadto złote dewizy z brelokami na zewnątrz zapiętego na wszystkie guziki munduru. Nosili płaszcze uniformowe z peleryną, czapki kroju moskiewskiego z fiszbinami wewnątrz, służącymi do podtrzymywania „blina“ w położeniu „kazionnem.“ Elegancja taka była śmieszną wprawdzie, ale nie zasługiwała na takie szykany, na jakie była wystawiona. Do Fryczarzów należeli: Rossman Henryk z Królestwa, Bienisławski Edward z Witebskiego, Laski Władysław, Czarnocki Gracyan, Grochowski Hilary, a z młodszych Kruszewski, Brzeziński. Fryczarnia stała zdala od Polonii, nie brała udziału w życiu koleżeńskim.

Drugie wręcz przeciwnego charakteru koło stanowiła t. zw. „Chmielkarnia“; gdy Fryczarze występowali na zewnątrz zawsze „korrekt,“ zawsze elegancko, byli w zgodzie z przepisami uniwersyteckimi, to Chmielkarnia natomiast pozowała na abnegację, wykazywała pogardę dla wszystkich przepisów i żyła w ciągłej niezgodzie z pedelami. Do Chmielkarzy należeli: Hrehorowiczowie Władysław i Aleksander, Mitarnawski Aleksander, Wołodźko Henryk i wielu innych. Nazwa Chmielkarzy pochodziła od miana właściciela domu Chmielk'a; dom ten cały służył, jako przytułek, wszystkim „bezdomnym,“ nie mającym na razie środków do wynajęcia mieszkania, często bywał tu taki natłok, jak w zajeździe podczas jarmarku. Chmielkarnia cieszyła się niezbyt pochlebną opinią; tu grywano w karty, upijano się, oddawano się rozpuście. Zarzucano Chmielkarzom, że wciągają do swego towarzystwa mu-

łów, ażeby ich ogrywać, że sami próżnują i przyuczają do próżnowania młodzież przyjeżdżną, że dopuszczają się skandalów ulicznych i przyczyniają się do wytworzenia złej opinii o Polakach. Że te zarzuty były słuszne, świadczyły fakty, które spowodowały wykreślenie pewnej ilości Chmielkarzy z listy studentów i usunięcie kilku mułów Polaków z miasta. Po tej akcji ze strony uniwersytetu, znaczenie Chmielkarni upadło.

Trzecie koło stanowili tak zwani „Boguślarze“ od nazwy trzech braci Bogusławskich, mieszkających w jednym hotelu, a przy nich i wraz z nimi mieszkających kilku Litwinów-Polaków; tutaj, jak i w Chmielkarni, zbierali się wszyscy bezdomni, to też podwoje, tak we dnie, jak i w nocy, stały zawsze otworem, każdy, kto przyszedł w nocy, a znalazł wolne miejsce na kanapie lub krzesłach, układał się do snu; wstawszy z rana, zasiadał do śniadania, wprawdzie spartańskiego, składającego się z herbaty z mlekiem, lecz bez cukru i z „brykała,“ lecz zawsze gościnnego. Ci, którzy obiadu nie mieli, przychodzili do wspólnego stołu i zawsze znalazło się cośkolwiek na głodny żąb, chociażby grzanka, smażona na łożu. Boguślarnia służyła do wszystkiego, na dziedzińcu i w dużym ogrodzie uczono się strzelać z pistoletów i karabinów małymi nabojami, dla uniknięcia wizyt pedela, tam też była urządzona arena gimnastyczna. Wieczorami, gdy się kto chciał zabawić w karty, w domino, w szachy, znalazł zawsze gotowych partnerów, urządzano tutaj także koncerty na instrumentach dętych i rżniętych, przy akompaniamencie najmowanego fortepianu, a także deklamowano lub też czytano głośno utwory dramatyczne i poetyczne lub tylko opisowe autorów miejscowych, utwory wcale nie wybredne, lecz cieszące się uznaniem, bo dotyczyły albo spraw bieżących, albo osób znanych; bywały tu nawet przedstawienia teatralne jedno lub dwuosobowe. Marek Uźłowski występował tu w roli bądź duchownego kaznodzieja, bądź też mówcy sejmowego, przedstawiał ks. Szantyra, gromiącego kalwinów z ambony fary słuckiej, albo ks. Skargę, przepowiadającego upadek Polski, wraże jeżeli jezuici nie będą tu panami wszechwładnymi. Bronił w prześwietnych mowach „Liberum veto“ szlacheckie. Improwizował przemówienia wodzów do wojska, królów do narodu. Umiał w każdej chwili improwizować na każdy dany temat, byleby tylko znalazł chętnych słuchaczy, był to jeden z ostatnich przedstawicieli typu Pasków i gawędziarzy. Ironia, sarkazm i komizm mieszały się wspólnie w jego improwizacjach. Często w swoich kazaniach gromił złe zwyczaje studentkie, ale czynił to zawsze pod postacią alegoryczną. Sama postać

Marka była oryginalną, wysoki blondyn, oczy blado-niebieskie, rzęsy i brwi koloru jasno-słomkowego, zarostu prawie żadnego, włosy wiecznie w nieładzie, ręce w ciągłym ruchu wydawały się nadmiernie długie. Ubiór najzupełniej zaniedbany, za płaszcz zimną i latem służyło mu okrycie ceratowe, dodajmy do tego buty wykoszlawione i czapkę nigdy nie czyszczoneą, a będziemy mieli postać nędzarza prawdziwego; u miejscowej ludności rosyjskiej znany był Marek pod mianem „Surnawa“, t. j. upioru.

Drugą typową osobistością z rodzaju t. zw. burszów dorpackich był Henryk Świda, gawędziarz, poeta, deklamator, abnegat, również bezdomny, wiecznie bez pieniędzy, tak jak i Marek, tyle różnicy, że Henryk stał się nałogowym, jak Żeligowscy Edward i Aleksander. Na tę chorobę chroniczną zapadało wielu dorpatczanów, tak Niemców, jak i Polaków, że wspomnę tu tylko o kilku z nich. I tak Korabiewicz Michał, d-r med., rozpił się już w Dorpacie. Znany tu był trunek „Korabiewicz sznaps“, miała to być trzęsionka ze wszystkich połączonych w jednej szklance likierów i wódek, on też wprowadził w użycie tak zwanego „turka“: do kieliszka od wina szampańskiego wlewano kieliszek araku, następnie wpuszczano żółtko jajka i ponad żółtko dodawano tyle likieru różanego, aż kielich był pełny. Pijący ten specyał musiał jednym haustem wychylić całą porcyę; niektórzy dochodzili do tej perfekcyi, że trzy porcyę „turka“ obstałowywali na raz, każda z innym likierem, trzy takie porcyę „Knikebejnem“ nazywano i rzeczywiście taka ilość alkoholu wystarczała, ażeby zgąć kolana nawet t. zw. najtęższej głowie. Korabiewicz miał metodę leczenia wszystkich chorób za pomocą alkoholu, twierdząc, że organizm przepojony alkoholem, staje się odporny na wszelkie zarazki. Ze starszych lekarzy, którzy ukończyli swe studia w Dorpacie, jedynie tylko d-r Julian Majkowski popierał akcyę abstynencyi, wszyscy inni, nie wyłączając d-ra Ignacego Baranowskiego, hołdowali i hołdują jeszcze umiarkowanemu użyciu alkoholowej trucizny. Drugi przykład rozpicia się na ławach uniwersyteckich, mamy w historii d-ra astronomii, Karola Neumanna; ten przepił w drodze, podróżując do Pekinu, nietylko znaczne sumy pieniężne, przeznaczone na drogę i na remont obserwatoryum astronomicznego w Pekinie, lecz pozostawiał, albo posprzedawał wszystkie instrumenta astronomiczne, powierzone mu do przewozu. Niestety, ilu to dorpatczanów potraciło zdrowie, ilu z nich miało zwichniętą karierę, o tem można byłoby wypisać całe tomy.

Do resztek burszeryi dorpackiej należały za moich czasów jeszcze dwie osobistości, o których wspomnieć tu muszę z powodu

ich oryginalności, obie należały do t. zw. „wiecznych studentów“ czyli studentów „permanentnych.“ Pierwszy z nich Downar Adolf, zapisany na uniwersytet w r. 1841, odkładał egzamin z roku na rok, aż dopiero odważył się przystąpić do niego w r. 1852. Gdy wyjechał nareszcie do kraju, jako d-r medycyny, w rok potem umarł na tyfus. Na zebraniach towarzyskich, zamiast intonować piosenki, udawał gdakanie kury z takim artyzmem, że wszyscy chórem pokładali się ze śmiechu, tem gdakaniem wyrażał rozmaite uczucia: gniewu, zdziwienia, przestachu, przyjacielskiej pogadanki, napominania dziatwy, wzywania jej do siebie etc. etc. Trzeba było mieć niezmiernie rozwinięty dar spostrzegawczy, do tego szczególniejszy przymiot naśladowczy a zarazem doskonały słuch i szczęśliwie rozwinięty aparat głosowy. Lecz nietylko kury umiał naśladować Downar, ale i inne ptaki domowe i dzikie. Downar był osobistością wielce sympatyczną, nieśmiały, cichy, spokojny, w sobie zamknięty, ofiarny, przyjacielski. Drugą osobistością tego typu, nazwaną „wiecznym tułaczem“ w Dorpacie, albo „Rodinem na drodze pokuty,“ był Teodor Kramer z Wileńskiego; zapisany na uniwersytet w r. 1846 nie odważał się nigdy stanąć do egzaminu, wszystkie skrypty profesorów medycyny i nauk przyrodniczych wzorowo przepisał, kazał pięknie oprawić, co roku dodawał to, co na wykładach było nowem, miał tedy w rękę cały aparat naukowy, znał wszystko to dokładnie, nawet mógł każdej chwili wskazać, na której stronicy są zapisane dowcipy np. prof. Kärntza, Adelmiana, Erdmana etc., a wszakże odkładał z roku na rok egzamin, nawet części pierwszej, czyli t. zw. „filozofikum,“ nie zdał; tak trwało aż do roku 1863, co się z nim następnie stało, nie wiem. Sama osobistość Kramera była oryginalna, ubierał się w kolorowe kamizelki, barwne krawaty, występując już jako filister (tem mianem nazywano tych, co już swe studia ukończyli). Latem przywdziewał białe buciki z granatowymi kamaszami, nankinowe żółte spodnie, pstrokatą kamizelkę, różowy krawat, cielistego koloru żakiet, kapelusz słomkowy żółtawy z zieloną wstęgą. Nazywano go także tęczę, ponieważ często w ubraniu jego można było wyróżnić wszystkie kolory tęczy. Całe dni pracował nad skryptami, albo też wspólnie z jednym z gotujących się do egzaminu czytał swoje skrypta; szereg kolegów, których przygotowywał do egzaminu, kończyli studia, on pozostawał, ażeby nigdy nie kończyć. Takich maniaków-tchórzów przed egzaminami było i więcej w Dorpacie, tak np. Bernstein z Warszawy, Majewski z Białorusi, obadwaj medycy, ale byli i teologowie. Takich tchó-

rzów mieliśmy zarówno wśród Polaków, jak i wśród Niemców, zwano ich „trementami.“

W Dorpacie nie było teatru, wzbronione były przedstawienia teatralne przez władze; od czasu do czasu uzyskiwano pozwolenie na przedstawienia amatorskie, ale i tu wybór sztuki musiał podlegać podwójnej cenzurze—uniwersyteckiej i policyjnej; dramat, tragedia były wyłączone, a z komedyj dozwolone tylko takie, które nie wystawiały „na śmiech“ żadnej warstwy społecznej; orkiestry miejskiej nie było, na koncerty przyjeżdżali artyści soliści. Bawili tu Kątski skrzypek, Wieniawscy, panny Nerudy. Aula uniwersytecka służyła za salę koncertową. Pedele pełnili służbę policyjną, a studenci dostarczali głównego kontygentu słuchaczy. Kątskiemu Polacy urządzili ucztę uroczystą, na której i fetowany i fetujący spili się należycie, Kątskiego niesiono tryumfalnie na barkach, bo sam już iść nie mógł i ze śpiewami zaniesiono do pałacu Bulharyna na Karlowej za miastem. Opowiadało, bo sam nie byłem tego świadkiem, jak studenci wyprzęgali konie u pojazdów pięknych koncertantek i ciągnęły pojazd sami przy śpiewach i innych oznakach zachwyty, jak następnie urządzano serenady pod oknami hotelu, w którym mieszkały, jak w dalszej kolei powstawały właśnie pomiędzy starającymi się o względy nadobnych artystek, a skutkiem tych starań powstawały różne skandaliczne awantury, iż nareszcie poważnionych uspakajał karcer, zaś panie w towarzystwie i pod ochroną policyi wyprawione były do Rygi przez stację Udern.

Nie mając żadnych rozrywek szlachetniejszej natury, młodzież brnęła w nieszlachetnych; to było jedną z wielkich wad życia dorpackiego, a zarazem źródło znieprawienia umysłów i fizycznego rozstroju organizmów.

Co do naukowej strony, to każdy, kto uczyć się pragnął, miał środki ku temu. Pierwszem naszym staraniem po zapisaniu się na lekcye, było wybranie miejsca dla siebie w audytorjach, pośpieszyliśmy wyrznąć na ławkach datę wraz z inicjałami nazwisk naszych, co było oznaką nabycia prawa posiadania miejsca na semestr bieżący; zajęci wyrzynaniem liter na ławce w pięknej rotundzie gabinetu anatomicznego, stojącego w malowniczym otoczeniu parku zwanego „Domgarten,“ zrobiliśmy bardzo ważną dla nas znajomość z asystentem i preparatorem, profesorem później, d-rem Ernestem Reissnerem, uzyskaliśmy od niego pozwolenie przychodzić do gabinetu przygotowywać się na lekcye profesora Karola Bogusława Reicherta, którego straciliśmy wkrótce z wielką dla nas szkodą. Reichert, ubóstwiany przez młodzież,

wykładał anatomię wielce zajmująco; nawiązując budowę np. kości u dorosłego osobnika z ich początkową budową u embryonów, uczył nas jednocześnie i historii rozwoju. Od słuchaczy wymagał uwagi i przygotowania, w trakcie wykładu egzaminował ze wszystkiego, co już uprzednio objaśnił i wstyd było nie dać odpowiedzi dokładnej. Niektórzy z niemieckich słuchaczy krzywili się na tego rodzaju postępowanie profesora, ale milczeli, bo większość uznawała takie pytania za rzecz pożyteczną. Reichert uznawał za konieczność studia anatomiczne dla wszystkich w ogólności ludzi kulturalnych, jest to nauka najpiękniejsza ze wszystkich nauk, powiadał, kto nie zna anatomii swego własnego ciała, kto nie potrafi porównywać budowy własnej z budową różnych zwierząt — ten jest nieukiem, chociażby znał wszystkie systemy filozoficzne i cały balast historyczny miał w swej pamięci. Zapisał do nauki anatomii profesora ogarniał i nas, słuchających jego wykładów. Do przyszłych medyków odzywał się takimi zdaniem: „Powinniście znać anatomię, jak pacierz, gdyby was zbudowano w nocy i zapytano z jakich kości składa się napięstek, powinniście natychmiast wymienić po kolei wszystkie kości. I tak: os naviculare, os lunatum, os triquetrum, os pesitorme, os multanculum majos, os multanculum minus, os capitatum, os hamatum. Zamiast dat historycznych, powinniście pamiętać liczby anatomiczne, mianowicie, że wszystkich kości w szkieletcie ludzkim jest 226, z tych w głowie 29, w tułowie 51, w górnych kończynach 74 w dolnych 72.“ Często kazał przynosić odnóża konia i porównywał z kończynami człowieka. Wogóle wykłady anatomii Reicherta uważaliśmy za najprzyjemniejsze z pomiędzy innych. Gdyśmy przyszli z Nieszkowskim, ażeby się podpisał na naszych t. zw. „Belegbogen'ach,“ zapytał, czyśmy Polacy, gdyśmy potwierdzili jego pytanie, odrzekł: „I ja jestem przez pół Polakiem, moja matka Polka, a moje drugie imię jest polskie Bogislaus, wszak to Bogusław.“ Cieszyliśmy się z tego, że mamy przed sobą człowieka, który się szczyci tem, że jest przez pół Polakiem, wtedy gdy inni Niemcy nawet pochodzący z rodziny polskiej, jak Gawrońscy np., negowali w sobie wszelką polskość.

Niekiedy wpadał w nastrój sentymentalny, raz zapytał, czy chcemy wiedzieć w jaki sposób „bin ich gross geworden?“ oto dlatego, że się ożenił i znalazł w swojej małżonce „die zweite Hälfte des menschlichen Ich.“ Tak, panowie, człowiek nie żonaty to połowa człowieka „ein Halbmensch.“ Wesołość na wszystkich twarzach, albo nawet śmiech z trudnością powstrzymywany towarzyszył tym szczerym wywnętrzaniom się profesora. Wszyst-

kich swoich słuchaczy znał i nazwiska ich pamiętał; egzaminując, zwracał się do pytanego, wymieniając jego nazwisko, mnie nazywał Dibowsky a Nieszkowskiego Niskowszy.

Niedługo wszakże cieszyliśmy się jego wykładami, powołany do Wrocławia opuścił Dorpat. Polacy ofiarowali mu na pamiątkę srebrny puchar z napisami, ale że w owych czasach były surowo wzbronione wszelkie tego rodzaju okazywania czci i hołdu, nie można więc było aktu doręczenia wykonać publicznie, bo za to czekała kara, to też delegaci wyjechali aż do pierwszej stacyi za miasto, ażeby potajemnie złożyć hołd uznania i oddać profesorowi pamiątkę. Doniesiono jednak władzy o tem uczczeniu odjeżdżającego profesora, więc długi czas obawiano się skutków tego doniesienia. Na szczęście władze uniwersyteckie nie zrobiły użytku z wiadomości, może dlatego, że wszystkie korporacye niemieckie uczyły także rozmaitemi pamiątkami odjeżdżającego.

Wykłady anatomii przeszły następnie w ręce Reissnera; był to człowiek zacności wielkiej, ale wykłady jego były suche, monotonne.

Drugi profesor, z którym zawiązaliśmy już zaraz na wstępie bliższe stosunki, był prof. dr. Edward Grube, ożeniony z Polką z Warszawy, p. Schäfer, której matka pisała swoje nazwisko po polsku „Szefer“ i nie umiała wcale po niemiecku. Grube sympatyzował z Polakami, przyjmował ich u siebie, tak np. magister zoologii Gorski Konstanty kształcił się pod nim i był w najzżywszych stosunkach z rodziną Grube'go, inni Polacy, jak Gustaw Rupniewski, pracowali już w gabinecie, to też gdyśmy przyszli z Nieszkowskim prosić go o pozwolenie przygotowywania się do lekcji w gabinecie, zezwolił na to z uprzejmością niezwykłą u Niemców. Odtąd mieliśmy dużo pracy, tak, że całe dnie byliśmy zajęci. O innych profesorach wspomnę tylko, że jakkolwiek należeli do znakomitości europejskich, jak Bunge, Schmidt, Bidder, Käntz, lecz nie mogli wpłynąć na zmianę już obranego kierunku zajęć naszych.

Gabinet zoologiczny był stosunkowo bardzo ubogi, zwierząt ssących kilkanaście okazów, pomiędzy którymi było kilka sztuk przywiezionych z Wilna po skasowaniu uniwersytetu, wypchane zwierzęta wyglądały nędznie, ptaków było więcej, inne działy miały niewielu przedstawicieli. Dwie małe sale stanowiły całość gabinetu, tu były i pracownie, które mieściły się około dwóch niewielkich stolików, stojących pod dwoma oknami, przy trzecim stoliku pracował sam profesor, ciasnota była wielka; zajmując się w gabinecie, nie mieliśmy nawet stołków ani krzeseł, a książki

rozkładaliśmy na gablotach. Pracowało wtedy kilku Niemców lekarzy, oraz kilku już ukończonych kandydatów zoologii, z nimi nas zapoznał Grube, a ci zaproponowali, abyśmy się zapisali do towarzystwa naturalistów na uniwersytecie i brali udział w zebraniach i pogadankach. Zaznajomiwszy się ze zbiorami i widząc, że nawet gatunków ryb pospolitych brak w gabinecie, zaproponowałem, że sam podejmę się dostarczenia tych gatunków, byle tylko gabinet dał naczynia do ich umieszczenia, okazało się jednak, że i naczyni szklanych niema ani w gabinecie, ani w mieście, więc zanim je sprowadzą będę je układał w blaszance. Rozpocząłem tedy pracę celową, poświęconą badaniom ryb i pasożytów, żyjących na ich skrzelach.

W czasie zajęć przygotowawczych do egzaminu widywałem Peltsana bardzo rzadko, dopiero po imatrykulacji postanowiłem zająć się nauką preparowania skórek ptasich i sporządzania szkieletów, udałem się więc do pracowni kustosa gabinetu i preparatora Iwanowa, ażeby się przypatrzeć wypychaniu, i tu postanowiłem porozumieć się z Peltsanem względem przyrzeczonej nauki. Mogłem się nią zajmować tylko wieczorami, bo całe dnie miałem zajęte wykładami. Peltsan uczył mnie za wynagrodzenie pieniężne, przyczem zaznajomił mnie z Zejslem i jego rodziną, poznałem więc towarzystwo niższych sfer mieszczaństwa dorpackiego. Rodzina cała Zejsla należała do sekty Hernhutów, o których powiadano w Dorpacie, że składa się z najuczciwszych ludzi. Hernhutry mieli swoją świątynię, zbierali się tam na nabożeństwa bardzo skromne, śpiewano psalmy przy akompaniamencie trąby i całe dnie świąteczne przepędzano na czytaniu biblii. Starsi w rodzinie Zejsla i ich znajomi nie otrzymali wykształcenia, umieli wprawdzie czytać i pisać, ale czytali tylko książki nabożne, natomiast młodsze pokolenie było wykształcone, dziewczęta ukończyły pensjonaty, młodzież męska wychowywała się po rozmaitych zakładach przemysłowych i rzemieślniczych, jednak wobec starszego pokolenia, ciemnego i fanatycznego, zachowywała milczenie pełne uszanowania dla poglądów swoich ojców i matek. Parę razy byłem na rodzinnych zebraniach w domu Zejsla, poznałem ową „braüt“, była to czulhonko-niemka, młoda, pulchna i nieco gąskowata, a że za młodu i prosię ładne, przeto za ładną uchodzić mogła. Ale zato jej przyjaciółka Iza Gölström, córka krawca, była w całym znaczeniu piękną, a do tego miłą, rozmowną, czytana i lubiącą się pochwalić erudycją swoją: miała już narzeczonego, jakiegoś studenta Niemca, który, jak się później okazało, uwiódł ją i porzucił. Poznałem tu jeszcze parę dziewcząt

i kilku młodych rzemieślników, nie lubiących studentów i trzymających się zdala od nich, w bliższą nawet pogawędkę trudno ich było wciągnąć. Sam gospodarz handlował rybami i od niego dowiedziałem się wiele ciekawych szczegółów, pozwalał mi codziennie przepatrywać okazy i badać je ze względu na pasożyty. Towarzystwo tej średniej burżuazyi nie miało nic pociągającego, wiało od niego taką średniowieczyzną, że następnie zaniechałem wizyt.

Pewnego dnia, po godzinie wykładów, gdyśmy przyszli do gabinetu, prof. Grube zbliżył się do nas i oświadczył, że co tydzień bywają u niego zebrania towarzyskie, więc prosi nas, ażebyśmy przybyli dzisiaj wieczorem, a następnie, jeżeli czas pozwalając będzie, odwiedzali go co tydzień. Podziękowawszy mu za zaszczyt takiego zaproszenia, wybraliśmy się wieczorem, przybrawszy się odświeżnie. Prof. Grube, ożeniwszy się z majątną osobą, sam posiadający dość znaczną posiadłość ziemską, w której gospodarował brat jego, ożeniony z siostrą rodzoną żony, żył dosyć wystawnie, na co dochody innych profesorów nie wystarczały, najmował piękny lokal, urządzenie w salonie i innych pokojach było eleganckie, usługa męska. Gdyśmy przybyli o godzinie siódmej, zastaliśmy już część gości zebranych w salonie, z profesorów był Asmuss Herman, Schmidt Karol, Bidder Frydryk, z ukończonych studentów Strauch Aleksander, a ze studentów Rupniewski Gustaw, Flor. v. Wahl. Prof. Grube przedstawił nas swej małżonce p. Józefinie. Była to kobieta młoda cudnej urody, wspaniałej postawy, o niezmiernie sympatycznej twarzy i układzie czystej krwi warszawianki, brunetka z bujnym, hebanowym włosom, oczami dużemi czarnemi, ocienionemi długimi rzęsami i ślicznie zarysowanemi czarnemi brwiami. Spojrzawszy na nią, przypomniałem sobie p. Giżylińską, ową piękność mińską, według wzoru której wytworzył się w mej dziecięcej wyobraźni ideał pięknej kobiety. Ręka, którą nam podała przy powitaniu, była klasycznie piękną, przemówiła do nas po polsku, akurat w tę samą nutę trafiając, jaką kiedyś p. Giżylińska wywołała łzy w moich oczach, mówiła, że będąc oddaleni od ogniska rodzinnego, tu, wśród obcych, może nam będzie przyjemnie odwiedzać dom, który jest przez pół polski. „Mąż mój—rzekła—jakkolwiek sam nie mówi po polsku, lecz rozumie ten język, on lubi przysłuchiwać się polskiej rozmowie, proszę uważać nasz dom za polski.“ Po tej przemowie, gdyśmy ucałowali jej rękę, co u Niemców nie było we zwyczaju, przedstawiła nas paru Niemkom sztywnym i brzydkim, a następnie prof. Grube przedstawił nas gościom

plci męskiej. Czekano na przybycie prof. Erdmanna, ten jednak miał niezmiernie wielką praktykę w mieście, musiał zawsze spóźniać się z przybyciem. Ogólnej rozmowy nie było, bawiono się rozmową grupami, panie gawędziły pomiędzy sobą. Nareszcie oznajmiono przybycie oczekiwanego prof. Erdmanna, wykładającego terapię i zawiadującego kliniką, polikliniką i ambulatoryjną kliniką. Wraz z jego przybyciem ożywiło się towarzystwo. Był to człowiek i profesor lubiony powszechnie, żywy, mowny, zawsze wesołego usposobienia, delikatny w obejściu, serdeczny wobec uczniów, współczujący chorym: od biednych i niezamożnych nie brał żadnego wynagrodzenia za radę, nadto udzielał im darmo lekarstwa. Pomimo olbrzymiej praktyki dochody miał bardzo skromne. Przy praktyce i zajęciach na uniwersytecie i w klinikach znalazł zawsze czas śledzić rozwój literatury bieżącej i żywo interesował się zagadnieniami etycznymi, estetycznymi i filozoficznymi; brat jego, znany filozof Erdmann, przysyłał mu obszernie sprawozdania z zagranicy, dotyczące ruchu literackiego i filozoficznego. Takie listy prof. Erdmannu odczytywał na zebraniach u prof. Grube'go i właśnie dzisiaj przyniósł ostatnie sprawozdanie nadesłane mu przez brata. Osobistość Erdmanna była sympatyczna: średniego wzrostu, otyły, twarz szeroka tchnęła jakimś wyrazem dobroduszości. Gdy prof. Erdmann odpoczął nieco, przystąpiono do herbaty, do jadła i picia; gospodarz i gospodyni z wyrazem tak szczerzej gościnności zapraszali do posiłku, że nie podobna było odmawiać prośbie. Gdy prof. Grube nalewał mi do kieliszka, powiedziałem, że nie piję, na to zawołał, „a kto nie wypije, tego we dwa kije, cupu łupu, łupu cupu, tego we dwa kije.“ Rozśmieliśmy się, a ja odrzekłem, że obecnie zmieniono tę przyśpiewkę w ten sposób „a kto się upije, tego we dwa kije.“ Po herbacie prof. Erdmann przystąpił do odczytu, a zarazem doręczył pani domu manuskrypt pod tytułem „Kollision des Pflichten“ nadesłany mu przez brata. Sprawozdanie przy czytaniu objaśniał prof. E. długimi komentarzami; gdy skończył, rozpoczęła się dyskusya, w której brała główny udział pani domu, następnie prof. Asmuss i prof. Grube. Zaraz po odczycie pożegnał prof. Erdmann towarzystwo, śpiesząc do chorych, jednocześnie pożegnała gospodarzy większa część gości, a gdyśmy zabierali się także do wyjścia prof. Grube zapytał, czy nam śpieszno, lecz jeżeli nie, to pozostaniecie. W gronie pozostałych osób był prof. Asmuss. Prof. Grube otworzył fortepian, zasiadł do niego i barytonowym głosem zaśpiewał piosnę niemiecką, poczem zapytał, czyśmy nie muzykalni, niestety nie, odpowiedzieliśmy,

no to śpiewać będziemy chórem, zaintonował pieśń znaną „Gaudeamus“ i wszyscy obecni brali udział w śpiewie. Wreszcie pani domu uproszona o śpiew, zanuciła wielce melodyjnym głosem jakąś pieśń niemiecką, a następnie na nutę skoczego mazura piosnkę, której końcowa tylko strofa pozostała mi w pamięci,

Więc rzućmy te płacze,
Nuż dalej do koła,
Zanućmy wesoło,
Kiedy serce skacze.

Do późnej nocy przy wesołych, dowcipami prof. Asmussa urozmaiconych, rozprawach bawiliśmy się bardzo przyjemnie. Wracając z Nieszkowskim do domu, powiedziałem mu, że poznałem już bliżej dwie warstwy społeczne w ich życiu codziennem, więc chciałbym jeszcze poznać t. zw. „Foneryę“, czyli arystokrację rodową. „Nic łatwiejszego, odrzekł, ja cię wprowadzę do salonu „Frau v. Klott.“ Zabrałem z tą rodziną znajomość. Sama pani jest wdową, ma kapitał, dom z oficynami, obszerny ogród owocowy i dwie córki posażne.“ Przystałem na propozycję. Nieszkowski uprzedził mnie, że damę arystokratyczną trzeba ciągle tytułować „gnädige Frau,“ pannę „gnädiges Fräulein“ zaś pana „gnädiger Herr,“ jeżeli która z pań albo panien ma tytuł hrabiowski, baronowski etc. to się daje ten tytuł, innym mówi się tylko „von.“ Przemawiać do której z dam, używając tytułu „Madame,“ uznaje się za największą obrazę. Bilecikiem eleganckim, przysłanym przez służącego, zaproszony zostałem do p. Frau v. Klott na kawę poobiednią i w wyznaczonym dniu stawiłem się punktualnie na godzinę wskazaną. Zostałem już kilka pań i panien, a zarazem kilku studentów Niemców i Nieszkowskiego; po etykietalnym przedstawieniu rozpoczęła się rozmowa banalna. Ożywia ją p. Jan, który się czuł tutaj jak w domu u siebie. Panny były brzydkie, podobnie jak i same damy, arystokracja studencka sztywna i wymuszona. Nieszkowski górował nad tymi okazami „Vonów“ swoją piękną, męską postawą, układnością i wielkim sprytem towarzyskim; jedna z panien, lecz tylko podlotek wówczas, von Oettingen, wyróżniała się z pomiędzy innych żywością temperamentu i miłym wyrazem twarzy. Po kawie zabawiano się w gry, a następnie zaproponowano tańce. Na tem skończyła się wizyta. Nazajutrz musiałem być u „Frau v. Klott“ z podzięką za uprzejme zaproszenie, lecz już w dalszym ciągu zaniechałem znajomości z arystokracją dorpacką, nie chcąc czasu tracić na próżno.

Wspominałem już uprzednio o stosunkach dość luźnych pomiędzy słuchaczami z Korony i Litwy, zarzuty z jednej i drugiej strony były w części słuszne, wypadało zawrzeć kompromis, tymczasem nastąpiło zaognienie, którego rezultatem był rozłam kompletny na dwa obozy. Do towarzystwa zwanego „Ogółem“ nie chciano według nowych statutów przyjąć kilku nowoimatrikulowanych studentów, a to z powodu, że grywali w karty i wiedli życie hulaszcze lub nawet rozpustne. Za nimi ujęli się niektórzy należący do „Ogółu,“ gdy wszakże pozostali w mniejszości, zaprotestowali, wystąpili z towarzystwa i tuż zaraz założyli nowe towarzystwo pod nazwą „Szczegół.“ Do nowego towarzystwa przystąpili wszyscy ci, którzy dotąd pozostawali za towarzystwem, a stąd „Szczegół“ już od początku liczył więcej członków niż „Ogół.“ Jeżeli rozłam był w istocie rzeczy smutnym objawem separatyzmu i spowodował rozpadnięcie się Polonii na Królewaków i Litwinów, to jednak miał on i dodatnie strony, mianowicie połączył członków obu grup węzłami ściślejszymi i zmusił dotąd obojętnych, by zaliczyli siebie do jednej z tych grup nowouformowanych.

Wojna, ten wyraz był wówczas na ustach każdego, oczy władzy wszelakiej były zwrócone w stronę Krymu, stąd nastąpiło zwolnienie dozoru nad młodzieżą, powstawały czytelnie, sprowadzano gazety, zajęto się polityką. Nie mając czasu sami czytać dzienników, uprosiliśmy kolegę Balczewskiego Ksawerego, wielkiego polityka, czytującego pilnie gazety, ażeby nam codziennie donosił o ważniejszych wypadkach. Na ulicach i placach publicznych zbierali się bursze; razu pewnego na placu przed ratuszem spacerowało dwóch młodzieńców, przyjezdnych z Petersburga, mając przy sobie olbrzymiego neufundlera, którego głośno wołali po imieniu Napier. Usłyszawszy to bursze, poszczuli na owego Napiera całą swą psiarnię, to też biedny Napier został sromotnie poturbowany. Okazało się, że owi młodzieńcy byli synami osławionego Bułharyna; wniesiono skargę do uniwersytetu, bursze tłómaczyli się tem, że uczucia patryotyczne kazały im pokonać Napiera jako wroga państwa, innych nad to oznak patryotyzmu nie wykazywali Niemcy. Pewnego dnia ogłoszono z ratusza, ażeby wieczorami nie wychodziły kobiety na ulicę, bo przez Dorpat będą przechodziły sotnie kirgizkie. Nasze Madames były w strachu, drwiny i żarty towarzyszyły temu rozporządzeniu, powiadano, że nie będą oświetlać ulic, bo Kirgizi gotowi spijać spirytus terpentynowy z latarni miejskich, a upiwszy się terpentyną, mogą zburzyć miasto. Dla ułagodzenia dziecizy magistrat wyprawił uroczyste przyjęcie. Za miastem karmiono ją mięsem, buł-

kami i pojono wódką. Tak fetowano szeregowców, a starszyznę zapraszano do klubu mieszczańskiego, gdzie ją pojono piwem i winem. W ten sposób ułagodzano azyatów, ciągnących do Rygi w celu jej obrony; w Rydze wycięto piękne podmiejskie aleje i przygotowywano się do stawienia czoła nieprzyjacielowi. Rozprzężenie powszechne nastąpiło w owym czasie, fałszerzami papierów bankowych okazali się adjutanci Bibikowa w Wilnie. Z więzień rozmaitych uciekali zbrodniarze, napady po traktach były częste, a trakty i szosy były formalnie nie do przejazdu. Kładziono deski w bardziej grzązkich miejscach, konie padały pod ciężarami, całe szeregi ładownych wozów konwojowane przez wojsko ciągnęły to na północ, to na południe, chaos panował ogólnie, aż ostatecznie rok 1855 pozwolił wszystkim odetchnąć swobodniej. Pamiętam doskonale dzień kiedy wiadomość o zgonie cesarza Mikołaja doszła do Dorpatu, była odwilż, więc śnieg nie wywożony przez całą zimę zamienił się w syпки piasek, musieliśmy wdziewać długie buty (kalosze bowiem w owych czasach były nie w modzie) i wracaliśmy właśnie po zaspach śnieżnych z biblioteki, a przechodząc mimo naszej czytelnicy, spostrzegliśmy sporą grupę osób stojących u wejścia. Zbliżywszy się do nich, dowiedzieliśmy się o nowinie; ruch na ulicach, szlichtady burszów znamionowały podniecenie niezwykle. Tego samego dnia w porze śniadaniowej rozegrywał się dziecinny zakład docenta Mikszewicza Juliana z kilkoma studentami Polakami o to, czy cesarz Mikołaj na olbrzymim portrecie, zawieszonym w auli uniwersyteckiej, jest przedstawiony z wąsami czy bez wąsów, wygrali zakład studenci, bo Mikołaj był bez wąsów. Mikszewicz musiał postawić parę butelek szampana w cukierni Borka, przy tej okazji nadmienić muszę, że wszystkie szampan w Dorpacie, sprzedawany drogo burszeryi pod szumnymi nazwami Cliquot i t. p., pochodził z fabryki Osterlofa pod Warszawą, jak mi Osterlof sam opowiadał. Studenci pijąc szampan w cukierni w osobnym pokoju, wznosili zdrowie cesarza Mikołaja, o którego śmierci doszła wiadomość dopiero po obiedzie. Szpiegowie donieśli do uniwersytetu, że Mikszewicz z towarzyszami cieszyli się przy szampanie ze śmierci cesarza—nie pomogły objaśnienia, że nikt z rana o śmierci cesarza jeszcze nie wiedział—Mikszewicz musiał opuścić Dorpat.

Towarzystwo polskie „Szczegół,” po ukonstytuowaniu się należytem, rozwijało się pomyślnie, powstawały różne koła, między innymi koło szermierki, koło strzeleckie, koło wiosłarskie; kupiliśmy za wspólne pieniądze łódź i w wolnych chwilach od zajęć pływaliśmy w górę i w dół po Embachu. Raz na łodzi dotar-

liśmy do wsi starowierców, położonej nad Pejpusem a tam najawszy łódź większą, puściliśmy się na północ do Sireńca ku rzece Narowie, a po niej płynąc, przybyliśmy do samego wodospadu, który stanowi miniaturowy obraz wodospadu Niagarskiego. Zwiedziliśmy miasto Narwę, byliśmy w Hungerborgu, ażeby tu po raz pierwszy ujrzeć morze Bałtyckie, z tej wycieczki przywieźliśmy całe płyty skamieniałości syberyjskich, trojliczki (Irilobitae) były najliczniej reprezentowane, z drugiej strony docieraliśmy do wybrzeży jeziora Wirtsjärw. Oprócz sportu wodnego uprawialiśmy także i sport pieszy, zwiedziliśmy Heiligensee i bliższe okolice Dorpatu.

Po dwóch latach studyów przystąpiliśmy do egzaminu zwanego „Filoxofilum,“ który wypadł nam świetnie; dostaliśmy same „ausgezeichnety,“ co znaczy postęp w naukach celujący. Z radością zbieraliśmy się odwiedzić rodzinę po tak długim pobycie wśród obcych. Podróże takie odbywano gremialnie. Wielki „Stulwagen,“ o sześciu koniach, gdzie siedziało kilkanaście osób z dziesiątkiem psów, uniósł nas w piękny ranek letni w kierunku ku Rydze. Każdy z jadących miał o ile można najbardziej szczupły pakunek. Pędziliśmy szybko, jadąc w dzień i w nocy, często śpiewy chóralne urozmaicały naszą podróż. Tryumfalny wjazd urządziliśmy sobie w Rydze, mieliśmy przygotowane bukiety z polnych kwiatów i roślin, pędząc cwałem po ulicy przy śpiewie chóralnym, obsypywaliśmy spotykane Ryzanki bukietami; chusteczki powiewały nam z okien, posyłałyśmy i odbierałyśmy powietrzne pocałunki i ze śpiewem „Riga, Riga, unser Vorfahrenland“ stanęliśmy przed stacją pocztową w środku miasta. Jakkolwiek mieliśmy zaproszenie do domu t. zw. studenckiego, nie korzystaliśmy z zaprosin, a pozostawiając na czas gdy będziemy wracali z wakacyi zwiedzenie miasta, wyruszyliśmy w dalszą podróż przez Mitawę; odtąd jechaliśmy już po trzech na jednej bryce. Dojechawszy do Wilna, stanęliśmy w murach kalwińskich, gdzie dorpatczanie mieli u kolegów lokal zajezdny. Cały tydzień spędziliśmy tutaj, zwiedzając wszystko, co było podówczas godne widzenia tak w mieście samem jak i okolicach i już odtąd samotnie jadąc każdy w swoje strony, podążaliśmy do rodziny. Z powrotem zjeżdżaliśmy się w Rydze, by stamtąd odbywać znowu gremialnie powrót do Dorpatu.

PIERWIASTEK RELIGIJNY

w dzisiejszej poezyi francuskiej.

Karol de Pomairols.—Karol Guérin.—Franciszek Jammes.

W czasach, gdy ateizm, poparty polityką demagogiczną sfer rządzących i zubożeniem mas, rozpościera się tryumfalnie w kraju, który do niedawna szczyił się tytułem „starszej córki Kościoła,” daje się zauważyć fenomen szczególny.

Oto, uczucia religijne, które w życiu społecznem narodu utraciły prawie znaczenie kierującego pierwiastku moralnego dla wszystkich, zaczęły objawiać się na nowo w literaturze, w prądach, sprzyjających wierze i równoległych z dążeniami, znaczącymi powrót do tradycyj rasy i zwalczanymi przez te same, wrogie duchowi tejsze czynniki.

Znaną jest powszechnie ewolucya w tym kierunku wielu współczesnych, znakomitych pisarzy francuskich, z których jedni, jak Maurycy Barrès, uznając, że w kościele katolickim wysoki czynnik moralny i kulturalny ukształtował w ciągu wieków duszę narodu i stworzył nowoczesną cywilizację, stanęli w jego obronie przeciw rewolucyjnemu wandalizmowi demokratycznych przywódców, nie poddając się zresztą osobiście dyscyplinie jego doktryny, gdy inni, jak w swoim czasie Brunetiére i Huysmans, stali się wyznawcami jego nauki i zapalonymi szermierzami wiary.

Te mniej lub więcej głośnie nawrócenia, zaznaczając wyzwolenia się umysłów głębszych i wyżej rozwiniętych od tyranii przesądów materialistycznych, osłoniętych uzurpowaną szatą naukową, nie mogły minąć bez wpływu. Zwrot w tę stronę ujawnił się zwłaszcza w poezyi. I nic dziwnego — poezya i wiara mają wspólne źródło w uczuciu, idą więc w parze, lub mówiąc ściślej,

zawierają się wzajemnie. Zapewne nastrój taki nie jest jeszcze ogólnym i o odrodzeniu poezji religijnej w ściślejszym znaczeniu mówić nie można, ale ducha chrześcijańskiego, wyrażającego się w tradycyjnych formach katolickich, spotykamy w twórczości dzisiejszych poetów francuskich coraz częściej. Z tych jedni czerpali od początku swe natchnienie w wierze, gdy inni przyszli do niej stopniowo, jako do przeznaczonego rodzajowi ich uczucia celu.

Karol de Pomairols zalicza się do pierwszej z wymienionych tu kategorii. Właściwie, wiekiem należy on do starszego pokolenia, ale twórczość jego poetycka, rozpoczęta już w r. 1879 i ciągnąca się bez przerwy po dzień dzisiejszy, pozostawała dłuższy czas w cieniu i zyskała sobie szersze uznanie dopiero od niedawna, do czego przyczyniły się zapewne warunki bytu i charakter poety. Karol de Pomairols, nie będąc literatem z zawodu, żył zdala od koteryj literackich stolicy w wiejskim zaciszu swego rodzowego majątku, położonego w prowincyi Ronergue, na południu Francji, gdzie uprawiając poezję, równie jak ziemię, z jednakowym zamiłowaniem, nie dla próżnej sławy, lecz z potrzeby ducha, nie starał się o rozgłos. Wystarczało mu uznanie kółka przyjaciół, pokrewnych mu uczuciem i kulturą, którzy go rozumieli i potrafili ocenić. Dziś przeto, gdy nastrój, ożywiający jego poezję, odzyskał swe prawa, Karol de Pomairols stanął w szeregu młodszych poetów doby obecnej ze swą twórczością nieprzedawnioną i świeżą, tchnącą szczerym zapachem i szlachetnym idealizmem.

Po daremnem poszukiwaniu prawdy w filozofii metafizycznej, później w pozytywizmie Comte'a, zbyt zacieśniającym horyzonty ducha, zwrócił się on do natury swojskiej, do tradycji rodowej, z któremi uczuł, że duch jego jest związany węzłem niespożytym, zadzierzgniętym niegdyś przez przodków i w harmonii tego związku, uświęconego długą przeszłością, znalazł doktrynę życia, opromienioną światłem wiary nadprzyrodzonej. Jednocześnie, wczytując się w dzieła swego ulubionego poety Lamartine'a, w którym podziwiał niezwykłą samorodność geniuszu, a szczególnie doskonałą równowagę pomiędzy jego dziełem i życiem, przyszedł do przekonania, że poezja pociąga więcej, niż filozofia spekulatywna, pogrążona w abstrakcyi lub wiedza doświadczalna, ograniczona materją, prowadzi do poznania prawdy, bo posługuje się uczuciem, intuicyą i wyobraźnią, temi organami twórczymi ducha ludzkiego, dla których obserwacya, doświadczenie i rozum są tylko narzędziami kontroli. W swem wyczerpującem i entuzjastycznym studyum nad Lamartine'm, kreśląc portret duchowy

wielkiego liryka, Karol de Pomairols wyjawia jednocześnie własne pojęcie ideału moralnego poety: „Literatura dla niego (Lamartine'a) nie jest karierą, zajęciem nieustannem i przymusowem całego życia. Poezja przedstawia mu się jako przypadek, natchnienie szczęśliwe, któremu trzeba się poddać, nie bacząc na publiczność; jako ozdoba poranku lub wieczoru istnienia, którego środek wypełnić powinno życie czynne. Jego wiara w Boga, pewność wiecznego przeznaczenia, aspiracye podnoszące go do nieba, idealna przezroczystość przyrody w jego oczach—wszystko to dawało mu mimowolnie postawę, pod jaką wyobrażamy sobie samą postać poezyi. Był on poetą wskutek wartości i położenia swej duszy, całkowicie natchnionej czystymi siłami i stwarzającej sobie świat natężonego uduchowienia.“

Takim też starał się być, takim jest Karol de Pomairols. Pracuje na swej ziemi rodzinnej wraz z tym ludem wiejskim, którego jego przodkowie byli zwierzchnymi władcami, żyje w bliskości z nim styczności, zna jego duszę na wylot i ceni jego cnoty proste, ale mocne — wytrwałość niezrażoną, trzeźwą i nieustanną w pracy codziennej.

Zdrowe zajęcia wiejskie, czytanie w wolnych chwilach klasyków starożytnych lub Lamartine'a, oto warunki, w których urobił się poetycki temperament Pomairols'a. To też życie wiejskie, przywiązanie do ziemi, żywe piękno przyrody stanowią motywy lub tło jego poezyi. Ale natchnienie jego nie jest powierzchownem, nie poprzestaje na obrazach, nie zadawała się artystyzmem, lecz sięga w głąb i wyraża uczucia zwyczajne, ale silne, bo wynikające ze wzruszeń prawdziwych i zawsze podniosłe, zawsze nacechowane wysoką szlachetnością lub idealnymi porywami do wyższych sfer duchowych. Te więc uczucia i sympatye do ludzi prostych i ich zajęć rolniczych, kult tradycyi, miłość rodzinna, przywiązanie do swej ziemi dziedzicznej—znajdują wyraz w jego poezyach, zatytułowanych: „Les Paysans,“ „La Nature et l'Âme,“ „Les Regards intimes,“ „Les Aïeules.“ Kult ziemi, kult tradycyi rodowej, kult rodziny—to uczucia, które łączą się i wiążą u niego nierozdzielnie. Uczucia syna, męża i ojca umie on przenieść też na tych oddalonych przodków, których kocha, którym współczuje, chociaż ich znać nie mógł, bo nakazuje mu to tajemniczy głos krwi, bo na każdym kroku w odziedziczonej po nich własności, czy to wśród sprzętów domowych, w ogrodzie, w polu, czy w lesie, wszędzie napotyka ślady ich tutaj niegdyś bytu i czynności, a wspomnienia, które po sobie zostawili, odżywają teraz w sercu poety i potomka.

W ślicznym, nastrojonym na idealną nutę, pełnym poważnego uczucia wierszu, zawartym w zbiorze „Regards intimes,” opowiada poeta swe poznanie z narzeczoną, do której, poprzez kwieciste łąki, poprowadził go strumień. Uczucie miłości dla tej, która, jak jej poprzedniczki, ma zostać matką przyszłych pokoleń jego rodu, wyrażające się w akcentach mistycznych biblijnej niemal powagi, łączy się tutaj z dziwnie subtelnym odczuciem przyrody, pośredniczącej w zbliżeniu przeznaczonych sobie serc. W „Aïeules,” sławiąc cnotę i wdzięki małżonki, wieńczy cnoty prababek. Fragment ten jest jednym z piękniejszych w jego twórczości i najbardziej może charakteryzującym moralną istotę poety. Uczucia małżeńskie wznoszą się tu do niebywałej wielkości i majestatu, wzmocnione i uświęcone poczuciem wspólności, nierozzerwalności rodu, którego rodzina jest ogniwem, łączącym pokolenia minione z temi, co następują. Ale najgłębiej i najwyżej zarazem sięgnął Karol de Pomairols w poezji, natchnionej uczuciem ojcowskim, wyidealizowanym i wyszlachetnionem, jakby oczyszczonem w ogniu cierpienia po utracie ukochanej córki. Tu dobywa poeta z głębi duszy, w krzykach bezsilnej rozpaczyny zwykłej, rozdzierające akcenty, aż przechodzi w końcu do rezygnacyi, radosnej nieledwie, w niezachwianem przekonaniu, w wierze zupełnej, że po życiu ziemskim, tej przemijającej, krótkotrwałej formie bytu, czeka go wieczność, gdzie, w obliczu Boga, połączy się na zawsze z tą utraconą chwilowo czystą duszą, częścią jego własnej, za którą tęsknić nie przestaje całe jego jestestwo. Tutaj też znajdują wyraz jego uczucia religijne w ich najgłębszej formie. Religijność Pomairolsa nie przeszkodziła mu wszakże szukać również natchnienia w motywach mitologicznych, do których skłoniła jego wyobraźnię kultura klasyczna. I tu jednak natchnienie nie jest książkowe, literackie, lecz szczere, zaczerpnięte bezpośrednio u przyrody, której w starożytnych mitach widzi poetyczne uosobienie. To też w „Naïades,” w „Perséphone,” w „Apollon hyperboréen” czuje się on równie na swoim gruncie, jak w „La Nature et l'Amé.” Na tem tle natury, przemawiającem wprost do duszy w pięknych nastrojach, tworzy on nawet mity nowe, jak w najbardziej artystycznym jego poemacie „Kalléméra,” gdzie cudna dziewica, uosabiająca poranek, woli zginąć, niż dać się porwać w objęcia zwycięskiego Apollina.

Wreszcie w szeregu krótkich poezyj, p. t. „Poésies de la propriété,” zawartych w zbiorze „La Nature et l'Amé,” znajdujemy zdrowy, podniosły nastrój moralny, wynikający z prawdziwego przywiązania do własnej, dziedzicznej ziemi. Jako rolnik, poeta

pracuje nie dla samej korzyści, lecz z zamiłowaniem, prowadząc dalej dzieło przodków, nietylko dla siebie samego, lecz jak to mówi w ustępie „En plantant des chênes“ i dla przyszłych pokoleń, które kiedyś, korzystając z cienia odwiecznych dębów, wspomną o tym, który je sadił. Tak tedy cała twórczość poetyka Karola de Pomairols tchnie tem zdrowiem moralnem, podniosłym idealizmem, dumą szlachezną w połączeniu z chrześcijańską prostotą obyczajów, miłością rodzinną, nie wyłączającą miłości bliźniego, jak miłość rodzinnego zakątka nie wyłącza, lecz wznacza miłość ojczyzny. I to wszystko skupia się w ostatniem jego dziele „Ascension“; w tej powieści ideowej i uczuciowej głęboka, posuwająca się do mistycyzmu religijność autora, wypowiada się bezpośrednio. Forma jego poezyi jest wogóle bardzo prostą i pozbawioną ozdób zewnętrznych, których brak nagradza sownie wzniosłość natchnienia i bardzo subtelna, udzielająca się i wywołująca silne wrażenie estetyczne, uczuciowość.

Inaczej przedstawia się duch religijny u jednego z największej utalentowanych wśród młodszego pokolenia, lecz zmarłego w kwiecie wieku, poety *Karola Guérin*. Cechą jego poezyi jest smutek, żal, cierpienie moralne—uczucia, które towarzyszyły jego życiu od pierwszej młodości, jako skutek nie przyczyn zewnętrznych, lecz szczególnego ukształtowania jego istoty duchowej. To też religijność jego nie objawia się w wierze ufnej, pewnej, spokojnej i pogodnej, lecz w pragnieniach beznadziejnych, w wątpleniach i upadkach ducha, w tęsknotach nie do zaspokojenia, w „młodości—jak san powiedział—która płacze nad sobą i w swej niemocy rozdziera pogańskie ciało katolicką włosiennicą.“ Jak życie, tak i religię, do której czuł atawistyczny pociąg, która, pomimo zachwianej wiary, była zawsze potrzebą jego ducha, widział on ze strony smutnej, nie znajdował i nie szukał w niej pociechy i ukojenia, lecz rozczarowanie i zniechęcenie do życia i świata. Widać to zaraz z brzoza w zdaniach, które wybrał z „Naśladowania,“ jako dewizę do pierwszego zbioru swych poezyj: „Wszystko, co świat daje mi na pocieszenie, jest dla mnie ciężarem... Jest to więc prawdziwą nędzą żyć na tej ziemi. I im więcej człowiek chce żyć wedle ducha, tem bardziej życie doczesne staje się dlań gorzkiem, bo tem lepiej odczuwa i tem jaśniej widzi niedoskonałość tego stanu zepsucia.“ Albo: „Gdybyś był nie wyszedł i nie usłyszał zgiełku świata, byłbyś zachował ten miły pokój, ale, iż lubisz słyszeć rzeczy nowe, musisz teraz znosić niepokój serca.“ Zdania, w ten sposób oderwane od myśli głównej, przybierają istotnie znaczenie zniechęcająco pesymistycz-

ne i wyrzecz mogą na temperament, już usposobiony z natury w tym kierunku, wpływ rozstrajający. Karol Guérin, który w religii był wstanie odczuwać tylko to, co w niej odstręcza od życia ziemskiego i jego uciech, co maluje jego nędzę, nieprawość i znikomość, wybrał świadomie te ustępy, by upajać się ich goryczą. Skądinąd rozumie on jednak i ocenia dobroczynny i wzmacniający spokój, jaki daje wiara prawdziwa i moralna dyscyplina religii, zazdrości go duszom prostym, tęskni za nim, ale nie czuje się zdolnym go osiągnąć, nie pragnie go nawet, bo smutek, gorycz i cierpienie są prawdziwym źródłem jego poetyckiego natchnienia. „Gdyby nie to cierpienie, nie czytali byście ani jednego mego wiersza — pisze do przyjaciela — gdy zdarzy mi się czasem być szczęśliwym, natychmiast przestaję czuć, zdaje mi się, że nie istnieje.“ To cierpienie moralne, z początku nieokreślone i blade, jak słońce zimowe, z czasem powiększa się, wybucha w paroksyzmach szalonej rozpacz, by znów powrócić do gorzkiej rezygnacji beznadziejnego smutku, który wżera się w jego duszę coraz głębiej i nie opuszcza go aż do ostatniej chwili. W cierpieniu Karol Guérin znajdował jakąś narkotyczną rozkosz, której być może nie było obcem pewne zadowolenie miłości własnej—do cierpienia czuł się on przeznaczonym i to w jego oczach wyróżniało go i podnosiło ponad ludzi zwyczajnych. Pomimo to, nie było w tem pozy romantycznej. Cierpienia jego, choć nie wytłumaczone, były rzeczywiste, czego dowodem, że zużyły przedwcześnie jego organizm.

W części tłumaczy on to sam (w „L'Homme Intérieur“) rozterką duchową, pochodzącą z walki pomiędzy instynktem dziecięcym, nakazującym mu wierzyć, i umysłem, który pod wpływem nabytego sceptycyzmu tej wiary mu zabraniał. Z tej tragedii wewnętrznej, która zaostrzyła jego uczuciowość do nadzwyczajnego stopnia, wytrysła cała jego poezja w dźwiękach elegijnej liryki, równających się czystością, melodyjnością i chwytającą siłą tym, jakie niegdyś dobyli ze swych natchnionych lutni Andrzej Chénier i Lamartine.

Swą twórczość poetycką rozpoczął Karol Guérin pod wpływem symbolistów i dekadentów, ale wpływ ich, a mianowicie Mallarmégo i Rodenbacha, odbił się raczej w zapożyczonych u nich formie, aniżeli w duchu i wyrazie uczucia i myśli. Wyraz jest u niego zawsze bezpośrednim, uczucia swe i myśli wypowiada wprost, bez uciekania się do symbolów, metafor i podszeptów, przy pomocy których symboliści starali się wywołać w duszy czytelnika nastrój, odpowiadający ich własnemu nastrojowi, a czar

niezaprzeczony jego poezji jest wynikiem, obok szczerości i głębokości uczucia, niezmiernie muzykalnej harmonii jego wiersza. Tej formy, mniej lub więcej niezależnej i nieprawidłowej, trzymał się on w przeważnej części swych utworów, w których znać jednak stopniowy zwrot do poprawności i udoskonalenia w znaczeniu klasycznym. Te osiągnął wszakże w całej pełni dopiero w ostatnim utworze „L'Homme Intérieur,” gdzie mistrzostwo jego okazało się już bez poprzednich usterek i nierówności.

Wspomniany wyżej nastrój religijny, ze strony, odpowiadającej jego wewnętrznym skłonnościom, znajdujemy mniej lub więcej zaznaczonym właściwie we wszystkich poezjach Karola Guérin, jak „Les Joies grises,” „Le Sang des Crépuscules,” „L'Eros funèbre,” „Le Semeur de Cendres” — ale najwyraźniej występuje on w „L'Homme Intérieur” i w „Le Coeur solitaire.” Pomieszczona w tym ostatnim zbiorze wzruszająca szczerem uczuciem przyjaźni „elegia do *Franciszka Jammes'a*” poprowadzi nas w sposób naturalny od zbolątego poety smutku do tego piewcy prostego i pogodnego serca, który taki z nim stanowi kontrast.

Oto jak się on sam przedstawia: „Legowisko moje znajduje się pomiędzy tem ziarnkiem piasku, zwanem Pirenejami, a tą kroplą wody, zwaną oceanem Atlantyckim. Mieszkam w Orthez. Imię moje jest zapisane w gminie—nazywam się Franciszek Jammes.”¹⁾ Dalej, w jednym z pierwszych swych utworów „De l'Angelus de l'aube à l'Angelus du soir,” tak mówi o sobie: „Mój Boże, wezwalesz mię pomiędzy ludzi. Oto jestem. Cierpię i kocham. Mówiłem głosem, który mi dałeś. Pisałem słowami, których nauczyłeś moją matkę i mego ojca, którzy mi je przekazali.” Gdzieś indziej jeszcze wypowiada swe zdanie o poezji tak, jak ją czuje i uprawia: „Usiądę na miękkiej łące, zapuszczę wędkę w niebieskie błyski spokojnej wody, zapalę fajkę, będę patrzył, jak kurka wodna ściele swe gniazdko i słuchał krzyku bekasów. I opiszę to wszystko bez wymowy. Chcę sztuki spokojnej, bez skandalu, w której dusza moja mogłaby się otworzyć bez hałasu, jak kwiat, co rozwiera swój czysty kielich we łzach rosy, wśród ciszy zimierzchu. Życzę sobie, by ta sztuka nie miała ni więcej ni mniej blasku, niż lśnienie owadu, niż promień księżycy, padający na gałązkę fuksyi, niż uśmiech dziecka na ulicy, lub skarga chorego. Chcę, by opisane życie miało wspaniałą prostotę: podwieczorek w ogrodzie, pośród rodziny, jego uroczysta melancholia, słowa padające wśród rozlanego światła.”

1) Czyta się „Zamm.”

„Nienawidzę histrionów, retorów, podnoszących głos, trybunów, wyjątych rozkochane wiersze.“ Już z tego wstępu dają się wyciągnąć wnioski o charakterze i cechach poezji Jammesa—o prostocie i nastroju religijnym, miłości przyrody i niezależności od panujących kierunków literackich. Dalej zobaczymy, że do cech tych wypadnie dołączyć jeszcze miłość przeszłości i nostalgiją egzotyizmu.

„Każda rzecz nadaje się do opisu, skoro jest naturalną“—mówi on jeszcze. Według niego wszystko można powiedzieć—niema tematów ani przedmiotów szlachetnych lub nieszlachetnych, zależy to wyłącznie od sposobu odczuwania poety. W objawach życia, w przyrodzie, we wszechświecie niema nic obojętnego, nie mamy prawa niczem gardzić. Ubóstwo jest świętem, pokora godną uwielbienia. Niedola, cierpienia zwierząt i roślin zasługują na współczucie w równym stopniu, jak nieszczęścia ludzkie. I to współczucie rozciąga poeta aż do świata nieorganicznego. Przy wyrazie realistycznym jego uczuciowość, niezmiernie wrażliwa, jest idealistyczna, pokrewną tej, jaką znajdujemy u J. J. Rousseau i Bernardyna de Saint-Pierre, od której się też wywodzi.

Na „Marzeniach“ Jana Jakóba, swej ulubionej książce, Jammes kształcił swego ducha, zaś Bernardin de Saint-Pierre pociągał go urokiem egzotyizmu, do którego miał skłonność wrodzoną pochodzącą u niego z warunków rodzinnych. Dziad jego wywędrował niegdyś do Guadalupy, gdzie też urodził się jego ojciec, który, przysłany dzieckiem do Francji dla nauki, pozostał w Orthez na zawsze. Jammes od dzieciństwa został jakoby olśniony wewnątrz słońcem, kwiecistym i aromatycznym wspomnieniem Antyllów, których nie znał, ale gdzie mógł być urodzić się i żyć, jak ów dziad, którego postać tak często wywołuje w swych poezjach, albo podróżować, jak inny dziad ze strony matki, który zwiedził dziwne krainy wschodzącego słońca, skąd przywiózł skrzynkę z drzewa kamforowego i tęskne uczucie, zagrzebane w głębi serca, dla pewnej pięknej kreolki. Jammes, będąc dzieckiem, zasypiał z głową, wspartą na tej skrzynce i to napełniło sny jego i serce „czułem dziewczętami i drzewami indyjskimi, po których pełzają węże.“ Odtąd też myśl jego i wyobraźnia podąża często po przez ocean do tych stron odległych, do tych rozkosznych, wymarzonych wysp, podobnych do raju i równie, jak on, niedostępnych. O tej dalekiej podróży marzy on nieustannie, wdycha do niej, ale jednak pozostaje w Orthez, w swych Pirenejach, do których jest nadto przywiązany. W tem jego zamieszaniu do egzotyizmu odczuwa się jakąś nieokreśloną tęsknotę

za czemś piękniejszym, niż to, co nas bezpośrednio otacza, za jakimś bytem promiennym, idealnym, który mu się przedstawia w postaci tej drugiej ojczyzny, gdzie zamieszkiwał już nim się narodził, gdzie wśród bujnej, tropikalnej roślinności przebywają duchy jego przodków.

Mówią mu o tem jakieś niewyraźne, zachowane w tajnikach duszy wspomnienia, pełne gorejącego słońca, szumu fal na ozłoconych wybrzeżach, drzew olbrzymich dziewiczych lasów, wśród których igrają małpki; kwiatów, jakby malowanych najbogatszymi barwami i podobnych do kwiatów kolibrów i papug. Jest w tem wszystkiem coś mistycznego, coś, co, wyrażając się w sposób dziwnie szczerzy i naiwny, idzie bezpośrednio z głębin duszy; coś, co, budząc uśmiech, chwyta jednocześnie za serce. I nastroj ten, który się dobywa ze wszystkich utworów Jammes'a, akcentuje się coraz bardziej, przybiera coraz więcej charakter religijny, aż w końcu odzywa się głosem żywej, serdecznej, prostej wiary, która się stroi, jak u św. Franciszka z Assyżu, w wieńce polnych kwiatów i otacza chórem ptaszków niebieskich. Jego poezya przypomina tym swoim charakterem natchnione obrazy prymitywów, którzy w zachwyceniu modlitwy malowali naiwnie pojęte sceny z życia Maryi i legendy świętych. Tęsknota za cudną wyspą, zawieszoną wśród srebrnych fal, na drugim krańcu oceanu, jak kosz pełen kwiatów i owoców, łączy się u niego z nostalgią przeszłości. Myśl o przeszłości napełnia go niewypowiedzianą melancholią, którą wywołuje u niego widok przedmiotów, należących niegdyś do osób zmarłych, widok ruin, domu opuszczonego, szyb stłuczonych, drzwi, których nikt więcej nie otwiera, maków, które zarosły podwórze niezamieszkałego dworu.

I wyobraźnia jego zaraz wywołuje całe sceny z życia minionego ludzi, którzy zamieszkiwali te miejsca, którym służyły te przedmioty. W ten sposób powstały śliczne jego powiastki „Clara d'Ellébeuse,“ „Almaïde d'Étremont“ i „Pomme d'Auis.“ W tenże sposób ożywił postacie swych pradziadków przy zwiedzaniu domu, w którym mieszkali nim ich synowie kraj opuścili. Tak samo w willi Charmettes, gdzie chroniła się ich miłość, wywołał z cieniów niepowrotnej przeszłości tę parę przed-romantycznych kochanków — panią de Warens i czułą, bolesną i rozwichrzoną postać Jana Jakóba.

Ale z tych ewokacyj najidealniejszą, najwznioślejszą jest ta, której dokonał w swej pielgrzymce do Cayla, rodzinnego zamku Maurycego i Eugenii de Guérin. Tych nie sprowadza on na ziemię, lecz jakoby w zachwyceniu widzi ich dusze i rozmawia z nie-

mi w Niebie, w tem idealnem, rajskiem Cayla, gdzie zamieszkały na wieczność, w błogiej, niewypowiedzianej szczęśliwości, którą rozlewa światłość niepojęta Boskiego majestatu. I tu dobył Jammes akcenty tak czystego tonu, jakie może nigdy przed nim nie rozlegały się w poezyi. Utwór ten (p. t. „En Dieu“) to krzyk duszy tęskniącej do Boga, to szereg aktów strzelistych wiary i miłości, to cudny śpiew serafińskich chórów, jaki wydać jest w stanie tylko pierś, natchniona mistycznym widzeniem. Jeżeli mamy koniecznie szukać analogii z tym nadzwyczajnym wytryskiem poezyi mistycznej, to chyba znajdziemy ją do pewnego stopnia w „Sagesse“ Verlaine’a, ale tam tło uczucia jest bolesne, gdy tu jest ono radosne i promienne, jak wiosenny poranek, owiany jeszcze z nocy smutku lekką, niknącą mgłą melancholii.

Jeżeli poezya religijna Jammes’a niedorównywa doskonałości formy przepięknych sonetów Verlaine’a, ani świetnym strofom i górnocią myśli liryki Lamartine’a, to nie ustępuje im szczerością natchnienia i przewyższa prostotą i naiwnością przepelnionego serca, które dla wypowiedzenia swych uczuć nie ucieka się do wyszukanych metafor, lecz czerpie wymowne i wzruszające, ale najprostsze obrazy z najbliższej otaczającego świata i jak kwiaty przed procesyą, rzuca je do stóp Stwórcy.

Naprawdę rodzajem natchnienia i sposobem jego wyrażenia Jammes najbardziej zbliża się do św. Franciszka z Assyżu z „Legendy,“ gdy ten, na krótko przed śmiercią, chwali Stwórcę w stworzeniu: „Chwała niech będzie Wszechmocnemu za naszego pana i brata słońce, który darzy nas dniem i daje świadectwo Boga; za brata księżycy, za gwiazdy, które ustanowił na niebie, jasne, cenne i błyszczące; za wiatr i powietrze, za chmury i pogodę wszystkich pór roku; za siostrę wodę, bardzo pożyteczną i skromną, pobożną i czystą, za matkę ziemię, która nas nosi i żywi, wydając owoce, zioła i kwiaty barw uciesznych...“

Poetyczna religijność Jammes’a, na podobieństwo „Poverelia“ z Assyżu, który modlitwy swe wysyłał do Boga na skrzydłach skowronków, nie oddala się od natury — od pól i gór, od roślin i zwierząt, od prostoty życia i robót wiejskich. O nim to powiedziec można, co powiedziano o tym wielkim w swej pokorze świętym, że zamiast wzbijać ducha do nieprzystępnych dlań wyżyn, sprowadza Boga na ziemię. „Modlitwa jest siostrą ptaków“ — powiedział poeta, ale ptak też na jego pytanie, czy widział Boga w niebiosach, odrzekł: „Nie. Pan Bóg nie jest tam, na wysokościach. Pan Bóg jest na dole“ — i przedstawił Stwórcę w postaci cudownego ogrodnika, który podlewa kwiaty i jarzyny,

sieje dobre ziarno, hoduje złote winogrona. W „Pensée des jardins,” mówi Jammes, że „każdy szczegół staje się światem, jeśli w tym szczególe szukamy nie poetycznej igraszki, lecz Boskiego piętna w najdrobniejszym codziennem wydarzeniu.“ To też wiara jego niema nic metafizycznego, abstrakcyjnego, nie jest również ani panteizmem, ani nieokreślonym deizmem — jest katolicką i tradycyjną i wyraża się za pomocą znajdowania w każdej rzeczy, w każdym stworzeniu i w każdym objawie życia stosunku do Boga, oraz za pośrednictwem ewokacji obrzędów kościelnych, zawsze w wiejskiem otoczeniu natury, czy to w „kościelie ubranym w liście,” czy to w procesjach, pośród zbóż i kwiatów, czy w dźwięku dzwonów na Anioł Pański, albo na ślub „córkki dzierzawcy“ i t. p. Jammes, zwłaszcza od czasu swego powrotu do praktyk religijnych, żyje w „Boskim cieniu wiejskiej dzwonnicy,” który w spiekocie życia ochładza jego spragnioną duszę. Życie przyszłe, raj przedstawia sobie poeta, jako idealny pobyt w Boskiej szczęśliwości, ale w warunkach takich samych, jak na ziemi, tylko wyidealizowanych — nie brak tam ani rozkosznych łąk i wód, ani kwiatów, drzew, zwierząt i ptaków, ani nawet firmamentu. Co więcej, dusze zbawione, jak to widzimy w „En Dieu,” przebywają w otoczeniu i miejscowości, które ukochały za życia, idealnie wraz z nimi przeniesionych do raj. Tak więc Maurycy i Eugenia mieszkają w rajskim Cayla, gdzie widzą Boga, gdzie sływa na nich Jego niewypowiedziana łaska, dobro najwyższe, spokój wieczny, pełen cudnych harmonij, napełniających ich istoty nieustannem zachwyceniem. I ta szczęśliwość błoga, ten pobyt ich dusz nierozłączonych w wiecznym Cayla nie skończy się nigdy. I dusza poety, zachwycona tem widzeniem, pragnie też ulecieć do Boga z wiązką kwiatów, zerwanych w Cayla, na wiecznej łące i tam, naga, zostać pograżoną w Życie, pomiędzy Maurycym i Eugenią.

Jeżeli od tej ody na cześć Maurycego i Eugenii (w zbiorze „Clairières dans le Ciel“) religijność poety staje się zupełnie świadomą siebie i pewną, to niemniej wrodzony nastrój religijny istnieje u niego od początku w całej jego poprzedniej twórczości. W zbiorze, nazwanym „De l'Angelus de l'aube à l'Angelus du soir“ — w „La Naissance du Poète“ widzimy radość wielką z narodzenia poety, która rozlega się na ziemi i w niebie. Dlaczego? Bo poetę posyła Pan Bóg na świat, aby opiewał przyrodę, — ziemię i morze, drzewa i potoki, i biedne chaty opuszczone. Bo dusza poety jest przepełniona miłosierdziem, upojona pięknem. Bo, jak Pan Bóg, kocha on także ludzi prostych i skromnych, zwie-

rzęta, rośliny i świat cały. I takim właśnie jest Jammes. Jego serdeczna sympatya dla biednych, dla cierpiących, dla ludzi pracujących ciężko na kawałek chleba w pokorze ducha i rezygnacyi, dla umysłów nieoświeconych lub upośledzonych—to uczucie chrześcijańskie.

I sam on w swej pokorze i prostocie nie wywyższa się nad nich, bo dlaczego jego dzieło poety miałyby być lepsze od pracy prostaczków, którym Pan Bóg obiecał Niebo? W jego utworach spotykamy mnóstwo takich postaci, którym współczuje, począwszy od żebrała, prześladowanego przez strażników, garbatego szewca, zapracowanego dzień cały w milczeniu, dziecka chorego i opuszczonego, dziewczyny uwiedzionej, którą wszyscy gardzą—aż do kobiet, upośledzonych brzydotą, które los swój znoszą bez szemrania. Cały świat wiejski, począwszy od proboszcza, aż do parobka folwarcznego i dziewczki piorącej bieliznę w rzece, jest mu szczególnie miłym. Za to, pomimo swego optymizmu, nie lubi ludzi miejskich, których wady — złość, hipokryzyę, głupotę, zawiść i cynizm niemiłosiernie chłoszczą (w „Existences“).

Co zaś uczyniło serce poety tak dobrem i współczującym? Na to daje on sam odpowiedź w „Un Jour“: „Przypomnij sobie, żeś klękał z matką pod murem cmentarza, w czasie Jubileuszu, gdy wieczór letni spadał na ziemię wonią kwiatów. Procesya szła zwolna cmentarną aleją. I to dało ci tę duszę słodką, jak śpiew procesyi i jak mech miękką.“

W „La Mort du poète“ poeta w chwilach agonii wspominać będzie również procesyę Bożego Ciała, z długim szeregiem białych dziewcząt i zawoła w rozrzewnieniu: „Boże, jestem wzruszony. Przypominam sobie. Ofiarowałem Ci wówczas całą czystość mego serca.“

Toż samo w swym poemacie „Jean de Noarrieu,“ gdy zbliża się Wielkanoc, natura budzi się ze snu na radosne święto: „W kościołach organy grzmia Alleluja! złocą się zielone łąki, świerszcze śpiewają Alleluja! I w nocy niebieskiej białe bzy zakwitły.“

Tam również wspomina, gdy w niedzielę kwietnią był z matką na nieszpórach: „Pamiętam to dzieciństwo i te nieszpory i ze ściśniętem sercem płaczę, że nie jest już tym małym chłopcem, z tych dawnych malców, który w wiejskim kościele, podczas procesyi, trzymał kadzielnicę i słuchał, gdy proboszcz śpiewał Pasyę.“

Z pośród zwierząt, które kocha naiwnie i szczerze serdecznem uczuciem, Jammes ma szczególne upodobanie do osłów, tych biednych, obdrapanych, źle żywionych, zmęczonych, wyzyskiwanych, bitych, ale cierpliwych i łagodnych osiołków, niesłusznie

obmówionych i pogardzanych, pokornych sług człowieka, pracowitych i użytecznych. Te to właściwości i warunki ich nędznego bytu budzą w czułym sercu poety wielkie współczucie. To też chwali je często w swej poezyi i nie zapomina słać tych, które stały się chlubą całego rodzaju, jak przedewszystkiem osiołek, który, wśród palmowej chwały, niósł Pana Jezusa do Jeruzalem. Poeta wierzy, że Pan Bóg także kocha i ma w swej pieczy zwierzęta. Dlaczegożby więc zwierzęta nie miały mieć swego raju, jak ludzie? Tam biedne stworzenia, które na świecie tyle cierpiały, znajdują nagrodę i wypoczynek.

Opis tego raju zwierzęcego daje Jammes w „Le Roman du lièvre.“ Świąty Franciszek z Assyżu, otoczony liczną rzeszą zwierząt, powołał też zająca, który, zachwycony jego dobrocią, szczególnie się do niego przywiązał. Nadeszła zima, zwierzęta nie chciały opuścić ukochanego mistrza i, nie mając pożywienia, zdychają. Wtedy zając prowadzi je do raju, gdzie człowiek nie będzie ich więcej krzywdził.

Pod wpływem tej miłości do zwierząt, Jammes ułożył jedyną zapewne w swoim rodzaju modlitwę „Prière pour aller au Paradis avec les ânes“: „Mój Boże, spraw, abym z osłami przyszedł do Ciebie, spraw, by w pokoju aniołowie poprowadzili nas na bujną trawę strumieni, gdzie drżą wiśnie gładkie, jak lica dziewcząt, i uczyn, bym w tym pobycie dusz, pochylony nad Twemi Boskimi wodami, stał się podobnym do tych osiołków, które swą biedną, pokorną i łagodną postać przeglądając będą w przeczroczu wiecznej miłości.“

Ale serce poety, które tak ukochało świat cały, że zawiera w sobie „wzgórza kamieni, potoki, wsie całe, pełne nędżnych cierpień i stada, które ryczą do śnieżnych szczytów lazuru,“ doznało zawodu, zostało zdradzone, zranione boleśnie. Z tych cierpień sercowych uleczy go „La Jeune fille nue“ (w „Le Deuil des primevères“). Stara wieszczka, zbierająca w górach zioła na leki, poprowadziła poetę do lasu, gdzie w spróchniałym pniu dębu znajduje dziewczynę piękną, dobrą, niewinną i... nagą. To bajeczne zjawisko, promieniejące mleczną białością swego ciała, pachnące miodem i ziołami, mające w sobie coś z dryady i rusałki, przewija się poprzez całą poezję Jammes'a, przybierając postać zmienną to owej „nagiej dziewczyny,“ to strojonej w wieniec z kłosów i polnych kwiatów żniwiarki, lub ukazuje się obciążona owocami, winogronami i plastrami miodu, albo tańczy i śpiewa wśród wiejskich dziewcząt.

Jestto jakoby symbol wyidealizowany dziewczęcia wiejskiego. Piękna, dobra, skromna, niewinna, ma ona wrodzone, naturalne, piękne, szlachetne i czyste poczucie miłości, ale bez fałszywego wstydu, jak wiejska dziewczyna, która, pomimo swej skromności, wie, że czeka ją miłość i od swego przeznaczenia nie uchyla się. Jestto również symbol instynktu naturalnego, ale uszlachetnionego, bez przymusu i bez hipokryzyi. „Nagą dziewczynę“ spotykamy zarówno w lesie, gdzie jest rusałką, okrytą tylko tkanym złotem welonem swych włosów, jak w chacie i w polu, przy żniwie, lub przy winobranii, ubraną w strój miejscowy, z chusteczką fularową na głowie, jak również we dworze szlacheckim, w sukience z falbankami i szerokim kapeluszu ryżowym, z długimi spadającymi na plecy wstążkami. Były chwile jednak, w których stawała się ona bachantką. Wtedy, pod jej to wpływem, do wierszów poety wkradała się zmysłowość, która wkrótce, gdy się uczuł boleśnie dotkniętym, przeszła w ton elegijny. Nareszcie zapragnął poeta „miłości bardzo czystej.“ Bachantka, przemieniona na niewinną, cichą i dobrą „nagą dziewczynę,“ poprowadzi go do domu, gdzie spędził dzieciństwo, i tam, wśród wzruszających wspomnień, powróci mu dawną pogodę ducha. Te wspomnienia, ta odzyskana czystość serca, skierują myśl jego do Boga. Marzeniem jego będzie wówczas zostać księdzem-chłopem, który stroi krzyż w polne kwiaty. To marzenie zresztą odnosi się do przeszłości—poeta żałuje, że nim nie został wcześniej, zanim jeszcze jego serce wpadło w zasadzkę. Teraz, gdy nie jest księdzem, lecz tylko poetą, kwiaty, które ofiaruje Bogu, to jego poezya, zawarta w czterestu modlitwach („Quatorze prières“), natchnionych uczuciem pokory i skruchy, błagalnych, ale jeszcze niepewnych wiary, której myśl jego szuka po omacku; bolesnych jeszcze i nie wolnych od wybuchów rozpacz. Dopiero w zbiorze „Clairières dans le Ciel,“ który rozpoczyna wspomniana wyżej mistyczna oda do Maurycygo i Eugenii „En Dieu,“ wiara jego jest już zupełnie utwierdzona.

Z wiarą przychodzi miłość—miłość zdrowa i czysta, miłość uświęcona. Poeta się ożenił („Le Poète et la femme“). Ona (Lucya) była wiejską dziewczyną. Oboje kochają się i pracują: ona pilnuje żniwiarzy i piecze chleb, on (Dyonizy) dogląda pszczół i układa wiersze. Z ich związku rodzi się dziecko, spokój i szczęście panuje w ich domu. Ale, niestety, „w cieniu szczęścia nieszczęście się ukrywa.“ Gdy, podczas żniwa, Dyonizy i Lucya, zajęci żniwiarzami, postawili kołyskę w cieniu leszczyny, dziecko śpiące ukąsiła żmija. Pomimo starań, leków i modlitw rodziców

i dziewcząt, dziecko umarło. I zapanował smutek pod tym dachem, gdzie przed chwilą jeszcze radość była tak zupełna. Smutek cichy, nie bluźniercza rozpacz, bo od niej broni młodych małżonków chrześcijańska rezygnacja. Tej prostej historii ludzkiej nadał Jammes formę poematu scenicznego, z chórem wiejskich dziewcząt i uczynił z niej śliczną sielanekę, pełną obrazów i odgłosów natury, woni kwiatów i siana, śpiewu ptaków, brzęku owadów w upale letniego dnia, lub tajemniczych szmerów, gdy w ciepłym tchnieniu nocy miłość władała przyrodą. I te pełne uroku ewokacje podsuwa poecie ów chór dziewcząt wiejskich — jego Muz.

Teraz serce poety schroni się i szukać będzie pociechy w „kościółku ubranym w liście“ („Eglise habillée de feuilles“), wznoszącym swą wieżyczkę wśród błogiej ciszy pól, w pobliżu rozstajnych drożyn, gdzie stoi stary spróchniały krzyż, w którym pszczoły zrobiły sobie gniazdo. I tu w smutku, w tęsknocie i utrapieniach, które nawiedzają niekiedy jego duszę, pragnącą coraz więcej zbliżyć się do Stwórcy, doskonalej się z Nim połączyć, dobywa z siebie w głębokim i szczerem skupieniu żarliwe modlitwy, pełne prostoty, pokory i sielskich woni. Tutaj, „karmiony cudownem zbożem, widzi przed sobą jakoby świat nowy“ i słyszy głos Boga, nakazujący mu, by wytrwał i zachował Go w sercu nawet wtedy, gdy wiatr pozrywa ostatnie róże. Bo Pan Bóg potrzebuje poety, potrzebuje ptaszka, któryby śpiewał na krzyżu. W tym polnym kościółku odnawia on także poetyczny różaniec („Rosaire“), w którym wiara mistyczna łączy się w prześlicznej harmonii z poezją natury. Przedziwny ten różaniec składa się pewnie z najpiękniejszych wiązanek kwiatów, jakie kiedykolwiek natchniona poezya złożyła u stóp Maryi.

Modlitwy w „kościółku ubranym w liście“ zostały wysłuchane, wypełniający go błogi spokój wszedł do duszy poety. Po mistycznych wybuchach poprzednich, liryzm jego płynie równiejszym korytem, rytm się więcej ustala w „Poèmes mesurés.“ Ale wiara spokojniejsza, bo pewna siebie, jest równie żarliwa, każdy jego poemat, przemawiający słowami miłości dla Stworzenia, jest zawsze modlitwą lub hymnem dziękczynnym do Stwórcy. I jego poczucie natury w „Rayons de Miel,“ w „Alexandre de Ruchentleur“ zaostrza się jeszcze w czystych tonach wiosennej idylli.

Franciszek Jammes ma wielką predylekcyę do młodych dziewcząt. Jak już powiedziano, ukazują się one u niego w różnych postaciach, posiadających w gruncie wiele rysów wspólnych, które znajdują symbol w owej bajecznej „Nagiej dziewczynie.“ Z po-

śród nich do najpiękniejszych, najbardziej odczutyh należą niewątpliwie owiane poezją przeszłości, jak wonią róż zwiędłych, bohaterki powiastek: „Clara d'Ellébeuse,“ „Almaïde d'Etremont“ i „Pomme d'Auis.“ Są to panienki szlacheckie z dawnych prowincyj francuskich, których życie w starych dworach upływa w warunkach, podobnych do tych, jakich opis znajdujemy w dzienniku Eugenii de Guérin. Mają one pociągający urok młodości i niewinności, wdzięk naiwny, bojaźliwą i nieświadomą siebie wstydlivość. Oczarowany ich widokiem poeta przemawia do nich w te słowa: „O świeży wdzięku podlotków! Uśmiechy pełne, jak owoce! Kwiaty jeszcze niedotknięte! Chodźcie... Jakże zachwyca mię wasza niewinność.“

Klara d'Ellébeuse dowiaduje się przypadkiem, że znalezionych przypadkiem w starej szkatułce listów, o dawnym romansie swego wuja, margrabiego d'Astin, który niegdyś wiele podróżował, z piękną kreolką Laurą Lopez. Listy kochanków, które przeszły na wpół zwiędłym zapachem spłowiałych saszetów, działają upajająco na wyobraźnię młodej panienki. Klara marzy odtąd o miłości, pragnie być tak kochaną, jak nią była Laura. I trafia się wkrótce, że podczas polowania w pobliżu miejsca, gdzie umarła Laura, gdy Klara znalazła się sama z młodym Rogerem Fanchereuse usta ich złączyły się w pierwszym, pospiesznym, niewinnym i jedynym pocałunku.

Ale od tego czasu biedna Klara nie zaznaje spokoju, sumienie ją dręczy i pomimo modlitw i pokuty wspomnienie tego błędu, który przybrał powoli w jej wyobraźni przesadne rozmiary, przyczyni się do jej śmierci. U tych panienek uczucia religijne i afekty sercowe łączą się zresztą i godzą dość dobrze. Jedną z nich Eleonora de Percival pisze do swej przyjaciółki Almaïdy d'Etremont: „O Almaïdo, proszę Boga, aby ci zesłał takie upojenie. Gdybyś wiedziała... Raz, gdy wieczorem przechadzałam się pod rękę z narzeczonym, słowik zaczął śpiewać... Omdlewałam. Zdawało mi się, że pierś mi pęknie i że nowe życie powstaje we mnie. Kiedym się znalazła samą w mym pokoju, uczułam się tak wzruszoną i wdzięczną Niebu i wiara moja była tak żarliwą, że się porównywałam do tych lamp, zawieszonych w świątyniach, które potrafią gorzeć tylko dla Boga.“ A Almaïda, która tylko tego pragnie, modli się w te słowa: „O mój Boże! mój Boże wysłuchaj mię — chcę kochać, jestem smutna, tak nieszczęśliwa. Mój Boże, ja potrzebuję kochać kogoś! Zmiłuj się nademną!“ Almaïda ma krew gorącą, więc nie poprzestanie na niewinnym pocałunku młodego kawalera, lecz kochać będzie pastuszka-górala i odda mu się

zupełnie, tak, iż gdy ten zabije się spadłszy w przepaść, ona zachowa po nim żywą pamiątkę. To też tę powiastkę nazwał autor: „Histoire d'une jeune fille passionnée.“ O wiele idealniej pojął za to bohaterkę trzeciej powiastki „Pomme d'Auis ou l'Histoire d'une jeune fille infirme.“

Laura d'Auis, przezwana Pomme d'Auis, dla drobnych znaczków czerwonawych, które jej twarzyczce nadają cerę jabłka, jest drobną, wiotką, nieśmiałego serca, pełną wdzięku osiemnastoletnią panienką, ale niestety ułomną i musi wspierać się na lasce. Zresztą, jak jej towarzyszki i przyjaciółki ubiera się w lekkie sukienki w kwiaty i nosi kapelusz ryżowy z szerokim rondem i wstążkami. I ona pragnęłaby kochać, ale wie, że jej ułomność, o której uleczenie próżno się modli, napróżno jeździ do Lourdes, zawsze stanie temu na przeszkodzie. To też gdy Jan Arnoustégny jej się oświadczy, odmówi mu ze ściśniętym sercem, bo nie wierzy, by mogła wzbudzić stałe uczucie, a także i dlatego, że kocha go jej przyjaciółka, Lucya d'Atchouria, która, na jej miejsce, zostanie jego żoną. Biedna Pomme d'Auis znajduje pociechę w wierze i modlitwa jej różni się też bardzo od tych, które słyszeliśmy z ust jej towarzyszek: „Panie, modli się Laura, dzięki Ci składam za moją ułomność. Panie, ofiaruję Ci mój żal, że nie mogę zgiąć kolana i ofiaruję Ci te bratki polne, które deptał mój ojciec nieboszczyk, polując na kuropatwy. Panie, nie mogę polować, jak on polował, ale mogę kochać Ciebie. Darzysz mię dobrocią moich, mojej matki, babuni, cici Wirginii i wuja Toma. Uczyni o Panie, abym się nie niecierpliwiła i nie szemrała, gdy zdarzy mi się potknąć. Tyś potknął się pod ciężarem krzyża, który niosłeś, Tyś wstępował na Kalwaryę, kiedy ja chodzę po trawnikach. Panie uwolnij mię od ducha buntu, odejmij odemnie gorzyc, trochę zazdrosną, gdy patrzę na zręczny chód Lucyi, mojej kochanej Lucyi, tak doskonałej, tak oddanej Tobie, Panie!“ I z taką piękną rezygnacją Pomme d'Auis złoży śluby zakonne.

Widzimy więc, że i tutaj w tych powiastkach napisanych piękną i jakoby przezroczystą prozą, jeszcze przed nawróceniem poety, wiara i religia, pomimo nawet psującej nieco harmonię eskapady Almaïdy, odgrywają pierwszorzędną rolę.

W dzisiejszej poezji francuskiej, zbyt przeładowanej wspomnieniami świetnej spuścizny, która ją przygniata ciężarem swych bogactw, dzieło Jamnes'a, wolne od wszelkiej sztuki, nic nie zawdzięczające literaturze, od której nie zapożycza efektów, ani natchnienia, porównać można do czystego źródła, tryskającego z pośród skał górskich, lub do świeżego powiewu, niosącego od

gór, lasów i pól miłą woń kwiatów, ziół, siana i miodu. Ta samorodność, ten brak literatury, ta bezpośrednia naturalność poezji Jammes'a — oto cechy główne jego oryginalności. Jego natchniony szczerem i prostem uczuciem religijnem, sielski liryzm, w którym brzmi jak gdyby płynąca ze szczytów, skąpanych w lazurówem przezroczu, czysta nuta pasterskiej fujarki, drżący gdzieś pod obłokami śpiew skowronka lub dalekiem echem tętniący głos dzwonu Pańskiego Anioła, pozwala nazwać tego wzruszającego swą serdeczną naiwnością poetę chrześcijańskim Wirgiliuszem.

Jakkolwiek nie można zaliczyć Jammes'a do żadnej z istniejących szkół poetyckich, to niemniej, pomimo swej niezależności, twórczość jego nie jest przecież zupełnie pozbawioną związku z prądami, które, od czasu schyłku Parnasu, poruszyły i poruszają jeszcze poezję francuską. Przy całym realizmie formy, za której pomocą wyraża on idealizm swego natchnienia, znajdujemy w niej jednak niejednokrotnie sposoby, jakimi posługują się symboliści, mianowicie w zestawianiu obrazów, wziętych z natury, ale nie mających ze sobą logicznego związku, których samo zbliżenie wytwarza nastrój, odczuty przez poetę i udzielający się czytelnikowi. Z drugiej strony ta nieograniczona miłość przyrody, podporządkowanie jej do pewnego stopnia wszystkich uczuć i myśli i sprowadzenie ich, za jej pośrednictwem, do najprostszego wyrazu, zbliża twórczość Jammes'a do naturyzmu. Jego wiersz jest wogóle nieprawidłowy, nierówny, nie podlegający żadnym regułom, a jednak, pomimo odzywającego się tu i owdzie zgrzytu, poeta umie wydobyć zeń rytm dziwnie melodyjny i złożyć całość symfoniczną, w której dysonans, stając się czynnikiem harmonii, przestaje razić tak, iż ostatecznie to, co w zwykłym znaczeniu jest wadą i błędem służy tutaj do podniesienia uroku tej niezwykłej poezji. Z tem wszystkiem nie odrazu się na tem poznało. Poezja Jammes'a była tak różną od tej, do której się przyzwyczajono, że trzeba było na początek pewnego wysiłku, aby się nią przejąć i zalety jej odczuć. Ale czar jej szczerzy i nowy zwyciężył wkrótce, tem bardziej, że symbolizm przygotował już wówczas umysły do nowości przez swe próby reform nie zawsze udane. Jammes znalazł niebawem entuzjastycznych zwolenników, tak, iż powiedzieć o nim można, że „użytył całemu pokoleniu poetów i artystów swych marzeń i tęsknot.“ Teraz wpływ jego jest niezaprzeczonym.

Franciszek Coppée powiedział niegdyś o jednym z jego utworów: „Czy są to wiersze? Zaledwie. Ale jestto niewątpliwie poezya. Jestto niezręczne, dziwaczne i robi wrażenie tłuma-

czenia z obcego poety. Jednakże, jeśli usunąć kilka współbrzmień i powtórzeń wyrazów, zupełnie niepotrzebnych, czyż nie pozostaje przenikające wrażenie wsi, lata, czegoś niezmiernie miłego i delikatnego? P. Franciszek Jammes ma naprawdę duszę dziecka i uczucia rozkosznej świeżości.“

Poezya Jammes'a nie da się analizować (A. Gide, E. Pilon) — błędy i zalety zlewają się u niego tak, iż w końcu niema ani błędów, ani zalet. Skoro się chce chwalić, trzeba chwalić wszystko i gdyby się dać unieść wrażeniu, doszłoby się szybko do wniosku, że on jeden tylko jest poeta.

ORWID.

Ostatni powrót komety Halley'a.

I.

W pierwszej połowie roku minionego kometa Halley'a była przedmiotem ogólnego zainteresowania. Mówiono o niej wszędzie i oczekiwano jej pojawienia się z niecierpliwą ciekawością. Ciekawość ta była przeważnie bardzo powierzchowna: spodziewano się ujrzeć efektowne zjawisko niebieskie tak często opisywane, a rzadko przez kogo widziane naprawdę. Od czasu bowiem wielkiej komety wrześniowej z roku 1883 aż do stycznia roku 1910 nie zjawiała się żadna wielka kometa i powszechnie, szczególnie zaś u ludzi młodych, objawiać się zaczął prawdziwy „głód kometarny.“

Gdy po pojawieniu się komety liczne obserwacje pozwoliły z całą dokładnością określić jej drogę i okazało się, że dolne połączenie komety ze słońcem zajdzie prawie jednocześnie z chwilą przejścia komety przez węzeł zstępujący jej drogi, stanęła na porządku dziennym sprawa przejścia ziemi przez ogon komety. Wtedy w szerszych masach objawiać się począł pewien niepokój o całość naszej planety, a zarazem powstała nadzieja ujżenia jakichś zjawisk wspaniałych a niezwykłych.

Na tle tego ogólnego zainteresowania, które rozbudziła kometa, powstała spora literatura, która miała na celu czy to pouczenie szerszego ogółu o istocie i znaczeniu zjawiska, czy wyjaśnienie szczegółów bliższych, dotyczących jego przebiegu, czy też wreszcie uspokojenie dręczonych niepokojem umysłów. Chwila przejścia ziemi przez ogon komety była momentem kulminacyjnym w tem ogólnem oczekiwaniu i pamiętamy wszyscy noc z 18 na 19 maja, którą większość mieszkańców wielkich miast spędziła bezsennie, i to rozczarowanie, które nastąpiło w ślad za tem,

jakoby z powodu niespełnienia się przewidywań astronomicznych. Gdy zaś w parę dni później kometa stała się dla wszystkich widzialną gołym okiem i nie była tak wspaniała, jak się tego spodziewano, interes dla komety malał coraz bardziej, a wkrótce uwagę ogółu pochłonęły inne wypadki i zdarzenia, bardziej bezpośrednio z życiem codziennem związane.

Ale nie należy sądzić, że to, co przestaje zajmować ogół, traci zarazem interes dla nauki. Nauka jest o wiele wytrwalsza, gdyż ciekawość jej zawsze jest celowa i przeto o wiele głębsza. Spostrzeżenia astronomiczne mają zawsze swój cel określony, zadaniem ich jest zawsze zdobycie odpowiedzi na pewne pytania z góry postawione, które jednakże rozwiązane być mogą nie zawsze, lecz tylko wtedy, gdy się sposobność odpowiednia nadarzy; a pytań tych jest zawsze bardzo wiele, gdy chodzi np. o komety. Dlatego śledzi się komety zawsze tak długo, dopóki choćby najśłabszy jej promyk uchwycić można za pomocą najpotężniejszych narzędzi.

Ta chwila dla komety Halley'a, jak się zdaje, już nastąpiła. Ostatnie spostrzeżenia jej zrobione zostały w grudniu r. 1910. Kometa w tym czasie znajdowała się już na granicy widzialności największych lunet. Oddała się ona szybkim krokiem w daleką podróż, z której za życia naszego już nie powróci. W tych chwilach rozstania stawiamy jej jeszcze ostatnie zapytania, a ona, śpiesząc w drogę, zbywa nas coraz to lakoniczniejszymi półsłówkami.

Otóż, pomimo pozornych zawodów, powrót ostatni komety Halley'a był dla nas bardzo pouczającym i pragnę w tym artykule podać szczegółowe zestawienie osiągniętych wyników.

II.

W czasie przedostatniego swego powrotu kometa Halley'a poraz ostatni była widziana przez Bogusławskiego we Wrocławiu dn. 19 maja 1836 r. Chociaż od tej chwili była ona dla oczu ludzkich niedostępna, to bynajmniej przez to nie straciliśmy wiadomości o miejscu jej pobytu. Na szczęście bowiem astronomia w badaniach swoich posługuje się może narzędziem, które jest o wiele potężniejsze niż oko ludzkie, uzbrojone w największe nawet lunety, niż najczulsze płyty fotograficzne. Tem narzędziem jest rachunek.

Na podstawie spostrzeżeń komety, dokonanych w tej części jej drogi, w której zbliża się ona do słońca i do ziemi na odległość tak małą, iż z ziemi widzianą być może, metody rachunku astronomicznego pozwalają wyznaczyć jej miejsce w przestrzeni w każdej chwili. Można więc też wskazać zawsze to miejsce na niebie, w którymbyśmy kometę widzieli, gdyby światło jej posiadało dostateczną siłę.

Sceptyk naturalnie mógłby wyrazić wątpliwość, czy w istocie miejsca z rachunku wynikające są prawdziwe, skoro nikt tego sprawdzić nie może. Ale i astronom, który sam te obliczenia wykonał, nie jest wolny od wątpliwości. Naturalnie wątpliwości jego są innego rodzaju. Wie on, że obliczenia zostały dokonane z dokładnością, jaka tylko była możliwa, ale nie z dokładnością zupełną. Wobec tego położenie komety, wynikające z obliczenia, od rzeczywistego różnić się musi, ale o ile się różni, tego nikt wiedzieć nie może; wiadomo tylko napewno, że niedokładność nie może przekraczać pewnych niezbyt rozległych granic. Ażeby się dowiedzieć, ile w istocie wynosi niedokładność rachunku, trzeba znowu kometę zobaczyć i położenie jej za pomocą dokładnych pomiarów określić.

Ta różnica pomiędzy rachunkiem a spostrzeżeniem jest wielkością nadzwyczaj ważną, jest ona bowiem miarą znajomości całego szeregu najbardziej podstawowych wielkości astronomicznych, ścisłości metod badania oraz słuszności przyjętych założeń, jest zatem najlepszą ilustracją postępów naszych w dziedzinie astronomii.

Ażeby tę sprawę dokładniej wyjaśnić, zastanówmy się nieco obszerniej nad źródłami, z których pochodzą wspomniane wyżej błędy obliczeń.

Podstawą, na której opiera się rachunek, jest najogólniejsze prawo mechaniki niebieskiej, prawo Newtona, które powiada, że wszystkie ciała we wszechświecie przyciągają się wzajemnie siłą, proporcjonalną do ich mas i odwrotnie proporcjonalną do kwadratu odległości.

Przyciąganie to objawia się np. na ziemi spadaniem ciał, rzuconych w górę; ale objawem tej samej siły jest fakt, iż planety zakreślają dokoła słońca zamknięte drogi, dzięki czemu tworzą trwałe nie rozpraszający się w przestrzeni układ planetarny. Ono jest też powodem, że kometa Halley'a biegnie dokoła słońca w swej drodze eliptycznej.

Kształt, rozmiary i położenie tej drogi w przestrzeni na podstawie spostrzeżeń można wyznaczyć; prędkość zmienna, z któ-

ra kometa biegnie w swej elipsie, przez drugie prawo Keplera również jest ściśle określona. W zasadzie więc jest rzeczą możliwą położenie komety w przestrzeni dla każdej chwili określić, a dalej też wskazać kierunek, w którym powinna być widziana z ziemi, wprawdzie również zmieniającej miejsce w przestrzeni, ale w sposób znany.

W rzeczywistości sprawa jest o wiele bardziej zawiła. Kometa Halley'a, jak powiadamy, biegnie dokoła słońca po elipsie, w której jednym ognisku znajduje się słońce. Ale takie wyrażenie nie jest ściśle i należy je uważać tylko za pierwsze przybliżenie. Elipsa bowiem tylko wówczas byłaby niezmienną, gdyby kometa jedynie przez słońce przyciągana była. W rzeczywistości w układzie słonecznym, oprócz słońca, znajduje się wiele innych ciał niebieskich, jak planety, księżyce, komety i t. d. Każde z tych ciał, a najbardziej wchodzą tu w grę planety, jako posiadające największą masę, przyciąga komętę ku sobie. Wiadomo, że komety posiadają masę bardzo małą i podobnie jak piórko, unoszone powiewem wiatru, ulegają one w bardzo silnym stopniu działającym na nie siłom.

Otóż chcąc położenie komety w danej chwili dokładnie wyznaczyć, należałoby uwzględnić z całą ścisłością wszystkie wpływy, którym ona podlega. Ale wpływy te są zmienne. Przyciągające planety oraz przyciągana kometa nieprzerwanie zmieniają miejsce w przestrzeni, przez co zmienia się ich odległość i natężenie wzajemnego przyciągania, które zawsze znajduje się w stosunku odwrotnym do kwadratu odległości. Ta zmienność działających na komętę wpływów powoduje, że każde zboczenie komety musi być prawie z dnia na dzień obliczane dla całego okresu czasu, w którym obserwowaną być nie może, każde bowiem położenie jej w danej chwili zależne jest od wszystkich położzeń dawniejszych.

Obliczenia takie, jak łatwo sobie wyobrazić, wymagają olbrzymiej pracy, która przerasta siły pojedynczego człowieka. Jednakowoż metody rachunku są doskonale opracowane, a współdziałanie licznych badaczy pozwoliło obliczenie drogi komety Halley'a oprzeć na materiale rachunkowym, obejmującym bieg komety w okresie czasu wynoszącym z górą 2000 lat.

III.

Gdyby więc dokładność obliczeń zależała tylko od tego, co jest znane człowiekowi i co nie przekracza granic jego możliwości, astronomowie nie mieliby powodu powątpiewać, iż kometa w chwili, kiedy będzie mogła być dostrzeżona, znajdować się będzie na niebie ściśle w tem miejscu, które obliczenia wskazują. Ale gdyby tak było w istocie, gdyby ta pewność była całkowita, to być może nikomu nie chciałoby się nawet podejmować tych olbrzymich trudów, których obliczenia wymagają. Uważanoby wtedy prawdopodobnie za rzecz zupełnie wystarczającą czekać ze wszelkimi badaniami do chwili, kiedy kometa sama się zjawi i przypomni, że przecież warto ją obserwować. Jeżeli więc te zawile rachunki się wykonywa, to nie dlatego aby naprawdę wiedzieć, gdzie w danej chwili znajduje się kometa, ale aby się dowiedzieć w chwili, gdy się zjawi, o ile rachunek jest niedokładny.

Różnica ta, gdy obliczenie z całą możliwą dokładnością zostało wykonane, zależy przedewszystkiem od niedokładności użytych do rachunku danych. Dane te są dwóch rodzajów. Są to przedewszystkiem wszystkie poprzednie obserwacje, określające położenie komety na niebie. Te naturalnie nigdy nie są zupełnie dokładne, jak wogóle wszelkie wielkości, otrzymane z pomiarów. Ale jednym z najważniejszych warunków, od których postęp astronomii zależy, jest dążenie do coraz większej dokładności pomiarów. W istocie też dokładność ta wzrasta stale i w każdej epoce jest ona obrazem stanu wiedzy astronomicznej. Oczywiście zależy ona tak samo od dokładności narzędzi astronomicznych, jak i od rozwoju metod obserwacji.

Nie ulega kwestyi, że ani narzędzia, ani metody przed laty 76, gdy kometa Halley'a po raz ostatni była widziana, a tembardziej w czasach dawniejszych, nie były tak dokładne, jak dzisiaj, a przecież właśnie te dawne, mniej dokładne obserwacje były podstawą obliczenia drogi komety Halley'a i powrotu jej w r. 1910. Nie więc dziwnego, że choćby już z tych względów zupełnej zgodności rachunku z obserwacją oczekiwać nie było można.

Drugą kategorię danych stanowią użyte w obliczeniach ilości stałe. Do nich należy przedewszystkiem stosowana w astronomii jednostka odległości, t. j. średnia odległość ziemi od słońca, zwana jednostką planetarną. Ta jednostka jest obecnie znana tak dokładnie, iż błąd określenia nie przekracza 880-ej części jej długości; stosunkowo taki sam prawie błąd popełnia kupiec, gdy od-

mierzając metr sukna, odcina go o jeden milimetr zamało lub za wiele. Jednakże mały ten błąd jednostki planetarnej, której długość wynosi 150,000,000 klm., przedstawia pokaźną liczbę 170,000 klm. Oczywiście więc błędem tym obarczone są wszystkie odległości komety od planet i słońca, ponieważ w tych jednostkach są wyrażone.

Znacznie jeszcze mniej dokładne, niż odległości, są przyjmowane wartości mas. Wiemy dobrze, iż nawet na wadze aptekarskiej nie możemy ważyć tak dokładnie, ażeby nie popełnić przytem pewnego błędu, choćby tylko wynoszącego drobny ułamek grama. Astronomia, która określa ciężar ciał niebieskich, również nie określa go całkiem dokładnie. Chociaż błędy, popełniane przez nią, są nawet mniejsze stosunkowo od tych, które się popełnia w życiu codziennem, to bezwzględnie są one bardzo wielkie i wiele milionów kilogramów wynosić mogą. Z drugiej strony nie jest nam znana zupełnie masa komety, wiemy tylko, że jest ona tak mała, iż nie powoduje żadnych dostrzegalnych, a od niej tylko zależnych zjawisk. Chociaż więc wynosić może miliardy kilogramów, pomimo to we wszystkich obliczeniach kładzie ją się równą zeru.

Widzimy stąd, że przyciąganie planet, wywierane na komętę, jako zależne od mas i odległości, nie może być bez błędu określone, a więc też i ruch komety nie może być z całą dokładnością wyznaczony.

IV.

Jeżeli znane są źródła błędów, to zazwyczaj możemy podać przynajmniej granice, w których błędy od nich zależne zawarte być muszą. Ale do tych niedokładności przyłączają się liczne elementy całkiem nieuchwytnie. Więc przedewszystkiem nie znamy wszystkich mas naszego układu. Kiedy kometa Halley'a powróciła do nas w r. 1835, nieznaną była jeszcze wielka planeta Neptun, odkryta dopiero w r. 1845; do tego więc czasu wpływ tej planety na ruch komety wcale nie mógł być brany w rachubę i już choćby z tego względu droga jej nie mogła być tak dokładnie obliczona, jak dzisiaj, gdy wpływ tej planety się uwzględnia.

Ale czy możemy obecnie twierdzić stanowczo, że niema już żadnej planety poza Neptunem? Przecież cały szereg argumentów zdaje się przemawiać za jej istnieniem. A liczne planety

drobne, których corocznie odkrywa się kilkanaście, też nie pozostają bez wpływu na ruch komety, szczególnie gdy ta zbliża się do nich na niewielką odległość; lecz uwzględnienie tych wpływów praktycznie jest niemożliwe i dlatego przy obliczeniach pomija się je w zupełności.

Podobnych nieuchwytnych a bardzo prawdopodobnych źródeł błędów istnieje mnóstwo. Tak na przykład, przy obliczeniach zazwyczaj milcząco się przyjmuje, iż kometa nie doznaje żadnego oporu, gdy przebiega przestrzeń międzyplanetarną. Tymczasem wiele zjawisk przemawia za tem, że przestrzeń ta nie jest zupełnie pusta. Pomijając niezliczone drobne ciała, unoszące się w przestrzeni i wdzierające się w wielkiej liczbie do naszej atmosfery w postaci gwiazd spadających, oraz drobne pyłki kosmiczne, zwróćmy tylko uwagę na fakt zmniejszającego się okresu obiegu dokoła słońca komety Enckego, który tylko oporem w przestrzeni objaśniony być może. Dalej za jedyną siłę, od której ruch planet i komet zależy, uważa się w praktyce ciężenie powszechne, gdy tymczasem słońce jest też źródłem innych sił, których objawy spostrzegamy na przykład w zjawiskach magnetyzmu i elektryczności ziemskiej, w tworzeniu się i kierunku ogonów komet i t. p. Odpychanie materii ogonów przez słońce, które przeciwdziała sile ciężenia, zmniejsza do pewnego stopnia natężenie przyciągania i pociąga za sobą nie dające się uwzględnić zmiany ruchu komety. Dodajmy tu jeszcze niezupełną pewność, czy prawo Newtona jest idealnie ściśle, to zrozumiemy, iż astronom ma bardzo poważne powody, aby wątpić o tem, czy obliczone przez niego ruchy komety z rzeczywistymi zgadzają się w zupełności.

Jeżeli wszystkie w rachunku nieuwzględnione czynniki pociągają za sobą błędy, które nie są znikome w stosunku do błędów, którymi obarczone są przyjęte wartości mas, odległości i danych spostrzeżenia, to błąd rzeczywisty obliczenia musiałby wykroczyć poza granice określone. Nic więc dziwnego, iż astronomowie z takim upragnieniem oczekiwali ukazania się komety, ażeby się dowiedzieć, ile też błąd obliczenia w istocie wynosi.

V.

Z wielu prac, poświęconych komecie Halley'a, wyróżniła się oparta na najobfitszym materiale i obejmująca najdłuższy okres czasu praca dwóch astronomów angielskich Crommelina i Cowel-

la. Dzięki tej pracy znamy dzisiaj dokładnie przeszłość komety Halley'a od r. 240 przed narodzeniem Chrystusa. Przez genialny wybór metody obliczenia zakłóceń i umiejętnej organizacji pracy, dwaj wspomniani astronomowie przy udziale szeregu współpracowników byli w stanie wykonać pracę, godną najwyższego podziwu, obliczenia w ciągu kilku lat przybliżonych perturbacyj komety Halley'a w okresie czasu, obejmującym 2150 lat, oraz znacznie dokładniejszych dla okresu od r. 1759 do 1910.

Kiedy więc ogłoszone zostały efemerydy, wskazujące położenie komety na niebie, rozpoczęto poszukiwania komety już w czasie opozycji jej w r. 1908, aczkolwiek nadzieja znalezienia była jeszcze prawie znikoma. Wogóle trudno było znaleźć jakikolwiek punkt oparcia w przewidywaniu, kiedy kometa stanie się tak jasną, ażeby mogła być znalezioną czy to optycznie za pomocą najpotężniejszych narzędzi, czy to na drodze fotograficznej. Komety bowiem nie są ciałami o własnościach stałych, jak np. planety, lecz ulegają bardzo wielkim zmianom, gdy zbliżają się do słońca. Zmiany te dotyczą zarówno rozmiarów, jak i tych własności powierzchni, które decydują o zdolności odbijania światła słonecznego. Prócz tego kometa posiada własne światło, którego natężenie również zmienia się wraz z odległością komety od słońca.

Na początku r. 1909 kometa znajdowała się w odległości około 700 milionów klm. od nas i stale się do nas zbliżała z małymi wahaniem, zależnymi od ruchu ziemi, a w połowie roku zbliżyła się na odległość mniejszą niż 600 mil. klm., t. j. wynoszącą około 4 jednostek planetarnych. W takiej odległości od ziemi komety stosunkowo rzadko bywały widziane, ale wypadki takie są znane, a w swoim rodzaju osobliwością była kometa r. 1889, która znikła dla oczu naszych dopiero w odległości 8 jednostek planetarnych, t. j. gdy znajdowała się pomiędzy odległościami Jowisza i Saturna. Pomiędzy Marsem a Jowiszem, jak wiadomo, krąży wielka liczba drobnych planet, które w dogodnych położeniach mogą być obserwowane z ziemi, jako drobne gwiazdki. Pomimo, że są to ciała niebieskie nadzwyczaj małe, jednakowoż pod względem jasności przewyższają one znacznie komety, skoro te, znajdując się od nas w takich samych odległościach, widziane być nie mogą. Co do komety Halleya, można było w połowie r. 1909 powiedzieć tyle tylko, że ponieważ nie została jeszcze znalezioną, kiedy odległość jej od ziemi wynosiła 4 jednostki planetarne, to zatem w tej odległości nietylko była ona mniej jasną od małych planet, ale i od jaśniejszych komet. Naturalnie nie

można było stąd wyciągać żadnych wniosków co do tego, jaką będzie kometa w bliskości słońca, gdyż wiadomo, że często nawet najwspanialsze komety szybko ginęły dla oczu, gdy przekroczyły punkt przysłoneczny swej drogi. Przypomnijmy sobie wspaniałą kometę, która zjawiała się w styczniu roku ubiegłego. Wkrótce po jej ukazaniu się nastąpił szereg dni pochmurnych, a gdy potem zaczęła się pogoda, napróżno jej szukali ciekawi. Naturalnie przez lunety była ona widzialna jeszcze przez kilka miesięcy, ale jako zjawisko słabe i nie budzące większego zainteresowania.

Przez lipiec kometa Halley'a tylko we dnie znajdowała się nad poziomem i dopiero w sierpniu, kiedy wschodzić zaczęła na krótko przed wschodem słońca, poszukiwania rozpoczęły się na nowo i szanse jej znalezienia wzrastały. Ale minął sierpień i początek września a poszukiwania pozostały bez wyniku. Wtedy kometa wschodziła już około północy i przez całą noc pozostawała nad poziomem, tylko więc nadzwyczaj słabe światło mogło być przeszkodą do jej znalezienia. Dopiero w dn. 12 września telegramy rozniosły po świecie wieść, że prof. Wolf w Heidelbergu odkrył kometę w nocy z dn. 11 na 12 września. Pozostawiła ona drobny, ledwo uchwytny ślad na kliszy fotograficznej, wystawionej na ten punkt nieba, który wskazywała efemeryda Crommellina i Cowella. Znajdowała się wtedy pomiędzy gwiazdami γ i η gwiazdozbioru Bliźniąt na pograniczu z Orionem; odległość komety od ziemi w chwili odkrycia wynosiła 522,000,000 klm. i takąż prawie była odległość jej od słońca; znajdowała się więc w wierzchołku trójkąta prawie równoramiennego, mającego za podstawę promień wodzący ziemi a za jedno ramię promień wodzący komety. Kometa miała wygląd słabej plamki, pod względem jasności równej mniej więcej gwiazdom 16 wielkości, o średnicy wynoszącej około 10"; można też było zauważyć zgęszczenie pośrodku czyli zawiązek jądra.

Z obserwowanej średnicy przy znanej odległości komety wypływa, iż rzeczywista średnica komety była wtedy dwa razy większą od średnicy ziemskiej, a objętość 8 razy większa od objętości ziemi. Gdybyśmy sobie wyobrazili w tej samej odległości od ziemi i słońca np. planetę Marsa, to dorównywałby on jasnością gwiazdom 5-ej wielkości, czyli wydawałby się 10 tysięcy razy jaśniejszym od komety, pomimo że posiada średnicę prawie dwa razy mniejszą niż ziemia. Wynika stąd nadzwyczaj słaba zdolność świecenia komety, a więc też nadzwyczajna rzadkość tworzącej ją materii.

Najciekawszem jednakże, jak wiemy, w chwili odkrycia komety było pytanie, o ile w zgodzie z obliczeniem znajdowało się rzeczywiste położenie komety. Otóż wynik w tym względzie przeszedł wszelkie oczekiwania: odległość komety od punktu obliczonego wynosiła niespełna 6 minut łukowych, t. j. tyle co piąta część średnicy tarczy księżyca. Wspomnieliśmy poprzednio, że uwzględniając tylko niedokładność obserwacji i występujących w obliczeniu stałych, otrzymujemy wyniki, obarczone pewnym błędem, który wszakże nie może przekraczać pewnych granic. Gdyby błąd obliczenia przekraczał tę granicę, wtedy przyczyny tego należałoby szukać w różnych czynnikach nie uwzględnionych w rachunku, których szereg cały został wyliczony. Otóż dopuszczalne granice błędu obliczenia w przypadku komety Halley'a były o wiele większe, aniżeli błąd rzeczywisty, stwierdzony przez obserwacje. Wobec tego można obecnie powiedzieć, że jeżeli w istocie na ruch komety wpływają czynniki, nie uwzględnione w rachunku, to wpływ ich ogólny jest znikomy w porównaniu z prawdopodobnymi błędami stałych oraz spostrzeżeń. W ten sposób zostały usunięte wszelkie wątpliwości, odnoszące się do założeń, na których oparte są metody rachunkowe, wobec czego znaczenie i stosowalność ich na przyszłość w całości zostały zabezpieczone.

Skoro okazało się, że kometa została odkryta w tak małej odległości od miejsca, wskazanego przez efemerydy, poczęto skwapliwie przeszukiwać dawniejsze zdjęcia fotograficzne tych części nieba, w których znajdowała się kometa, na których mogła zostać przeoczona. W rzeczywistości znaleziono kometa na kliszy, otrzymanej w dniu 9 września w obserwatorium w Greenwich, oraz na fotografii z dn. 24 sierpnia, zrobionej w Heluanie w Egipcie. Wkrótce po odkryciu fotograficznym, a mianowicie już w dn. 15 września kometa poraz pierwszy była obserwowana optycznie przez największy współczesny 40-o calowy refraktor obserwatorium Yerkesa w Ameryce.

VI.

Odąd dość szybko mnożą się spostrzeżenia fotograficzne i optyczne, które dały możność z całą dokładnością wyznaczyć elementy komety, t. j. te wielkości, które określają dokładnie jej drogę w przestrzeni oraz położenie jej w stosunku do ziemi. Ele-

mentem, którego określenie nastęcza zawsze największą trudność, jest chwila przejścia komety przez punkt przysłoneczny. Według obliczeń Crommelina i Cowella miało ono nastąpić w nocy z dn. 16 na 17 kwietnia około g. 1-ej po północy. W rzeczywistości, jak ze spostrzeżeń, zrobionych po odkryciu komety, wypływa, nastąpiło dopiero w nocy z dn. 19 na 20 kwietnia około 2-ej po północy. Błąd obliczenia wynosił 3,07 dnia. Jak nieznacznym w istocie był ten błąd, wynika stąd, iż zmieniając kierunek osi wielkiej drogi komety, wypływający z obliczenia, o 5', można było osiągnąć zupełną zgodność rachunku ze spostrzeżeniem.

Wobec ustalenia daty przejścia komety przez punkt przysłoneczny możemy obecnie powiedzieć, że kometa została odkryta na 220 dni przed tem przejściem, a pierwsza obserwacja fotograficzna, zrobiona w Heluanie, pochodzi z dnia 239-go przed przejściem. Jeżeli porównamy te liczby z liczbami odpowiedniami, odnoszącymi się do roku 1835, to możemy stąd nabrać pewnego wyobrażenia o postępach astronomii w tym czasie. Naturalnie, aby porównanie to dało nam wskazówki prawdziwe, trzeba zauważyć, że sama kometa od r. 1835 żadnej zmiany nie uległa. Jeżeliby wszakże jakaś zmiana zaszła, to możnaby podejrzewać raczej zmniejszenie się niż zwiększenie jasności komety; w takim razie porównanie dat dałoby o tym postępie wyobrażenie mniej korzystne. W r. 1835 błąd najdokładniejszego obliczenia daty przejścia komety przez punkt przysłoneczny wynosił 3,4 dni, t. j. niewiele więcej niż w czasie ostatniego powrotu, ale odkrytą została kometa zaledwie na 102 dni przed datą przejścia; oczywiście było to odkrycie optyczne, ponieważ fotografia wtedy nie była jeszcze znana. Odległość komety od słońca wynosiła wtedy 292,000,000 klm. a od ziemi 365,000,000 klm., w roku zaś 1909 odpowiednie liczby, odnoszące się do pierwszej obserwacji komety w dn. 24 sierpnia, są 538 i 600 milionów klm. W chwili pierwszej obserwacji w r. 1835 kometa dorównywała jasnością gwiazdom 12,5 wielkości, w dniu 24 sierpnia 1909 kometa była zaledwie 16,5 wielkości.

Potęga więc narzędzi astronomicznych od r. 1835 wzrosła o tyle, że objęła w swoje posiadanie punkty świetlne, przypadające w granicach 4-ech wielkości, licząc od 12,5. Oznacza to wciągnięcie w zakres badań licznych milionów gwiazd drobnych, dawniej niedostrzegalnych, setek drobnych planet, słabych komet i t. p., a specjalnie w stosunku do komety Halley'a rozszerzenie zakresu badań na 117 dni biegu jej w części drogi, w której nigdy przedtem obserwowana nie była. A że i dokładność spostrze-

zeń wzrosła przynajmniej w tym samym stosunku, co i siła naryzędzi, więc jest rzeczą pewną, iż następny powrót komety Halley'a w r. 1986 będzie mógł być obliczony o wiele dokładniej i że odkryta zostanie znacznie wcześniej.

VII.

Aby dokładniej zrozumieć cały przebieg zmian, które nastężyła kometa Halley'a w czasie ostatniego powrotu, należy przypomnieć kilka szczegółów, dotyczących jej drogi.

Jak wiemy, droga komety Halley'a jest to elipsa, w której jednym ognisku znajduje się słońce. Elipsa ta jest bardzo wydłużona, tak, że w punkcie najdalszym kometa oddala się od słońca daleko poza drogę krańcowej planety układu słonecznego, Neptuna, na 5260 milionów kilometrów, a w punkcie przysłonecznym zbliża się do niego na odległość zaledwie 88 milionów kilometrów wynoszącą, t. j. przebiega pomiędzy drogami najbliższych planet, Merkurego i Wenusy. Płaszczyzna, w której przypada droga komety, nachylona jest względem płaszczyzny drogi ziemskiej, czyli ekliptyki, a kąt nachylenia wynosi około 18° . Dwie te płaszczyzny więc przecinają się ze sobą według pewnej linii prostej, która nazywa się linią węzłów. Prosta ta przecina się z drogą ziemi w dwóch punktach. Przez jeden z tych punktów ziemia przechodzi w dniu 19 listopada, przez drugi zaś w dniu 18 maja.

Linia węzłów dzieli drogę komety na dwie części, z których jedna o wiele większa przebiega na południe od płaszczyzny ekliptyki, druga zaś na północ od niej. Punkt, w którym droga przechodzi przez płaszczyznę ekliptyki z południowej półkuli na północną, nazywa się jej węzłem wstępującym, punkt zaś, w którym przechodzi przez tę płaszczyznę z półkuli północnej na południową, nazywa się węzłem zstępującym. Obiega kometa całą drogę w okresie, wynoszącym średnio około 76 lat, a w tym czasie tylko przez 4 miesiące znajduje się na północ od ekliptyki, w ciągu takiego czasu bowiem przebiega część drogi od węzła wstępującego do zstępującego; kierunek ruchu komety jest wsteczny, t. j. przeciwny ruchowi ziemi i innych planet dokoła słońca.

Kometa z ziemi widzialna jest zawsze w kierunku prostej, łączącej ziemię z komętą. Rzecz naturalna, iż aby ją można było spostrzedz, musi być noc, t. j. gdy kometa znajduje się nad poziomem, słońce musi znajdować się pod poziomem. To znaczy,

iż warunkiem koniecznym widzialności komety jest, ażeby prosta, łącząca ziemię z kometą, tworzyła kąt dosyć znaczny z prostą, która łączy ziemię ze słońcem. Znając ruch komety i ziemi, można w każdej chwili podać względne położenie ziemi, komety i słońca, a więc i dokładnie warunki widzialności komety określić. Pod tym względem można czas od chwili odkrycia komety Halley'a do jej zniknięcia podzielić na 3 okresy. Jak już wspomnieliśmy, w pierwszej połowie września 1909 r. kometa wschodziła około g. 11 wieczorem, a zatem przez całą noc znajdowała się nad poziomem. W tym czasie warunki widzialności jej stawały się coraz dogodniejszymi, gdyż wschodziła ona coraz wcześniej; w dniu 3 grudnia znajdowała się w przeciwstawieniu ze słońcem, t. j. wschodziła w czasie zachodu słońca, a zachodziła o wschodzie słońca, a więc przez całą noc mogła być obserwowana. Odtąd zaczęła zachodzić coraz wcześniej, tak, że w początku stycznia widzialna była tylko do pierwszej godziny po północy, przez luty tylko z wieczora, a w marcu zbliżała się coraz bardziej ku słońcu i ginąc zaczęła w promieniach zmierzchu wieczornego. Ostatnia obserwacja wieczorna, zrobiona dn. 14 marca, kończy pierwszy okres widzialności komety. Dnia 23 marca kometa znalazła się w połączeniu górnem ze słońcem, poczem je wyprzedziła i odtąd w ruchu dziennym nieba szła przed słońcem; widzialna wtedy mogła być tylko nad ranem, krótko przed wschodem słońca. Zanim jednakże odsunęła się od słońca o tyle, że nie ginęła w promieniach świtu, upłynęło od chwili połączenia jeszcze blisko trzy tygodnie i pierwsza obserwacja, zapoczątkowująca drugi okres widzialności komety, zrobiona była w dniu 12 kwietnia.

W tym czasie kometa szybko zbliżała się do ziemi, a zarazem warunki widzialności stawały się coraz korzystniejsze aż do chwili, gdy w dn. 6 maja kometa osiągnęła swą największą elongację zachodnią od słońca; wtedy odległość jej kątowna od słońca wynosiła 40° i wschodziła kometa blisko 3 godziny przed wschodem słońca. Teraz słońce zaczęło doganiać kometę na niebie, skutkiem czego wschodziła ona coraz później, a w dniu 18 maja nastąpiło dolne połączenie komety ze słońcem. Czas od 12 kwietnia do 18 maja stanowi drugi wybitny okres w obserwacjach komety. Po dn. 18 maja, kiedy odległość komety od ziemi była najmniejsza, przechodzi ona na stronę wschodnią względem słońca, od którego coraz bardziej na niebie się oddala; skutkiem tego widzialna jest następnych wieczorów coraz dłużej po zachodzie słońca. W tym czasie, który jest trzecim okresem widzialności

komety, warunki obserwacji były najdogodniejsze. Kometa przedstawiała zjawisko dosyć łatwo gołym okiem dostrzegalne u nas, a nawet bardzo piękne w miejscowościach o lepszym klimacie. Trwało to jednak niedługo, gdyż wzrastająca odległość komety od ziemi oraz pozorny ruch komety na niebie, skierowany ku półkuli południowej, sprawiły, że już w pierwszych dniach czerwca kometa ledwo była dostrzegalna, a w połowie czerwca zginęła dla oka niezbrojonego.

VIII.

Zajmijmy się nieco szczegółowiej spostrzeżeniami komety, zrobionymi w trzech wyżej wymienionych okresach. Już w pierwszych dniach po odkryciu obserwatorowie charakteryzują komętę, jako słabą mgłę z koncentracją dokoła środka, a niektórzy spostrzegają nawet słabe jądro w postaci drobniutkiej gwiazdki. Tak jasność ogólna komety, jak i jasność jądra, wzrasta stale. Chociaż spostrzeżenia dokonywane prawie jednocześnie często podają wielkości komety znacznie od siebie się różniące, co trudnością obserwacji, różnorodnością używanych przyrządów, oraz różnicami klimatu się objaśnia, to można przecież ogólny wzrost jasności stwierdzić. Tak w dniu 12 września kometa miała jasność równą gwiazdom 15,8 wielkości, w początku października wzrosła do 15-ej wielkości, w końcu października osiągnęła 14-ą wielkość, w połowie grudnia przekroczyła 11-ą, w połowie stycznia 10-ą, a w czasie, gdy zbliżając się do połączenia górnego ze słońcem w marcu, ostatni raz była widziana, miała jasność gwiazd 8-ej wielkości.

Wzrost jasności jakiegoś ciała, o rozmiarach i własnościach powierzchni niezmiennych, świecącego tylko w odbitych promieniach słonecznych, zachodzi według określonego i bardzo prostego prawa: znajduje się on w stosunku odwrotnym do kwadratu odległości tego ciała od słońca i do kwadratu jego odległości od ziemi. W ten sposób zmienia się jasność planet. Powyżej wymienione jasności komety stwierdzają wzrost jej daleko szybszy, aniżeli z tego prawa wynika. Badania nad prawem wzrostu jasności prowadzą do wniosku, że w ciągu całego tego pierwszego okresu jest on odwrotnie proporcjonalny do 5,4 potęgi odległości od słońca. Prawo to jest prawdopodobnie wynikiem całego szeregu czynników, których wyodrębnienie jest rzeczą bardzo trudną

a praktycznie dotąd niemożliwą. Zachodzi tu przede wszystkim zmienność rozmiarów komety. Jak widzieliśmy, w chwili odkrycia kometa miała objętość 8 razy większą od ziemi, a np. w dniu 30 stycznia, jak wypływa z pomiarów, była ona już 2800 razy większa od ziemi, t. j. objętość jej wzrosła do tego czasu 350 razy. Naturalnie wzrost ten odbył się kosztem gęstości tworzących kometę gazów, która w tym samym stosunku musiała się zmniejszyć, a przez to zmienić się też musiała w znacznym stopniu zdolność odbijania promieni słonecznych. Jak się zdaje, wzrost jasności tak szybki głównie przypisać należy własnemu światłu komety, którego natężenie wzrastało stale pod wpływem coraz silniejszego działania na nią słońca. Wykrycie prawa wzrostu własnego światła komety jest rzeczą nader ważną, gdyż tylko dzięki niemu będzie można się dowiedzieć jakiego rodzaju jest owo działanie słońca na komety, które powoduje ich samodzielne świecenie. Niewątpliwie i cały szereg przeobrażeń, jakim komety w bliskości słońca ulegają, temu samemu działaniu słońca przypisać trzeba.

Jednocześnie z temi zmianami jasności, których ogólny przebieg odpowiada prawu odwrotnej proporcjonalności do 5,4 potęgi odległości od słońca, można było stwierdzić całkiem nieregularne wahania jasności, zawarte w dosyć rozległych granicach. Takie wahania np. wystąpiły w sposób wybitny w końcu listopada i w początku grudnia. Gdy według wspomnianego prawa w d. 22 listopada kometa powinna była być 12-ej wielkości, w rzeczywistości była ona o przeszło 2 wielkości jaśniejsza. Podobny skok jasności zaszedł dn. 4 grudnia, a 6 grudnia już kometa znowu wróciła do jasności normalnej. Z tych spostrzeżeń zdaje się wynikać, że proces wzrastania jasności podlega pewnym zakłóceniom, wyrażającym się w wybuchach, które są w stanie kilkakrotnie powiększyć w ciągu krótkiego czasu jasność komety.

Równoległe ze wzrostem ogólnej jasności komety, stwierdzić można też było stały wzrost jasności jądra, chociaż wahania jasności są tu częstsze i zachodzą w granicach rozleglejszych. W chwili gdy jasność komety przekroczyła 8-ą wielkość, jądro jej przewyższało jasnością gwiazdy 9-ej wielkości.

Że światło komety w rzeczywistości tylko w części było odbitem światłem słonecznym, stwierdzają także badania widmowe. Na tle widma ciągłego ukazuje się kilka kondensacyj świetlnych, których w widmie słonecznym niema. Najwybitniejsze z nich znajdowały się w części ziofiolkowej, a więc tylko fotograficznie mogły być stwierdzone. Położeniem (długością fali) odpowiadały

one pasmu cyanu, t. j. związku węgla z azotem. Połączenie tych pasm wzrastało stale, tak, że pod koniec r. 1909 światło komety w głównej mierze pochodziło od cyanu, a odbite światło słoneczne tylko w skromnej mierze przyczyniało się do ogólnego efektu świetlnego komety.

Po wybuchach światła w końcu listopada i początku grudnia spostrzeżenia zaczynają stwierdzać nieznaczne zmiany w wyglądzie komety. Zaczyna się ona wydłużać w kierunku prostej, łączącej ją ze słońcem, skutkiem czego przyjmuje kształt eliptyczny, a jądro, które dotąd znajdowało się w pośrodku mgiełki kometarnej, przesuwa się w stronę słońca i zajmuje położenie ekscentryczne.

Zresztą prócz stałego wzrostu rozmiarów, który tylko w części był skutkiem zbliżania się komety do ziemi, a głównie od rzeczywistego wzrostu objętości jej zależał, żadnych szczegółów nowych nie można było zauważyć aż do końca stycznia. Dopiero w dn. 30 stycznia na zdjęciach fotograficznych występuje słaby ogon w postaci cieniutkiej smugi światła długości 20', skierowany ku słońcu. Średnica komety wynosiła wtedy 2,5'. Chociaż ogon ten nawet za pomocą najpotężniejszych narzędzi nie mógł być dostrzeżony, to przecież o jego istnieniu wątpić nie było powodu. Odległość komety od ziemi wynosiła wtedy 1,7 jednostki planetarnej, skąd wypływa długość ogona półtora miliona kilometrów.

W następnych tygodniach, oprócz stałego wzrostu głowy komety i jądra można też było stwierdzić stały wzrost długości ogona. W połowie lutego długość jego na niebie wynosiła 1,50, t. j. tyle prawie, co potrójna szerokość tarczy księżyca, a wypływająca z tej pozornej długości długość rzeczywista wynosiła około 7,000,000 klm. W tym czasie zauważono też, iż obok tego pierwszego ogona tworzyć się zaczął drugi, nachylony do niego pod kątem około 70°. I ten drugi ogon stopniowo się wydłużał, a jednocześnie kąt nachylenia obu ogonów się zmniejszał; a że jednocześnie przestrzeń pomiędzy ogonami zapełniała się materią słabo świecąca, więc w ten sposób powstał z nich jeden krótki ale stosunkowo szeroki ogon w postaci litery V. Taki wygląd zachowała kometa aż do czasu, gdy w pierwszej połowie marca znikła w promieniach wieczornego zmierzchu dla oczu obserwatorów.

Aż do końca tego pierwszego okresu kometa pozostała dla szerszej publiczności niewidzialną. Wyniki naukowe polegały przede wszystkim na tem, że ustalona została z całą dokładnością

droga komety, oraz cały dalszy przebieg jej widzialności, o ile on zależy tylko od ruchów komety. Prócz tego stwierdzono wpływ słońca na wytwarzanie się własnego światła komety i zauważono stopniowy proces tworzenia się jądra oraz ogona z wazutkich wyskoków ognistych, wydzielających się z jądra komety.

IX.

Przerwa w obserwacyach, spowodowana sąsiedztwem słońca, trwała z górą miesiąc i szereg dalszych zmian, tem ciekawszych, że w tym czasie kometa szybkim krokiem zbliżała się do punktu przysłonecznego swej drogi, dokonał się w tajemnicy przed ciekawem okiem badaczy nieba. Połączenie górne komety ze słońcem nastąpiło w dn. 23 marca, ale trudno było przewidzieć z góry, kiedy kometa na tle wschodniego nieba, rozjaśnionego promieniami świtu, stanie się znowu widzialną. W każdym razie nie spodziewano się jej zobaczyć prędzej, jak w połowie kwietnia. W istocie poraz pierwszy na wschodnim niebie kometa była widziana w Rio Janeiro w dn. 12 kwietnia. Potem obserwowano ją w wielu innych miejscowościach, odznaczających się dobrym klimatem, a pod koniec kwietnia stała się widzialną także i w naszych szerokościach geograficznych. Kometa była wtedy już naprawdę okazała, ale wygląd jej nie odpowiadał oczekiwaniom. U nas przedstawiała się ona dla gołego oka jako żółtawa gwiazda, otoczona mglistą aureolą, a z boku jej tylko z trudem spostrzedz można było słaby odblask, którym był krótki ogon, odwrócony od słońca. Dokładniej naturalnie szczegóły można było badać przez lunety lub za pomocą fotografii. Szczególnie zwracało uwagę jądro, które w wyglądzie swym podlegało ciągłym zmianom. W niektórych dniach było zarysowane ostro i miało wygląd gwiazdy, w innych dniach przedstawiało się jako jasna tarcza okrągła lub wydłużona, a więc kształtem przypominała planetę; czasami jądro całkowicie się zacierało i wydawało się tylko najjaśniejszą częścią głowy, której jasność ku środkowi wzrastała w sposób ciągły, a kilkakrotnie pośrodku tej koncentracji zjawiało się drobne jąderko, tylko przez silne teleskopy dające się zauważyć. Wobec tego w bardzo rozległych granicach wahają się różnice pomiędzy ogólną jasnością komety a jasnością jądra. Jak jeden z astronomów charakteryzuje te wahania, epo-

ki, w których kometa miała dużo jądra a mało głowy, zmieniały się kolejno z epokami, w których było mało jądra a dużo głowy.

Jasność ogólna komety w tym czasie była znacznie większa, niżby wypadało z prawa wzrostu jasności, otrzymanego ze spostrzeżeń pierwszego okresu widzialności. Świadczy to, że w odległości od słońca nieco mniejszej, niż jednostka planetarna, jasność komety szybko zaczęła się wzmacniać i, jak z ogółu spostrzeżeń wypływa, największa bezwzględna jasność komety przypadła na czas przejścia jej przez punkt przysłoneczny w dn. 18 kwietnia. Nie znaczy to naturalnie, że i z ziemi w dniu tym najjaśniejszą się wydała. Zmniejszająca się wtedy w dalszym ciągu odległość od ziemi pociągała za sobą dalszy jej wzrost i gdy dla obserwatora ziemskiego przedstawiała zjawisko najokazalsze w drugiej połowie maja, jasność jej rzeczywista była już 5 razy mniejsza od jasności maksymalnej z dnia 18 kwietnia.

Wynik ten jest bardzo doniosły. Znajduje się on w sprzeczności z dotychczasową opinią, według której kometa osiąga swoją największą jasność dopiero w jakiś czas po przejściu przez punkt przysłoneczny.

Z badań nad zmianami jasności komety wypływa dalej, że po przejściu przez punkt przysłoneczny jasność jej zmniejszała się nie tak prędko, jak wzrastała w czasie zbliżania się komety do tego punktu. Gdy z obserwowanych jasności obliczymy jasność, którąby kometa posiadała dla obserwatora, umieszczonego w odległości jednostki planetarnej od komety, to wynika, że w 36 dni przed epoką przejścia była ona 5.8 wielkości, w czasie przejścia 2.3 wielkości, a w 36 dni po przejściu spadła do 4 wielkości. Ztąd wynika, że w ciągu ostatnich 36 dni, poprzedzających epokę przejścia przez punkt przysłoneczny, siła światła komety wzrosła się 25-krotnie, a w ciągu 36 dni po przejściu zmniejszyła się tylko 5 razy. Po upływie tych dni 36 zmniejszanie się jasności zachodziło w przybliżeniu zgodnie z prawem zmian, podanem poprzednio.

Bardzo ciekawe zmiany zachodziły w ogonie komety, które szczególnie wyraźnie występują na fotografiach. Ogon w postaci litery V wydłuża się i zwęża coraz bardziej; słabe światło wypełnia przestrzeń wewnętrzną, brzegi znacznie jaśniejsze zarysowują się ostro; jaśniejszym jest raz prawy, to znów lewy brzeg.

Okolo 20 kwietnia widzimy w ogonie szereg odgałęzień w postaci promieni, przebiegających wewnątrz ogona lub też krzyżujących się z brzegami. Na niektórych fotografiach dostrzedz można w ogonie miejsca o różnej koncentracji świetlnej,

plamy jasne i ciemne i t. d. Wogóle w wyglądzie ogona zachodzą szybkie zmiany, tak, iż w dwóch dniach kolejnych otrzymuje się obrazy bardzo różne. Na fotografii z 13 maja ogon komety ma wygląd wachlarza do połowy zamkniętego; od bardzo jasnej głowy, w której gwiazdzistego jądra wcale spostrzedz nie można, rozchodzą się żyły światła i kometa ma wygląd bardzo przypominający komety Daniela z r. 1907, która znowu przedstawia analogię do wieloogoniastej komety z r. 1744. Długość ogona jednakże przy wszystkich tych zmianach komety była niewielka aż do przejścia komety przez punkt przysłoneczny. Zdawało się, że od marca nie powiększyła się ona wcale. Dopiero z końcem kwietnia ogon zaczął wzrastać szybko, co naturalnie częściowo stało w związku ze zmieniającym się kątem widzenia i szybkim zbliżaniem się komety do ziemi.

Dnia 30 kwietnia ziemia, widziana z komety, znajdowała się w kwadraturze ze słońcem, a więc w dniu tym prosta, łącząca ziemię z kometą, była prostopadła do promienia wodzącego komety, a zatem i do ogona, jeżeli ten wypadał na przedłużeniu promienia wodzącego. Skutkiem tego ogon, widziany z ziemi, nie był perspektywicznie skrócony i rozciągał się na niebie na długość 7° . Ale i po kwadraturze, pomimo że położenie ogona staowało się coraz bardziej ukośne względem kierunku patrzenia, długość ogona wzrastała bardzo szybko. Wynosiła ona d. 1 maja 8° , dn. 12-go maja 32° , dn. 15-go 55° , dn. 16-go 70° , dn. 17-go 90° , dn. 18-go maja 130° .

Liczyby powyższe nie są oczywiście bardzo dokładne, ponie waż absorbey atmosferyczna i tło nieba niezupełnie ciemne częściowo zacierały zjawisko. W każdym razie dają one wyobrażenie o olbrzymich rozmiarach ogona i o szybkim jego wzroście. Wzrost ten naturalnie w tym okresie czasu nie był rzeczywisty, lecz zależał jedynie od szybkiego zbliżania się komety do ziemi, która niebawem miała się w ogonie pogrążyć. Prędkość ruchu względnego ziemi i komety wynosiła wtedy $6\frac{1}{2}$ miliona kilometrów na dobę, a długość rzeczywista ogona przeszło 60 milionów kilometrów.

Długość ogona w dniu, poprzedzającym połączenie dolne, wynosząca 130° , była olbrzymia, prawie że bezprzykładna. Gdyby położenie jego było prostopadłe do horyzontu, to rozciągałby się on od horyzontu do zenitu i po drugiej stronie sięgałby jeszcze do połowy odległości między zenitem i horyzontem. Ale ogon tej długości widzialny był tylko przez nielicznych obserwatorów, w warunkach najlepszych, jakie na ziemi można znaleźć. Liczby

podane wynikają z obserwacji, zrobionych na Semmeringu oraz na górze Mount Hamilton w Kalifornii, w obserwatorium Leika.

U nas w tym czasie nawet w dniach najpiękniejszych ogon prawie zupełnie nie był widzialny. Dwie okoliczności głównie niekorzystnie wpływały na wygląd komety i sprawiały zawód tym wszystkim, którzy wstawali przed wschodem słońca, aby nadzwyczajne zjawisko podziwiać. Przedewszystkiem, jak już wspomnieliśmy, niekorzystne warunki atmosferyczne. Nawet gdy noce były bardzo piękne i pogodne, tuż ponad wschodnim horyzontem unosiła się warstwa mgieł, nie przepuszczająca zupełnie światła komety. Dopiero wzniołszy się nad tę warstwę mgieł, kometa stawała się widzialna, ale silnie osłabiona przez bardzo grubą i gęstą warstwę powietrza w tej wysokości. Z drugiej strony północne położenie słońca sprawiało, że pierwsze błyski astronomicznego świtu zjawiały się na blisko 3 godziny przed wschodem słońca, i gdy kometa wznosiła się ponad opary, niebo wschodnie było już zawsze silnie rozjaśnione. Na tem tle jasnym występowały tylko jaśniejsze gwiazdy, a że i kometa pomimo to mogła być dobrze widziana, świadczy to o dużej jej jasności, przewyższającej jasność gwiazd 1-ej wielkości. Ale natężenie światła ogona było za małe, aby na rozjaśnionem niebie mógł się uwydatnić. Im bliżej równika, tem świt jest krótszy, a więc też warunki obserwacji lepsze.

Jaką była kometa w rzeczywistości, t. j. jak się przedstawiała tam, gdzie wpływ atmosfery i świtu był najmniej szkodliwy, o tem jeszcze później damy dokładniejsze wyobrażenie.

X.

Na noc z 18 na 19 maja przepowiedziane było przejście ziemi przez ogon komety. Zastanówmy się nieco dokładniej nad podstawami tej przepowiedni oraz weźmy pod uwagę warunki konieczne, aby się mogła spełnić.

Linia węzłów drogi komety, która, jak widzieliśmy, przecina drogę ziemską w punktach, przez które ziemia przechodzi w dniach 19 listopada i 18 maja, przecina również i drogę komety w dwóch punktach. Przez jeden z tych punktów, jak z obliczenia wynika, kometa przeszła dnia 17 stycznia, przez drugi zaś przejść miała w dn. 18 maja. Tylko zatem w tych dwóch dniach kometa znajdowała się w płaszczyźnie ekliptyki. Gdy kometa

przechodziła przez pierwszy z tych punktów, ziemia od linii węzłów, przez którą przeszła 19 listopada, była odległa o całą dwumiesięczną swoją drogę, ale w dniu 18 maja i ziemia i kometa przechodziły przez linię węzłów, a więc w tym samym dniu znajdowały się w płaszczyźnie ekliptyki i prawie na jednej linii prostej, przechodzącej przez słońce.

Taki zbieg okoliczności był podstawą, na której opierały się przypuszczenia, że ziemia w czasie górnego połączenia komety ze słońcem może przejść przez ogon komety. Wyjaśnijmy tę sprawę nieco dokładniej.

Jeżeli w czasie nowiu księżyc przechodzi w bliskości jednego z węzłów swojej drogi, to ziemia, księżyc i słońce przypaść mogą na jednej linii prostej; wskutek tego księżyc, znajdujący się pomiędzy ziemią i słońcem, zasłania słońce i powoduje zaćmienie. Wiemy, z jaką dokładnością wszystkie szczegóły zaćmienia dla każdego punktu ziemi można z góry obliczyć. W podobnych warunkach wobec ziemi i słońca znajdowała się kometa Halley'a w dniu 18 maja. Ponieważ dnia tego ziemia, głowa komety i słońce jednocześnie znaleźć się musiały na jednej linii prostej, więc musiało nastąpić, że się tak wyrazimy, zaćmienie słońca przez komety, t. j. przejście komety przez tarczę słoneczną.

Obliczenia, odnoszące się do tego przejścia, jako oparte na dokładnych obserwacjach pozycji jądra, mogły być wykonane z zupełną ścisłością. Przejście trwać miało godzinę, początek obliczony był na godzinę 4 m. 27, koniec na godz. 5 m. 27 rano dnia 18 maja według czasu środkowo-europejskiego. Oczywiście obserwowane być mogło przejście tylko w tych punktach ziemi, w których w czasie wymienionym słońce znajdowało się nad poziomem, a więc w całej wschodniej połowie Europy wkrótce po wschodzie słońca, oraz w całej Azji i Australii w tem późniejszych godzinach dnia, im bardziej na wschód położone były miejsca obserwacji. Odległość ziemi od komety wynosiła w tym czasie zaledwie 22 miliony kilom. Z pomiarów głowy komety, wykonanych dawniej, można było obliczyć, iż z tej odległości powinny wydawać się większą, aniżeli tarcza słońca. A więc w godzinach rannych 18 maja, jak z tych obliczeń wypływa, promienie słońca u nas przeświecały przez materię głowy komety.

Co do możliwości wszakże zauważenia przejścia komety przez tarczę, zachodziły z góry wielkie wątpliwości. Były bowiem przykłady analogiczne. Oto w r. 1882 jaśniała na niebie wielka kometa, która była tak świetna, że można ją było widzieć nawet w dzień na tle całkiem jasnego nieba. Droga komety była

taka, iż wiadano, że przechodzić ona będzie przez tarczę słoneczną i przygotowano się do obserwacji tego przejścia. Wobec wielkiej jasności tej komety, za pomocą lunet można ją było widzieć jeszcze w bezpośrednim sąsiedztwie słońca na kilka chwil przed zetknięciem się jej z tarczą słoneczną. Ale w tej samej chwili, gdy przesunęła się na tarczę, zginęła momentalnie, jakby stopiona przez żar słoneczny. Nie można było dojrzeć na tarczy słońca najmniejszej plamki lub choćby najlżejszego przyćmienia jasności w tych miejscach tarczy, w których się znajdowała. Ale w istocie nic się jej nie stało, po krótkim czasie bowiem ukazała się znówu, lecz już po drugiej stronie tarczy słońca, niezmienną zupełnie.

Było to zjawisko nader pouczające, stwierdzające raz jeszcze zupełną przezroczystość nie tylko głowy komety, ale i jądra dla przechodzących przez nie promieni światła.

Kometa Halley'a taka, jak była widziana w Europie, pod względem świetności ustępowała znacznie komecie z 1882 r. Nie tylko bowiem nie można jej było obserwować w dzień, ale już od 14 maja nie widział nikt u nas głowy komety, kiedy ona odległą była od słońca jeszcze na kilkanaście stopni i dosyć długo przed wschodem słońca znajdowała się nad horyzontem. Tylko ogon, którego części dalsze wschodziły o kilka godzin wcześniej niż głowa, w tym czasie był obserwowany. Wobec tego też szanse zobaczenia komety Halley'a na tarczy słonecznej były niezbyt wielkie.

Wprawdzie od r. 1882 przyrządy i metody obserwacji udoskonalone zostały bardzo; naprzykład sposób fotografowania w świetle monochromatycznym, t. j. w promieniach jakiejś określonej długości fali, pozwala dzisiaj fotografować protuberancje i pochodnie słoneczne przy pełnym świetle słonecznym; pomimo to nie udało się dotąd w pełnym świetle słońca ani zobaczyć, ani fotografować korony słonecznej, która, jak i dawniej, dostępna jest dla obserwacji jedynie w czasie całkowitych zaćmień słonecznych. Tymczasem światło komet, a szczególnie ich ogonów, pod wielu względami przypomina światło korony słonecznej, a więc też mało było prawdopodobne, aby w zastosowaniu do komety sposób ten lepsze wydał wyniki.

Nie będziemy tu wyliczali wszystkich przygotowań do obserwacji przejścia komety przez tarczę i wszystkich zagadnień, których pogłębienia i wyjaśnienia spodziewać się było można, gdyby obserwacje, pomimo wszystko, dały jakiś wynik dodatni. Wynik ogólny bowiem był całkowicie ujemny.

Przejście komety przez tarczę nie zaznaczyło się absolutnie niczem: ani przyćmieniem światła słonecznego przez głowę komety, ani wystąpieniem jakichś ciemnych punkcików w miejscach, gdzie znajdowało się jądro, ani wystąpieniem obrazu komety na fotografiach, robionych w świetle promieni, wysyłanych przez kometę, ani wystąpieniem jakichś linii absorbcyjnych w widmie słońca, wywołanych pochłonięciem promieni słonecznych przez materię komety i t. p. Jedyny wyjątek stanowi obserwacja, dokonana przez astronoma rosyjskiego, Sykorę, w Taszkencie, który, w celu obserwacji przejścia, z pomocą lunety rzucał obraz słońca na ekran, umieszczony w zupełnie ciemnym pokoju. Na obrazie pokazała się bardzo słaba plamka, którą ten uważał za kometę. Wobec tego wszakże, iż w wielu innych miejscach w sposób podobny obserwowano przejście i prócz zwykłych plam słonecznych nie na tarczy podejrzanego nie zauważono, obserwacja Sykory wzbudza poważne wątpliwości. Może plama na obrazie spowodowana została przez słabą chmurkę, która w tym czasie przesunęła się przed słońcem.

XI.

Sprawa przejścia ziemi przez ogon komety była o wiele bardziej skomplikowana. Co do przejścia komety przez tarczę słoneczną nie było żadnej wątpliwości od czasu, gdy droga komety z dostateczną dokładnością obliczona została. Nie było też wątpliwości i później, że to przejście w istocie zaszło, pomimo, że przez żadną pewną obserwację nie zostało stwierdzone.

O przejściu ziemi przez ogon komety zawsze mówiono, że jest możliwe, ale nigdy nie twierdzono, że nastąpi ono z pewnością. Zależało ono bowiem od wielu różnych okoliczności, które nie mogły być z całą ścisłością wzięte w rachubę. Wiadomem było, że 18 maja kometa przechodzić będzie przez płaszczyznę ekliptyki, że tego samego dnia ziemia przejdzie przez linię węzłów komety, a dalej, że kometa w tym czasie znajdować się będzie między ziemią a słońcem, a ogon, odwrócony od słońca, skierowany będzie ku ziemi.

Ale z faktu, że kometa i ziemia na linii węzłów znajdują się jednego dnia, nie wynikało jeszcze bynajmniej, że znajdą się na niej jednocześnie. Kometa miała przejść przez linię węzłów o godz. 10 m. 36 rano, ziemia zaś dopiero w 18 godzin później.

Prędkość ziemi wynosiła 30 klm., a prędkość komety 47 klm. na sekundę, a ponieważ te dwa ciała biegły na przeciw siebie, więc zbliżały się ku sobie z prędkością 77 klm. na sekundę. Gdyby zatem momenty przejścia komety i ziemi różniły się tylko o jedną sekundę, to w chwili przejścia komety przez linię węzłów, ziemia jeszcze byłaby od niej o 77 klm. odległa. Że zaś różnica ta wynosiła, jak wspomnieliśmy, 18 godzin, więc łatwo było obliczyć, że, w chwili przejścia ziemi przez linię węzłów, kometa będzie od tej linii już o 3 miliony klm. odległa i o blisko 400,000 klm. od płaszczyzny ekliptyki. Gdyby więc materya ogona rozproszona była całkowicie w płaszczyźnie drogi komety, to o spotkaniu się ziemi z ogonem w ogóle nie mogłoby być mowy. Aby spotkanie nastąpić mogło, ogon powinien był mieć dostateczną grubość. Z drugiej strony, gdybyśmy nawet przypuścili, że ogon komety przypada ściśle na przedłużeniu promienia wodzącego, co w rzeczywistości nigdy nie zachodzi, trzeba by mieć pewność, że ogon jest przynajmniej tak długi, jaką jest odległość komety od ziemi. Czy warunki wymienione będą spełnione, o tem mogły decydować dopiero obserwacje ostatnich dni przed przejściem.

O komecie z r. 1882 wiedziano na pewno, że przejdzie ona przez tarczę słoneczną, że więc przejście komety i ziemi przez linię węzłów nastąpi prawie jednocześnie i że kometa wtedy pomiędzy ziemią a słońcem się znajdzie, a pomimo to sprawa przejścia ziemi przez ogon komety wtedy wcale nie znajdowała się na porządku dziennym. Kometa ta bowiem znajdowała się tak blisko słońca, że aby jej ogon mógł dosięgnąć ziemi, musiałaby mieć długość blisko 150,000,000 klm. Gdybyśmy jeszcze przypuścili, że ogon jest tylko choćby o jeden stopień od promienia wodzącego odchylony, to krańcowe jego części odchylone byłyby od ziemi na 3,000,000 klm., taką więc musiałaby być grubość ogona, ażeby mógł ziemię dotknąć. Widzimy więc, że potrzebne rozmiary ogona, t. j. i długość jego, i grubość, były zbyt nieprawdopodobne, ażeby można było spodziewać się spotkania z ziemią.

O wiele korzystniej zapowiadały się warunki w przypadku komety Halley'a. Długość wymagana wynosiła zaledwie 22 miliony klm., a grubość, nawet przy pewnym odchyleniu ogona od promienia wodzącego lub lekkim zakrzywieniu, wynosząca tylko milion kilometrów, całkowicie była wystarczająca. I dlatego prawdopodobieństwo spotkania było tak wielkie, że z możliwością jego trzeba się było liczyć całkiem poważnie.

Ale tymczasem kometa dn. 18 kwietnia przeszła już przez punkt przysłoneczny i zbliżał się początek maja, a wszystkie ob-

serwacye stwierdzały jednogłośnie, że ogon komety wciąż jest bardzo krótki, że długość jego co najwyżej kilkanaście milionów kilometrów wynosi. Również i co do prawdziwego kierunku ogona nie można było podać dokładnych danych, gdyż małe odchylenie lub zakrzywienie dopiero przy daleko większej długości ogona, widzianego na niebie, objawić by się mogło. Widzimy więc, że stopień pewności, iż przejście ziemi przez ogon nastąpi, nie znajdował się w żadnym stosunku do pragnienia, aby to przejście naprawdę nastąpiło.

Dopiero w maju, jak to już poprzednio widzieliśmy, zaczął się bardzo szybki wzrost ogona, i wtedy stwierdzono, że posiada on długość 60 milionów klm., i grubość całkiem dostateczną, aby ziemia w nim utonąła nawet w takim razie, gdyby odległość komety od płaszczyzny ekliptyki w czasie połączenia ze słońcem była znaczna.

Ale z drugiej strony teraz dopiero obserwacye stwierdzić mogły, że ogon nie tylko jest odchylony od kierunku promienia wodzącego i w dalszych swoich częściach dość silnie odgięty od kierunku jego osi, ale że jest też wzniesiony na północ ponad płaszczyznę drogi. Ciekawe były wyniki zdjęć fotograficznych w porównaniu ze spostrzeżeniami optycznymi. Ze zdjęć, otrzymanych przez Wolffa, wynikało, że oprócz części widzialnych dla oka, w ogonie znajdowała się materia, która wysyłała tylko promienie chemiczne, pozostawiające ślady swojego działania na kliszach. Ogon fotografowany był daleko grubszy od optycznego i wykazywał w niektórych miejscach zgrubienia, jakby obłoki, oddzielające się od niego. Było bardzo możliwe, że ziemia znaleźć się może przynajmniej w takim obłoku fotograficznym, jeżeli nawet główna widzialna część ogona z nią się nie zetknie.

Naturalnie o tych obserwacyach ostatnich dni przed oczekiwanem przejściem, robionych przeważnie w bardzo odległych miejscowościach i ogłoszonych dopiero później, szerszy ogół nic nie wiedział, a również i większość astronomów miała o nich wiadomości niedostateczne.

Jakkolwiekby na przejście ziemi przez ogon zwrócona była powszechna uwaga. Ogół uważał je za rzecz pewną, nauka za możliwą i prawdopodobną. Do obaw jakichkolwiek z tego powodu nie było żadnych podstaw i wskazówki naukowe w tym względzie powinny były wszelki niepokój usunąć, jednakże nie we wszystkich budziły one zaufanie. Objawy strachu wystąpiły w postaci najrozmaitszej. Za dawnych czasów, jak wiadomo, uważano komety za przyczyny najrozmaitszych klęsk i modlitwami stara-

no się przebłagać Boga, który je za grzechy ludzkości zsyłał. Tak samo i teraz wielu ludzi niepewnych życia i zdarzeń przyszłych, oblegało konfesjonały i oddawało się modlitwie. Inni szczerze zamykali okna i wszelkie otwory, przez które mogły się wdrzeć do ich domu trujące gazy kometarne, lub też zaopatrywali się po aptekach w tlen, tak potrzebny do oddychania, dopóki zapasy jego nie zostały wyczerpane. Są to fakta całkiem autentyczne, o których wiadomości pochodzą ze wszystkich okolic ziemi.

Astronomowie ze swej strony poczynili wszystkie przygotowania, aby nadarzącą się sposobność należycie wyzyskać i nie przeoczyć żadnego ze zjawisk, które wystąpić mogły. A sposobność ku temu, rzecz można, była jedyna. Wprawdzie wiadomo, że ziemia i dawniej przez ogony komet przechodziła, nawet już w XIX stuleciu były dwa takie wypadki; ale były to wnioski, które wypływały dopiero z dokładnego obliczenia ruchów tych komet, dokonanego dopiero wtedy, gdy komet już dawno nie było. To też naturalnie żadnych spostrzeżeń programowych nie robiono. Wiadomo tylko, że nie wystąpiły żadne zjawiska nadzwyczajne, gdyż nie widział ich ogół i nawet nie znaleziono o nich wzmianek w notatkach i spostrzeżeniach astronomicznych. Ale komety tamte były to zjawiska jednorazowe i zwrócenie uwagi na możliwość przejścia z góry na dłuższy czas naprzód było niemożliwe. Teraz miało to być przejście przez ogon komety peryodycznej, i to tej jedynej peryodycznej, która ogon posiada, i chociaż 30 powrotów jej zanotowały kroniki, to, jak z obliczeń wypływa, nie zdarzył się dotąd taki zbieg okoliczności, aby kometą i ziemią w jednym dniu przeszły przez linię węzłów. Było to więc zdarzenie w istocie wyjątkowe.

M. ERNST.

Z niewydanych utworów M. Konopnickiej.

TEKST DO MSZY ŚPIEWANEJ.

1. Introit.

Do Boga mego, jak do żywej wody,
Spragniony biegnę w czas błogiej pogody.
Do Boga mego i do Zbawiciela,
Co młodość moją duchem uwesela.

Do Boga mego, do Jego ołtarzy,
Jak gołębica, dusza się ma waży.
Od rzesz nieświętych jedyna mi droga
Do mego Boga!

2. Kyrie.

Kyrie elejson — zmiłuj się, o Panie!
Chryste elejson — winy nasze zmaż!
Wejrzyj na ludu Twego pokajanie,
Pokaż mu dawne swoje zmiłowanie,
Ojcowską ku nam racz obrócić twarz...
Kyrie elejson — winy nasze zmaż!...

3. Gloria.

Niech śpiewa Syon! Niech brzmi ziemia cała
Odgłosem hymnów i radosnych lir.

O chwała! Bogu na niebiosach chwała!
A zbożnym ludom pokój tu i mir!

O wstań, Łazarzu, z swojego barłogu,
Wzniesź w górę czoło zrzuc śmiertelny kir!
O chwała! Chwała na niebiosach Bogu!
A zbożnym ludom pokój tu i mir!

4. Graduale.

Na padół smutków i boleści
Swe żywe słowo zesłał Pan,
I zstąpił zwiastun dobrej wieści,
I zakon został ludom dan!

O Chryste! Niechaj zdrój żywota
Ze słowa Twego spłynie nam!
A kiedy burza się rozmiota,
Wśród dzieci Twoje zestąp sam!

5. Credo.

W mądrość przedwieczną, która światy tworzy,
Słońca zapala, sieje blaski zorzy,
Morza napelnia i gwiazd drogi strzeże,
W Boga i w Ojca wszechistnienia — wierzę!

W miłość najwyższą, co wzgardziła niebem,
Z ludźmi się dzieląc gorzkim życia chlebem,
W miłość, co krew swą dała nam w ofierze,
W zbawcę ludzkości, w krzyż Chrystusa — wierzę!

W serc czystych Twórcę i Pocieszyciela,
W światło, co wieki i ludy obdziela,
W bóstwa z człowiekiem wieczyste przymierze,
W Ducha Świętego, w Tróję Świętą — wierzę!

Wiarą tą znacę pierś i czoło moje,
O spraw to Panie, niech przy niej dostoję,
Ukarz, gdy lud Twój zasłuży na karę!
Lecz nam pozostaw ojców naszych wiarę!

6. Offertorium.

Ofiarę czystą i dar nieskalany
Niesiemyć, Panie, na zglądzenie win.
Gdy gromem błysnie Ojciec rozgniewany,
Niech męką swoją przebłąga Go Syn!

Miłości oto najwyższej objata,
Wszechmocy bożej moc tajna i cud.
Zdrój żywej wody obmywa grzech świata
I chleb anielski nakarmia Twój lud!

O przyjmij, Panie, ten kielich zbawienia,
Bo nadszedł błogi litości Twej czas.
I białą hostyą Twego przebaczenia
I wszechmiłości obdziel wszystkich nas!

7. Sanctus.

W istności swojej dla nas niepojęty,
Co słońce miliony masz u swoich nóg,
O święty! Trzykroć święty, święty, święty,
Pan nasz i Bóg!

Serafów chóry, jak łan zboża zgięty,
Gwiazdzistem czołem biją w niebios próg.
O święty! Trzykroć święty, święty, święty,
Pan nasz i Bóg!

8. Benedictus.

O podniesiony na krzyżu, o Chryste,
Wyciągnij ku nam przebite ramiona!
Gdy duch w ciemnościach omdlewa i kona,
Ty nad nim rozpał swe światło wieczyste!

O podniesiony na krzyżu, o Panie!
Z otchłani wieków wołamy ku Tobie.
Ty zbaw swe wierno, a nawiedź je w grobie,
I ducha ożyw i daj zmartwychwstanie!

9. Agnus.

O Zbawicielu, o Baranku boży,
Coś wziął na siebie Ojca swego gniew,
Kiedy nas pomsta wszechmocna zatrwoży,
Gdy Pan prawicę ciężką swą położy,
Bądź nam miłościw, o Baranku boży,
Coś za nas oddał ciało swe i krew!

10. Benedictio.

Na życie walki i na skon,
Na pracę ducha i na trud,
Na posiew dobra i na plon,
Błogosław, Panie, wierny lud!

Bądź w sercach naszych, w myślach bądź,
Błogosław każdej chaty próg,
Jednością wzmacniaj, zgodą rządź,
Boś Ty nasz Ojciec! Ty nasz Bóg!...

MARYA KONOPNICKA.

„FENIKS SAMOJEDNY“

(Z życia księcia Udalryka Radziwiłła).

„Potomnym wiekom pozostałe skrypta
moje, wjelkości mojej dadzą wszystkim wy-
obrażenie, i co teraz polityka skryta i za-
zdrość muje tłumi, poniża, to mję śmierć
na celu powszechnej admiracyi wystawi, iż
njejeden rzeczę tym wierszem: I skoro go-
dny z śwjata tego schodzi, zazdrość już
kona, a sława sję rodzi.“

*(List do Rostkowskiego, star. oryżkowskie-
go, 13 kwiet. 1765).*

Że wesóło się kochał książę miecznik litewski Mikołaj Fau-
styn Radziwiłł w Barbarze Zawiszance, której ojciec Krzysztuf,
sławny regimentarz z czasów wojny szwedzkiej, umarł potem
wojewodą mińskim, że przytem wszyscy pili, tańcowali i hulali,
nawzajem siebie tłumnie najeżdżając, że oblubieniec mieszkał
w Zdzięciole, zwanym Wenecyą, ponieważ tam ludzie, jak w mo-
rzu wenety, mokną w miodzie i winie; że nie czekając na rzym-
ską dispensę, wzięto ślub forsą w skróconym terminie, 4 grudnia
1710 roku, — o tem wszystkiem wiemy już od pięćdziesięciu lat,
dzięki ś. p. Joachimowi Bartoszewiczowi, co to nam tyle ślubów,
płasów, win i amorów odgrzebał z niepamięci i ożywił. Piętna-
ście razy spływała święcona woda na owoce wesółego, błogosła-
wionego stadła, a pierwszym owocem był książę Udalryk-Krzysz-
tof-Karol, urodzony w Zdzięciole 19 lutego 1712 r., dość słynny
w dziejach nietylko litewskich książę koniuszy. Otóż na osobli-
wościach tego płodu niedosyć poznał się wylawca notat ojca Za-

wiszanki, pierwszy badacz pamiętników Matuszewicza, wogóle pierwszy oracz tamtych soczystych gleb.

Czytelnik, słysząc nazwisko „Radziwiłł,” wyobraża sobie pewno coś grubego i swawolnego, jak ks. Panie Kochanku, kogoś potężnego, jak ks. Janusz, wyższego nad przesady obywatelskie, jak ów Bogusław, koniuszego naszego predecesor, despotycznego i srogiego w gniewie, jak Hieronim Floryan, chorąży litewski, a może pobożnego, jak pielgrzym Sierotka albo kanclerz Albrecht Stanisław. Jeżeli tak sądzisz, to mylisz się, czytelniku. Świat się nie kończy w Galacu ani w Radomiu: Udalryk tylko objętością ziemskiej powłoki zakasował całą parantelę i zdobył u cudzoziemców przydomek: „*le gros prince Radzivil*,” — pod innymi względami był to człowiek do niczego przedtem nie podobny, duch całkiem oryginalny, nieporównany, książę-unikat.

Skąd on wyrósł, jak się uchwalał w środowisku, które nawet dla królików i królewiatek miało swój szablon wychowawczy i szablon społeczny, obliczony na produkcję karmazynów i dostarczanie ładajakiej treści herbarzom? Wyjaśnić to niełatwo. Rodziców tak scharakteryzował w r. 1738 jakiś drezdeński doradca Augusta III: wojewoda nowogrodzki (t. j. właśnie ks. Mikołaj) „charakter, nie dający się określić pod względem umysłu i serca. Jego przemówienia i czyny mogłyby niekiedy wzbudzać podejrzenie, czy nie jest obłąkanym. W gruncie rzeczy nie posiada innych maksym i konduity, prócz tych, które mu zechce przepisać żona. Nie mają prawie majątku i należeć będą do tego, kto im da więcej. Ona ma rozum, jest wyniosła i gwałtowna. Obcy pieniądz i siła dały im środki do utworzenia w obecnych wypadkach czegoś w rodzaju stronnictwa, bo zresztą nie mają na Litwie żadnego szacunku ani konsyderacyi.“

Wojewodzie wy pływał na widownię publiczną tak samo, jak sześćdziesięciu sześciu innych wojewodzie. Uczęszczał zamłodu do akademii wojskowej lignickiej, nie ochrzczonej jeszcze wówczas, za tchórzliwego panowania Fryderyka Wilhelma, ani jedną kroplą krwi; można się było nauczyć w niej raczej musztry niż wojny, lecz Ulryk z pierwszych napotkanych książek cudzoziemskich, nauczył się, jak zobaczymy, czego innego. Wróciwszy, zaczął służyć ojezyźnie. Posłował z powiatu słonimskiego na Sejm walny grodzieński r. 1730, lecz podczas tego debiutu, kiedy najbliżsi koligaci jego tamowali obrady, nie miał ani razu sposobności otworzyć ust. To też i nagroda nie przyszła natychmiast: łowiectwa litewskiego odmówiono mu z despektem, bo z oddaniem pierwszeństwa koroniarzowi.

Bezkrólewie na wielu podziałało, jak drożdże. Książę Mikołaj potrafił zrobić swego pierworodnego w Nowogródku sędzią kapturowym,—okoliczność, rzucająca więcej światła na powagę tej jurydykcyi, niż na sędziowskie kwalifikacye ledwo pełnoletniego elekta. Młodzieniec też, zamiast sądzić gwałcicieli spokojności publicznej, dał się obrać posłem na konwokacyę, pojechał do Warszawy; doznawszy tam niemiłej przewagi zjednoczonych Potoczkich i Czartoryskich, stojących na czele piastowskiego obozu, doczekawszy się wyłączenia cudzoziemca od tronu w chwili, gdy ojciec brał już z ambasady rosyjskiej pierwsze łapówki za poparcie Sasa, złożył pod uchwałami konwokacyi swój podpis „*salva manutentione in omnibus punctis* tej konfederacyi *excep. jur.* której biorę *ad referendum et placitum* do braci“ innymi słowy, razem z wielu innymi, zastrzegł sobie prawo nieszanowania artykułów, „wziętych do braci,“ a bodaj nawet całej konstytucyi zjazdowej, o ile kto inny, swój lub obcy, nie uszanuje wszystkich punktów zaprzysiężonej konfederacyi. Omówienia takie, jak wiadomo, w oczach augustowców ratować miały przyzwoitość złamania przysięgi konwokacyjnej na ekskluzyę kandydata cudzoziemca, a jednocześnie otwierały furtkę do obozu rosyjskiego; co znaczyło zagadkowe „*excep. jur.*“ wolno było każdemu na swój sposób zgadywać. Był jednak potem Ulryk na elekcji Leszczyńskiego i głosował za nim, a oddawszy głos, ruszył za śladem innych do armii rosyjskiej. Wtedy też zapewne zawarł bliższą znajomość z rosyjskim żołnierzem, o której wspominał z czasem, niby o służbie wojskowej.

Pretendent, który odniósł przewagę — August III — zapłacił księciu Ulrykowi koniuszostwem wielkiem litewskim (25 lipca 1734), oddając poprzednikowi buławę polną; dodał niebawem (9 listopada 1735) pułkownikostwo w regimencie pieszym tejże buławy, dalej wójtostwo magdeburgii mińskiej (1738), wreszcie starostwo mińskie. Mianowany deputatem do sądów nadzwyczajnych na burzycieli (1736), w krótkim czasie sześć razy zaszczycony funkcją poselską, wjechał koniuszy 31 sierpnia 1739 r. na swoje starostwo, przedstawił się miejscowej szlachcie, jako wnuk i następca Krzysztofa Zawiszy, przysiągł i ufundował sąd grodzki.

Tyle należało mu się w nagrodę „zasług przy dostojęństwie Majestatu,“ okazanych w mętnej porze bezkrólewia. Na dalszy awans trzeba było już zarabiać inaczej, bo według tego typu pracy, jaki ustalił się na pierwszych sejmach nowego panowania, poczynając od pacyfikacyi. Mało kto umiał tak pracować, jak Rzewuski albo Mikołaj Podoski, z czystą myślą o dodatnich dla

tronu i państwa skutkach samej pracy, a niekażdy z tych, co mieli dalsze myśli uboczne lub osobistą prowadzili politykę, umiał zestroić się z dążeniami dworu. Przed Radziwiłłami droga wiodła się wśród sprzeczności, od których nie uwolniły ich wszystkie przemiany konjunktur za Augusta III.

Gdyby chodziło tylko o katechizm ogólnych, prostych zasad, nie byłoby tak bardzo nad czem łamać sobie głowy. Księżna Barbara, która faktycznie trzęsła mężem, jego fortuną i klientelą, a nieraz wodziła za sobą i jego bogatych krewniaków, postępowała według wypróbowanych metod radziwiłłowskich z męską energią i z nieżeńskim rozumem. Ten rozum zawarł się w kilku aksjomatach wytycznych. Przedewszystkiem, należy trzymać się Rosyi, bo inaczej przepadnie pięciotysięczna pensya, zarobiona podczas bezkrólewia, a w razie ściągnięcia na siebie gniewu rosyjskiego mieliby książęta zbyt wiele do stracenia. Dlatego agent Lieven, przysłany w r. 1741 z Petersburga na przespiegi, tudzież celem usypiania ducha rokoszowego Potockich, znajdował w Zdzięciole jeden z najgościnniejszych punktów oparcia. Dla wschodniego mocarstwa robiło się wyjątek z drugiej wytycznej zasady: „Patryota dobry powinien być imparcyalny, dobra uniwersalnego szukać, nie za czyją iść manudukcyą, wszystkich menażować podług publicznego ojczyzny interesu.“ Radziwiłłowa głosiła z dumą: „my cnoty i sprawiedliwości nigdy nie odstępimy i dla Pana i dla ojczyzny.“ „Prawą drogą idziemy, zawsze do sprawiedliwego ciągnąc końca.“ Żadna złość, żadna „zazdrość piekielna“ nie powinna ściągać wychowanków zdzięciolskich z tych prostych ścieżek. Tylko, rzecz naturalna, nie trzeba być donkichotem, trzeba się liczyć z duchem czasu. „Już teraz świat spolityczniał i świętymi nie tak prędko Rzym uzna, jak w prymicyach Kościoła, bo wiele jest superficyi: trzeba się z czasem zgadzać, a zawsze być poczciwym i dobrym patryotą.“ „Dyabelska szkoła poczciwym ludziom nieprzyzwoita, ale też bardzo modna, trzeba ją znać, ale nie naśladować.“

Ilekróć wszakże wzrok księżnej podnosił się z papieru, na którym takie kreśliła nauki, ku otaczającemu życiu, ścieżki płały się fatalnie. Pierwszą komplikacyę wprowadziło to, że wprawdzie król przyjaźnił się z Rosyą, a Radziwiłłowie dla dogodzenia Rosyi służyli królowi, ale do tego akordu interesów i tendencyj wdzierał się od chwili wywyższenia Brühla ton rozdzwicznny, płynący z piersi rodziny Czartoryskich. Ów ton okazał się dla dworu w dobie wojen śląskich najpokrewniejszym, bo antypruskim, najczystszy i najpotężniejszy, skutkiem czego utworzył

się nowy dominujący akord dworsko-familijny, przy którym rdzen-ny głos radziwiłłowski, o ile chciał brzmieć, musiał się nieco przestraszać, sprzeniewierzać samemu sobie. Dziedziczka dzięciolska i dziedzic nieświeski, ks. Michał „Rybeńko,” uznawali zgodnie, iż „Rzeczpospolita póty od zamieszania i wprowadzenia w co szkodliwego wolna, póki sejmu nie będzie,” a panowie wołyńsko-puławscy ciągnęli do sejmów, do reform, nawet do wojny, skoro już trzeba taką ofiarą okupić poparcie mocarstw dla aukcyi wojska. Robiło się przecież dla dworu i Rosyi dużo: książę Michał przed wojowniczym sejmem grodzieńskim 1744 r. będzie urządził kampaent, książę Mikołaj, jako generał i regimentarz, własnym sumptem skompletuje pułk komputowy, który przedtem z własnej winy zaniedbał. Na tę pierwszą komplikacyę i bolączkę znieczuliła Radziwiłłów druga: ich grzmoty i pioruny absorbował wtedy kto inny, nie Czartoryscy. W dniach młodości ks. Ulryka żyły jeszcze i szumiały dwa dęby spróchniałe, ostatni dwaj Wiśniowieccy: Michał, kanclerz, a potem hetman litewski i wojewoda wileński, oraz Janusz, kasztelan krakowski, niby sprzymierzeńcy z pod Kamienia i jeszcze z pod Olkienik, lecz wciąż nieznośni, przemożni rywale na reasumpeyach i sejmikach. Pyszny i gwałtowny Michał przeżył o kilka lat księcia kasztelana († 16 stycz. 1741). Korybut w wojsku nie robił dystynkcyi między Radziwiłłem i przybłądą Haudringiem, nie raczył pamiętać, że przecież podczas bezkrólewia, gdy sam pilnował Wołynia i Rusi, państwo dzięciolscy grali pierwsze skrzypce na Litwie. Korybutowie byli godnością pierwsi, więc Radziwiłłowie musieli iść przeciw nim, mniejsza o to, z czyją pomocą. Tak czuła w głębi serca najdumniejsza z nich, wojewodzina nowogrodzka; natomiast dziesięćkroć bogatszy od niej hetman polny, ów ks. Michał, szanując w starszym koledze stryja swej żony i własnego szwagra, stawiał mu się wyjątkowo łagodnie, a przeciwnie zaćmiewał innych Radziwiłłów, tak dalece, że w oczach księżny Barbary „największym naszym i całego domu naszego stał się nieprzyjacielem, radby nas wszystkich widzieć Giedroyciami.“

Dodajmy do tego Sapienhów i ich porachunki ze wszystkimi bez wyjątku dynastyami litewskimi, dodajmy rozpychające się ambicye Ogińskich, Paców, Pocięjów, a nieco później obok, w Koronie, Tarłów i ich zwadę z Poniatowskimi oraz wojnę domową o Żółkiew z Radziwiłłami, — a otrzymamy ogólny obraz galimacyaszu, wśród którego księżna Barbara chciała prowadzić za rękę młodego Udalryka.

Lecz on się nie dał prowadzić nikomu. Spojrzał w siebie i znalazł tam wypisaną krótką dewizę całego życia: wolność. Wolność od powinności państwowo-społecznych, od własnej tradycji i konsekwencji logicznej, od programów partyjnych, od nałogów rodzinnych,—i umiłowanie wolności. Najwcześniej obudziła się wrażliwość i troskliwość o *liberum veto*, ów „klejnot krwi przodków zdobyty.“ Jeżeli przed wizytą Lievena koniuszy pomagał jeszcze do stłumienia zakusów konfederackich Romanowskiego w ziemi chełmskiej i przyjął za to order Aleksandra Newskiego, to było snąc omamieniem, bo od początku r. 1742 wyczuł coś podejrzanego w szybkich zwrotach dyplomacyi brühlowskiej i w jej zbliżeniu do familii. Matka radziła czekać na sejm; syn z powodu wyborów deputackich w Koronie pisał złowróźnie do jednego z ministrów: „Już znaczne *specimina* są do złamania wolności, kiedy kardynalne prawa *liberi veto et liberae electionis* deputatów się łania... Wiem, że mnie drudzy nie mogą cierpieć i do dalszych awantazów moich są wszędzie przeszkodą, ale cnota mi będzie promotorem, o nic więcej nie dbam, mam duszę jedynaczkę, trzeba ją pielęgnować“ (!).

Właściwie żaden konkretny plan reformy nie wyrastał, póki się nie ustaliła kombinacya sojuszów: Czartoryscy z Saksonią, Rosyą, Austryą i Anglią przeciw Potockim, Francyi i Prusom. Dopiero w początkach r. 1744 powstało dla Radziwiłłów pytanie, z kim się łączyć, rozstrzygnięte odrazu na korzyść dworu warszawskiego. Lecz już jesienią poprzedniego roku poleciał gorliwy książę Udalryk do Wrocławia, zetknął się z przysięgłym obrońcą wolności polskich, rządem pruskim, i rozpisał do poufanych osób jakieś niebezpieczne listy. Fryderyk II, słysząc, że do niego puka człowiek o notorycznie rusofilskim nazwisku, potraktował rzecz bardzo ostrożnie: kazał rezydentowi Hoffmannowi wywieźć się, „czy można o tyle o ile spuścić się na księcia Ulyka Radziwiłła, czy ma on dość stanowczości i dobrej woli, aby przedsięwziąć podobne dzieło bądź osobiście, bądź to przez kogoś innego, i ile pieniędzy wypadnie na to użyć“; widocznie kwerenda wypadła ujemnie, bo ostatecznie uplanowane „dzieło,“ t. j. zniszczenie aukcyi wojska na sejmie grodzieńskim, powierzone zostało Potockim i Janowi Tarle. Tymczasem zaszedł wypadek wówczas bardzo zwyczajny. Pani Barbara poniewczasie przysłała synowi przestrożę, że „jak po szpilkach, tak z pocztą trzeba postępować.“ Dyabelska szkoła wykryła umizgi wrocławskie i poinformowała o nich Petersburg. *Odor sanctitatis* zdzięciolskiego dworu mocno się zanieczyścił. A koniuszy, ledwo uniewinnwszy

się przed posłem rosyjskim Kayserlingiem i matką, nieustraszenie forsował na sejmiku chełmskim instrukcyę opozycyjną, odbierał zlecenia od szefa malkotentów, Józefa Potockiego, słowem, zupełnie wyemancypował się z karności rodowej. Nie poparty przez swoich, zwalczany przez obcych, przepadł z kretesem na wybo-
rach; wolność i Fryderyka obronili republikanci Potocy.

Matka spostrzegła, że się źle dzieje. Pobiegnęła do Grodna przepraszać Brühla, Czartoryskich, oraz dyplomatów koalicji habsburskiej i zażegnała skutki synowskiej samodzielności, wówczas tem groźniejsze, że pensya rosyjska zalegała, a niebawem, po śmierci ks. Mikołajaja (2 lutego 1746), miała zawisnąć w niepewności, i trzeba będzie całego sprytu Zawiszanki, aby zapewnić sobie doraźną subwencyę 10,000 rb. Stało się to podczas powtórnego objazdu przez Lievena, w asystencyi ks. Wołkońskiego, rezydentcy magnackich (wiosną 1746 r.). August III, nie zrywając z Rosyą i familią, odwracał wtedy życzliwą twarz ku Francyi i Potockim; zdawało się rzeczą możliwą służyć naraz i Rosyi, i Potockim, i dworowi. Jakoż w kwietniu słyszemy ks. Ulyrka, przy-
mawiającego się w Petersburgu o pięćotysięczną pensyę, lecz uzyskującego jeno tysiąc rubli, których kontynuacya zależeć ma od sprawowania się pensyonaryusza, dotychczas bowiem „strona rosyjska nie miała zeń żadnej korzyści.“ Potockim zasługuje się bezpartyjny książe na stanowisku komisarza w Radomiu, gdzie z wielkim „hazardem i rezolucyą“ utrzymuje powagę władzy hetmańskiej. Dworowi wreszcie służy na październikowym sejmie warszawskim, tym osobliwym sejmie, którego gospodarze, republikanci, jedną ręką dyrygowali obradami, zmierzającemi niby do prędkiej aukcyi wojska, a drugą brali z tyłu pieniądze od Fryderyka na udaremnienie wszelkich uchwał. Tam „*facundissimo eloquio*“ roztrząsał książe spory o pierwszy głos między Małą i Wielką Polską, bronił zasady czartoryszczyków, że zapóźno rugować posła, któremu się pozwoliło wotować na marszałka, powstawał na tamowanie obrad: „Nie wiem, czemu tego nie mam szczęścia, ażebym mógł mieć głos wolny? Wszak i ja jestem „*os de ossibus vestrīs, caro de carne vestra*.“ Naglił do całowania do-
broczynnej ręki pańskiej, został deputatem do sądów sejmowych, a gdy zaproponował karę śmierci na krzywoprzysięzców, oprócz konfiskaty dóbr i utraty urzędów, zbudowana izba obrała go do komisyi, mającej ułożyć korekturę trybunałów. W materyi podatków przemawiał zgodnie ze wszystkimi niemal posłami województw ruskich, t. j. przeciw kockwacyi ich z Wielkopolską; projektowanej komisyi generalnej radził dać władzę nieograniczo-

ną do powiększenia wojska. Wogóle ten sejm uchodzi za moment największego zbliżenia między rodziną i Radziwiłłami, chociaż też rozbił się „o świece,” a właściwie o egoizm kresowego ziemiaństwa i o intrygi magnackie, koniuszy, będąc siódmym i ostatnim raz w życiu posłem, napracował się na nim rzetelnie i mógł się głaśkać nadzieją wdzięczności. Tylko że wielostronna służba nie wszystkim dogadzała. Poseł rosyjski Bestuzew zanotował sobie pracowitość Udalryka i jeszcze pod koniec 1748 r. rekomendował go swemu rządowi do podwyżki, głównie ze względu na wpływy matczyne w województwie nowogrodzkim. Dwór zapłacił tem, że pozwolił księciu hetmanowi mianować go regimentarzem (1747) i przysłał patent generał-lejtnancki (1748).

Przez śmierć Michała Wiśniowieckiego († 16 września 1744) stosunki rywalizacji magnackiej uprościły się o jeden współczynnik: na Litwie drugi potentat, t. j. Michał „Rybeńko,” posunięty na hetmaństwo wielkie i województwo wileńskie, jał się obracać frontem przeciw potędze trzeciej, t. j. familii, sięgającej już po pierwszeństwo. Tem samym zbliżył się do Potockich i już na sejmie 1748 r., pomimo okazywanej dworowi uległości, mógł przez swych subordynowanych agentów iść po republikancku parować nieśmiało, delikatne próby obciążenia liberi veto. Koniuszy litewski z tej komitywy żadnych nie umiał wydobyć korzyści. Jego zasługę komisarską pogrzebały w oczach Potockich grzechy poselskie, owe kilka czy kilkanaście przemówień na sejmie warszawskim, wymierzone po części przeciw opozycyjnemu skrzydłu patriotów. Obiecany przy świadkach najpierwszy wakans chorągwiarny oddał hetman komu innemu. Jaką taką zgodę ratował jeszcze wojewoda wołyński, Michał Potocki. Ledwo ów jednak zamknął powieki (1749), jmc pan Dominik Zuliński, towarzysz znaku pancernego, nasłany przez Feliksa Potockiego, starostę krasnostawskiego, wpada z gromadą chłopów, zbrojnych w rusznice, koły, cepy, do dóbr Oleśnicy, do których rościło sobie jakieś prawa sąsiednie starostwo i wypędza precz generał-lejtnanta Radziwiłła. Ów zaskoczony wolał „zachować się jak rzymski senator wobec gallów,” niż dawać odpór swawolnej kupie. Posłał tylko list do Józefa Potockiego z ostrzeżeniem, iż będzie zmuszony, w razie niedojścia zgody polubownej, „przed całą uzalić się ojczyznę i *exemplo* książąt Wiśniowieckich, od domu Sapieżyńskiego afrontowanych, u szlachty szukać kompasji i dobrze wkorzeniony zagranicą renowować kredyt.” Wkrótce po tem zajściu, nie załagodzonem ze strony Potockich dostateczną submisją, widać księcia koniuszego, zajętego takimi praktykami, o których

chce się powiedzieć: *post hoc ergo propter hoc*. Jak wiadomo, stronnictwo „patriotyczne,“ podkopując na sejmach walnych regularną, jednolitą reformę wojskową, spróbowało użyć jednej części programu aukcyi do swoich agitacyjnych i może powstańczych celów,—tej części mianowicie, która uzupełniać miała zwiększenie komputu ogólnego milicjami wojewódzkimi, albo, według dzisiejszej terminologii, obroną krajową. Pod wpływem „patriotów“ niektóre województwa południowo-wschodnie sprawiły sobie taką milicję czy też policję na obronę przed hajdamakami. Same przez się chorągwie ziemskie niekarne, skłonne do wybryków, partyjne, były parodią reformy, były i nielegalne, i na nieprawem oparte podatkowaniu, ale, jak skutek okazał, były koniec końcem lepsze, niż zupełna bezbronność. Dwór, Czartoryscy, Lubomirscy nie uznali tego i zaczęli zwalczać milicje w Radomiu drogą sądową. Hetmani koronni: Potocki, po nim J. Kl. Branicki i Wacław Rzewuski bronili ważności laudów wojewódzkich. Książę Udalryk, siadując w Berdyczowie, wiedział dobrze, co to są hajdamacy, i nawet sam miał w życiu chwilkę wojowniczości: bezpośrednio przed zajazdem Oleśnicy zabawił się w podjazd na bandytów, poniósł, jak mówili pochlebcy, „życie na całopalenie“ i unieśmiertelnił drukiem swą wiktoryę. Lecz wobec inicjatywy krzywdzicieli Potockich posunął się dalej, niż ich główni wrogowie, bo podążył do Radomia popierać manifesta szlachty, niezadowolonej z nowych ciężarów podatkowych, potem, wobec przychylniej milicyom postawy trybunału, napiętnował z towarzyszami i dekret radomski 1752 r., i augmentowane przez kijowian podymne, „ruinę i dezolację własnej ojczyzny ominujące,“ wcześniej też na wszelki wypadek dał znać o zbrojeniach ukraińskich rezydentowi rosyjskiemu. Sprawa milicyj przewlekła się, aby po kilku latach upaść zupełnie. Koniuszy odplacił Potockim, zrobił oszczędność i zasłużył się opiekuńczemu mocarstwu.

Z tem wszystkiem coraz widoczniej czekał go los ludzi wykolejonych. Naokoło robiła się pustka. Ci, z którymi razem osłaniał klejnot wolności, zlekceważyli go i odepchnęli. Ci, z którymi uzbierał niby armię komputową i rozbrajał zaciągi terytorjalne, naprawdę nigdy go nie potrzebowali. Poseł francuski, Des Issarts, nagabywany w końcu 1749 r., upewniał, że interesy koniuszego leżą mu na sercu, jak jego własne, i załączał... konwensowskie życzenia noworoczne. Wspomniany dopiero co rezydent rosyjski, Ryszewski, „człdek poczciwy i szlachcic polski,“ pisywał obiecująco, że „Najjaśniejsza Monarchini moja bynajmniej nie powatpiewa, że W. Ks. Mość w nieodmiennych pozostaniesz

sentymentach, co będzie okazała do dalszej i większej daleko od terażniejszej łaski“; Udalryk na rachunek tych nagród odsyłał czasem wierzycieli do kasy rosyjskiej, tymczasem Rzyszewski, uiściwszy mu w r. 1752 resztę, t. j. 3,000 rb. zaległości, nadał nic nie miał do ofiarowania. Gdy premier Brühl nabył generalstwo artylerji koronnej, Radziwiłł grzecznie powinszował mu i zaproponował kupno koniuszostwa: Brühl podziękował.

Z pieniędzmi było coraz kusiej, stosunki rodzinne coraz gorsze, i te dwa utrapienia potęgowały się nawzajem. Pani matka, najtęższa pono mózgownica w całej rodzinie, prowadząc politykę zagraniczną i wewnętrzną, najpilniej dbała o wzrost fortuny rodowej, i sama niezaprzeczenie dokazała cudów na tem polu. Wychojąc za księcia Mikołaja, zastała na jego dobrach kilkuset chłopów i siedemkroć osiemdziesiąt tysięcy długu; z takim jednak talentem „męażowała publiczne z domowymi interesami,“ że dom utrzymała z honorem, synów na milionowych poobsadzała fortunach, a mężowi wyrobiła za życia niezgorszą opinię, po śmierci—przynajmniej w listach kondolencyjnych senatorów i ministrów—tytuł „wielkiego patrioty.“ Owdowiawszy, straciła znaczne dochody, a jednak bez nowego zadłużenia się spłaciła wierzycielom 200,000 kapitału i odsetki od reszty długów. Dumna więc była z siebie, ze swego gniazda—ale nie z piskląt.

Córki—zwyczajnie, jak to córki—Teresa Barbara poszła za Scypiona, marszałka nadw. litewskiego, Brygida za Antoniego Sołłohuba, generała artylerji litewskiej, jednego z tych „znakomitych“ i „zasłużonych“ mężów, których znakomitość umarła razem z zasługami; dwie inne wojewodzianki znalazły ukojenie w klasztorach wizytek i benedyktynek. Z synów mniejsza była pociecha. Najlepiej jeszcze pokierował sobą trzeci syn, ks. Jerzy (ur. 1721 r.) „pan wzrostu pięknego, hoży, silny i piękny, serca mężnego,“—ten ożenił się z Sapieżanką, wcześniej przewodniczył trybunałowi wileńskiemu (1744) i wcześniej osiadł na osieroconem województwie nowogrodzkim, — cóż kiedy umrzeć miał bezpotomnie w kwiecie lat (13 grudnia 1754). Stanisław, najmłodszy, wbrew woli matki, pojął z inklinacyi za towarzyszkę dożgonną Karolinę Pocięjównę, wojewodziankę trocką (1746). Zabołało to księżnę, ale pogodziła się z losem. Stanisław, bądź co bądź, stworzony na obraz i podobieństwo innych Radziwiłłów, wybrał pannę z wysokiego gniazda, około swoich interesów umiał chodzić, kręcił się po sejmikach i reasumpcyach. Lecz cóż pomyśleć o uczuciach matki, gdy pierworodny, najzdolniejszy Udalryk, ożenił się (1742 r.) z jakąś wdówką, Zofią Rejówną z Nagłowic, podstolanką

chełmską, zdatną może dla swego pierwszego męża, Peplowskiego, kasztelana wołyńskiego, i dla tym podobnych „Giedroyciów,” ale nie dla syna Barbary Zawiszanki, w dodatku syna stratnego, który na gwałt potrzebował wielkiego posagu! Skoro już żenić się z partykularną podstolanką, to pewno przystojniej było nie bawić się w amory, a napisać do jej rodziców tak, jak chorąży Hieronim Radziwiłł do stolnikowej bełzkiej, Komorowskiej: „Zdało się Nam, aby córka Wasza dożywotnim była przyjacielem Naszym,—i ewentualnie odebrać taki sam respons: „Nie zdało się Nam, aby córka Nasza dożywotnim Waszym miała być przyjacielem.“ Toby było przynajmniej w wielkim stylu... Tymczasem Ulryk i sam popełnił mezalians i brata Albrechta ośmielił swym przykładem do zaślubienia starościanki rzeczyckiej, niejkiej Anny Chaleckiej.

Pani Zofia, szlachcianka jakich wiele, ledwo-ledwo piśmien-
na, dość gospodarna, daleka od tolerowania nierządu, wniosła
mężowi w posagu kilka majątków, dzieci nie dała żadnych i za-
słynęła tylko z edukacji cudzych dziewcząt. Zato rozkoszy mał-
żeńskich przyniosła co niemiara. Był czas, kiedy ks. Udalryk
szalał za nią. Gdy jej nie było, dwór tajkurski wydawał się
„ciemnem więzieniem.“ Tak brakowało w przyległym pokoju ko-
chającej „Puzjunieńki“ przy kądziółce, wieczorami tak rozbierały
wspomnienia kopernisia, granego we trójeczkę z Halżusią Rejówną.
Książę zrywał się od stołu, śpieszył do zwierciadła, przedtem
lubą małżonki postać reprezentującego, — i cóż w niem widział?
Nic, tylko swoją tuszę potworną, trzy ćwierci do śmierci, półtora
nieszczęścia, uosobienie podagry, chiragry, gonagry... Lecił do
sypialni, gdzie „synogarlicze całowaniem spojone usta, gdzie do-
tykające rącząt i paluszków naszych (!) poczuwania, gdzie w roz-
buchanych miłości pożarach delikatnego ciała i członczyków
poruszenia lubę w ścisłem kochaniu spajały związki...“ I tam
pustka... „Załamalem na osobność narzekający ręce“—skarżył się
potem w liście swym niezrównanym stylem,—„aż postrzegłem ży-
wego wyobrażenia Twego portret, który, zdjąwszy z obicia, tyle
sprawiło we mnie konsolacyi, że m się ufatygowałem ściskaniem,
całowaniem; lecz cóż, gdy się w mem rozpaleniu opamiętam, tylo
czuję satysfakcyi, że m się tylko pieścił, przypominając żywego
a kochającego oryginału oziębłą bez wzajemności kopię.“

Okrutny czas musiał popsuć i te delicye. W listach jej za-
częły się ukazywać przymówki, wymówki o zaniedbywanie obo-
wiązków mężowskich, wzmianki ironiczne o „przyjacielu żony“;
w jego papierach wzmianki o „modnych fonfornisiach...“ Zresztą

nie bądźmy niedyskretni, ani nad miarę kostyczni. Dość będzie zaznaczyć, że przekroczywszy czterdziestkę, bezpartyjny książę Udalryk, niezadowolony z podziału majątkowego, jaki zrobiła matka między rodzeństwem na mocy trybunalskiego zapisu nieboszczyka, pełen pretensyi o wyłączne majorackim sposobem posiadanie dóbr lennych, poróżniony z matką o żonę, z obu niewiastami o niedołęstwo i dziwactwa, z Potockimi o chwilową służbę u dworu, ujrzał się w początkach lat pięćdziesiątych samotnym, jak palec.

Niebiosa ulitowały się nad samotnikiem, zesłały mu sprawę ostrogską (1753—4). Wiadomo, co to była za sprawa. Jedni magnaci rozdarli ordynacyę, utrzymującą kilkuset przestarzałych żołnierzy na przestarzałe cele, drudzy na ten widok rozdarli szaty. Dwór, mając oko na milionowe dobra, zaczął coraz wyraźniej stać po stronie oburzonych. Nie było takich win, któreby się nie dały zmazać pomstowaniem na Czartoryskich, Lubomirskich, Małachowskich i in. uczestników bezprawia. W powietrzu aż poczerniało od świstków, proklamacyj, paszkwili. Dowcipne i jędrne pióra znalazły olbrzymi popyt, a pośród nich kto wie czy nie najjędrniejsze było pióro księcia Udalryka. Zaledwo koniuszy dorzucił swoją grudkę ziemi na grób milicyi kijowskiej, rozpała się żarliwością ku obronie milicyi ostrogskiej, ofiarowuje swą pomoc hetmanom. Z jednej strony zagrzany przez J. Kl. Branickiego, z drugiej kaptowany przez Sanguszkę, nieprawego rozdawcę dóbr ordynackich, kropi temu ostatniemu strasznią, na dwudziestu czterech bitych stronicach replikę. Wypisuje „biesiadującemu Baltazarowi“ groźne *Mane Thekel Phares*, przypomina i motywuje długim wywodem prawa Radziwiłłów do ordynacyi, obraca w puch wszelką nadzieję utrzymania milicyi nadal ze składek donataryuszów, ale najbardziej ma za złe Sanguszcze, czemu się radził pochlebców faworytów, a nie jego, Ulryka; każe unieważnić wszystkie tranzakcyje i upokorzyć się przed stanami Rzplitej. Potem, głuchy na polityczne, umiarkowane rady hetmanów, *solidissime et validissime*, manifestuje się przed całą Rzplitą. A głaszcze się przytem nadzieją nagrody w postaci administracyi dóbr, ocalonych od rozbicia, — której zresztą, zdaniem Michała Rybeńki, właśnie żaden Radziwiłł nie może sprawować, aby nie zrzekać się pośrednio pretensyi rodowej do Ostroga. Ale administracya to będzie dopiero pierwszy krok ku szczytom. Wszak „z tego drzewa pochodzę“ — wywnętrzał się przed jednym z braci — „z którego rozkrzewiło się trzynaście buław, a kto wie, może ja czternastą w garści piastować będę, a na wierzchu... już korona.“

Na najbliższych wyborach znów przepadł dziki kandydat do korony. Administracyę, jak wiadomo, dostali inni. Hetman Branicki, nie czekając, aż Udalryk przypomni o swych zasługach, oddał upatrzoną przezeń chorągiew Antoniemu Jabłonowskiemu, wojewodzie rawskiemu, i radził kontentować się tym awansem młodzieńca, „*multis titulis*“ złączonego z imieniem Radziwiłłów. No, nie dziwnego, że zawiódł Branicki! Koniuszy znał całą marność jego charakteru, zwłaszcza uległość faworytom i przyjaciółkom, więc tylko zrobił mu w Dubnie przykrą awanturę, zajmując lokal, przeznaczony dla miłego wówczas patryotom gościa, posła tureckiego, nadał się, nafukał — i pojechał szukać wdzięczności gdzieindziej (w marcu 1755 r.).

Za parę miesięcy miała się odbyć we Wschowie rada senatu z akompaniamentem pochlebstw i darów monarszych. A od pół roku wakowało napół dziedziczne województwo nowogrodzkie, które Radziwiłłowie mieli w swych rękach od lat 45, a jak sądził Udalryk od 127. Na tem to krześle postanowił zasiąść w senacie, i obrócił swój trakt do Wschowy. Chory był, ledwo na nogach się trzymał, lecz nie żałował sobie stumilowej podróży, gdy dobry skutek zaręczały mu nietylko rekomendacye obu hetmanów, Załuskiego biskupa krakowskiego, ale nawet formalne, kategoryczne obietnice Brühla i jego zięcia, marszałka nadwornego Mniszcha. Tak przynajmniej opowiadał po trzech latach Ryszewskiemu. Zdawało się, że jedyny już właściwie rywal, młodszy brat koniuszego, krajczy Stanisław, popierany tylko na złość Rybeńce przez jego brata, ks. chorążego, nie będzie groźny.

Dowlókłszy się do kresu podróży, 22 maja długo czekał na audyencyę, wreszcie kazał się na pasach wnieść po schodach na piętro, aby usłyszeć tam, że i audyencya i rada senatu są odłożone do jutra. Ta zwłoka miała skutki fatalne. Do Wschowy przybieżał z Wołynia pretendent, nic nie mający wspólnego z Nowogrodkiem, stolnik litewski, Józef Jabłonowski, jeden z donatoryszów Sanguszki, w dodatku fałszerz pieniędzy, bo fabrykant t. zw. klepaczy,—ale on miał pełen worek i rękę skłonną do dawania. Obmyślono w skrytości zachowanie pewnych pozorów, pewną cesyę, pewną likwidacyę — i stanął układ, zapewniający Jabłonowskiemu województwo nowogrodzkie za cenę 350,000. Sam stolnik nie przypuszczał, że go tak zedrą.

Koniuszy dowiedział się o tym targu, ale nie skwitował z audyencyi, stawił się na godzinę pierwszą.

Marszałek nadworny pyta go zaraz, czy ma przywilej napisany.

— Toż jmp. Protasewicz (agent Michała Radziwiłła) oddał go WMPanu.

Wtedy Mniszech przyznał się, że go zgubił, i kazał Protasewiczowi napisać nowy. Koniuszemu zaś poradził, aby go podał nie przez ministrów, lecz osobiście, bo tak będzie przyjemniej królowi.

Wreszcie pokazuje się August III i widząc słonia, chwiejącego się na nogach, choć trzymanego pod pachy, swoim zwyczajem zaczyna się śmiać.

Ale Radziwiłłowi nie na śmiech się zbierało.

— Nigdybym nie śmiał — powiada seryo — importunować W. Kr. Mości żądaniem krzesła w senacie, ale słabość nóg moich nie pozwala mi więcej pracować w ojczyźnie, a do tego jestem imieniem W. Kr. Mości wokowany od ministrów, i jest mi już od nich deklarowane województwo nowogrodzkie; więc już, Najjaśniejszy Panie, chcę w honorze na krzesle spokojnie życie me zakończyć.

Król się zmieszał nie na żarty: drżący, zbity z tropu, bełkotał raz po raz bez sensu wyrazy:

— Chcę, ale nie wiem...

A Ulryk, zapalając się coraz bardziej, opowiadał o tem, jaką niegodną zabawkę uczynili sobie z niego faworyci. „W ustach monarchy — mówił — nieodmienneość największą przynosi ozdobę... Nie byłbyś W. Kr. Mość królem naszym, gdyby mój ojciec, oderwawszy część znaczną senatorów i szlachty od Stanisława, kredytem swoim z hazardem życia i fortuny, ukradłszy Hozyusza, biskupa poznańskiego, do nominacyi, nie pomógł (!) Waszej Królewskiej Mości za króla. Nie utrzymałaby żadna zagraniczna potencya Waszej Królewskiej Mości na tronie bez szlachty, boby była ważność elekcyi upadła.“ Dalej mówił o swoich różnych zasługach, o braku wszelkich zasług i kredytu po stronie Jabłonowskiego, „a wojewoda bez kredytu jest jak trup bez duszy, gdyż na wiernych senatorach jest wsparcie tronu i majestatu W. Kr. Mości, a jeżeli W. Kr. Mość przeciw prawu, bez zasług i bez kredytu nieposesyonatów obierasz do senatu, to Cię, Panie, w złym razie odstąpią i niepewne będzie Twe, Miłościwy Królu, panowanie...“

Król w gniewie aż się rzucił w bok:

— To mię WPan straszysz!?

— Jestem dotknięty tem, że mię oszukano, ale już jestem blisko granicy.

August znowu się skonfundował i znów jął powtarzać:

— Ja chcę... ale nie wiem...

— Czy W. Kr. Mość podpisze ten przywilej?

— Mogę podpisać — i schował papier do kieszeni, ale nie myślał widać dotrzymać słowa, bo gdy koniuszy dalej nalegał, król wrócił do swego: — Ja chcę, ale nie wiem...

Na to Radziwiłł:

— I ja nie wiem, co się to znaczy, czy W. Kr. Mość nie jesteś panem swojej woli, czy nie wiesz, co chcesz? Czy dependujesz od kogo?

— Więc cóż mam zrobić?

— Podpisać.

— To ja wakans województwa nowogrodzkiego odłożę do sejnu.

— Dziękuję W. Kr. Mości, sam o to proszę, aby był odłożony do sejnu, tam się i familia moja znajdować będzie, i łatwiej tam mi będzie tę generozję pokazać, a woli zadość czyniąc W. Kr. Mości, komu zechcesz, ustąpić, aniż tu, bo tu na granicy, tak daleko sprowadzony, za punkt honoru mam nikomu nie ustępować.

Na tem niby stanęło. Zaledwo jednak wyprowadzono Radziwiłła, wezwany został Jabłonowski i nie wyszedł z sali bez podpisanego przywileju. Niedość na tem, zaczęto namawiać Udalryka do zrzeczenia się koniuszostwa i generalstwa; w pierwszym rozgoryczeniu odstąpił już na piśmie swój urząd honorowy Adamowi Brzostowskiemu i wielkie szczęście, że po wysłuchaniu perory Protasewicza udało się odebrać i podrzeć wyłudzony skrypt. Rzucił się biedak do ucieczki, mocno postanowiwszy nie oprzeć się aż o króla pruskiego w Berlinie. Żal „z cholery“ wygnał mu z nóg podagrę. Chciał ściągnąć burzę brandeburską na całą Saksonię, już obmyślał powody do wywołania wojny, liczył na wielorakie swe powinowactwo z Hohenzollernami... Tymczasem we Wrocławiu zabrakło mu pieniędzy nawet na opłacanie stancyi, a nikt ani szeląga nie chciał pożyczyć. To znowu sztuka jmei pana Brühla — pomyślał i napisał do krewnych żony, prosząc o zasiłek.

Bóg wie, jak długo siedziały w tym Wrocławiu, gdyby nie Puzjunieńka, która za pieniądze, wzięte po części od pewnego przyjaciela domu, wykupiła męża z śląskiej niewoli. Zajrzawszy do Berlina, wrócił Ulryk pomiędzy swoje chełmskie sąsiady, ale ogromnie zmieniony. Jak gdyby do reszty spadła z jego duszy łuska obcych naleciałości, kostyumów społecznych, niedopasowa-

nych i krepujących. Poselstwa, komisarstwa, orderzy, tranzakcje prawne, powszednia polityka, karyera zewnętrzna, to nie płynęło z samego jądra jego duszy. Teraz dopiero, po epokowej scenie wschowskiej, gdy dwór pożegnać mu kazał wszelką nadzieję, wypielegnowana dusza jedynaczka otwiera się i odślania, jak kwiat.

Czem to się działo, że koniuszy, talentami wyższy nad większość senatorów, w walce życiowej przegrywał? Przyczyna tkwiła, zdaje się, w pewnych pierwiastkach psychicznych, odziedziczonych po nienormalnym trochę ojcu. Udalryk, uczony jak licencjat Torralba, czasami marzycielski, jak Don Kichot, choć gruby, jak Sancho-Pansa, wewnątrz był rozbity na mnóstwo złudzeń indywidualnych, które nakształt opiłków żelaza przyłgnęły nastroszone do rdzennego magnesu—megalomanii. Zmysłu realności, trzeźwego samopoczucia nie miał ani krzty. To też między nim i praktyczną, dbałą o dobro doczesne matką powstało i pogłębiało się takie same nieporozumienie, jak między ibsenowskimi samotnikami Peer Gyntem lub Brandem, a ich rodzicielkami. Mieszkał zwykle imagnatyk w żoninych dworach ziemiańskich, a datował swe sążniste epistoły nietylko „z zamku mego Tajkurskiego“ (co było prawdą), ale i „z zamku mego Krupskiego,“ „z zamku mego Mylska.“ Rodzina go się wstydziła, a on myślał, że zazdrości mu inteligencji. Przez litość pomagano mu trochę w lokomocyi, a on widział, że go szlachta nosi na rękach i przypisywał sobie „dyktaturę nad sercami.“ Odbierał od Brühla na Nowy Rok zdawkowe wyrazy „obszernej uniżoności,“ i zaraz przenikał podstępny zamiar „ułowienia i schwywania człowieka cnotliwego,“ więc czempredzej wypraszał sobie, aby go nie przeładowywano urzędami. Tę zdolność do osnuwania siebie wiankami fantasmagoryj uksiążęcony Peer Gynt przeczuł w sobie raczej, niż uświadomił i znalazł w niej nieprzebrane źródło dobrego humoru. On, „co już tyle doświadczył odmienności świata tego, niestatku fortuny, maźretelności w szkole dworskich ludzi, charakteru złośliwego i chytrego świata zepsowanego,“ wstydziłby się zasiadać w krześle kurulnem, nadęty próżnością, jak tyłu innych, w „zapaskudzonym“ przez Augusta III senacie w towarzystwie pludra Flenninga i czterech chłopów. On „wszystkiego szczęścia i nienawiści wiadomy“ człowiek, tylko „do mądrych ludzi i poważnych czynów przywiązany,“ nie da się skusić żadnym Orłem Białym. Ma klejnot Aleksandra Newskiego, „którym orderem szacuje sobie za największy honor być przyodzianym za znakomite usługi“ podczas interregnum. Jego zaś własny herbowny „orzeł radzi-willowski jest bardzo czarny, nigdy się wybielić nie może.“

Osiadłszy na roli, niby Quinctius Cincinnatus po ocaleniu Rzymu, wsłuchuje się w najtajniejszy głos swej duszy jedynaczki i przedewszystkiem reformuje pisownię w sposób arcynowoczesny, ultrafonetyczny, bo przeciągająco-litewski. Potem coraz wyłącznie poświęca się muzom. W tej służbie zaszczytnej nie będzie pewno osamotniony. Ludzie jego sfery mieli czas nietylko na myśliwstwo. Nieboszczyk dziadek Zawisza miał czas zdobywać sobie pamięć *in Polonia Litterata*, księżna Urszula, pani nieświejska, skomponowała kilkanaście utworów scenicznych, po części tłómaczonych z Moliera, które czasem dla niepoznaki nazywała tragedjami, jej ojciec, ks. Janusz Wiśniowiecki, dla własnego użytku w deklamacyi wyśpiewał „Niektóre akty strzeliste bez litery R,“ kanclerz Sapieha z pomocą Ostrowskiego-Danejkwicza nzbierał niechcący dla pijarów olbrzymi podręcznik „Swady,“ według którego można było illustrować wszyscyutkie *emendanda eloquentiae vitia*; nie była wolna od literackich grzechów młodości sama księżna Barbara,— że już pominiemy znane nazwiska Rzewuskich, Załuskich, Jabłonowskich.

Książę Udalryk, bezinteresownie miłując wiedzę i sztukę, tem się głównie wyróżniał, że czy przez brak próżności, czy przez oszczędność mało drukował, przynajmniej do r. 1755 nic oprócz poematu „O nędzy żywota ludzkiego“ (1741), jednej mowy sejnowej (1746) i „Dyaryusza podjazdu na hajdamaków.“ Tymczasem— świadczy o nim kanonik Janocki w „Leksykonie żyjących uczonych w Polsce“: „Niema prawie gałęzi wiedzy, w którejby się książę nie ćwiczył, ani też języka, używanego przez uczonych, któregooby się gruntownie nie nauczył. Biegły jest zwłaszcza w greczyźnie. Po niemiecku, po francusku i po włosku mówi i pisze z tak naturalną łatwością, jak w języku macierzystym. Najprzyjemniej zawsze spędzał czas na czytaniu dawnych poetów rzymskich. Wirgiliusza, Horacyusza i Owidyusza umie niemal na pamięć. Jakoż nieraz w najliczniejszych zgromadzeniach uczonych panów polskich zakładał się z najoczytańszymi o wielkie stawki, kto bez błędu wyrecytuje na pamięć najdłuższe ustępy z pomienionych poetów,—i zwykle wygrywał zakład.“

Chwalił pijarów za wprowadzenie do szkół Gassendiego, Kartezyusza, Newtona, Locke'a, Leibniza, Wolffa; z innymi mniachami wojował. W bibliotece Załuskich zasiadywał się od rana do nocy i czytał śnać wszystko, bo o wszystkim pisał. Pomiedzy jego papierami znalazły się pod ogólnym tytułem: „Uczone zabawy wierszem i prozą“ sentencye o złych skutkach łakomstwa i „Historja uniwersalna, zawierająca w sobie historję świętą,

świecką i kościelną, począwszy od stworzenia świata po nasze czasy ku pożytkowi Wielm. jnci panny Elżbiety Rejówny, łowczanki piłźnieńskiej, w zamku tajkurskim traktowana,“ i wierszowany przekład pierwszego rozdziału Eklezyasty albo Jezusa Syrachy, i „Opisanie wszystkich nacyi, w Europie znajdujących się,“ zaczęte jeszcze we wrześniu 1728 r. i fragment tłumaczenia „Antygony,“ „Listy familijne“ publicystry Bielefelda i „Dysekcya mózgownicy ptimetra czyli fonfornisja,“ tłumaczona w Rejewcu jeszcze 26 kwietnia 1766 r. ze „Spektatora“ anglika Stele. Skądinąd wiemy, że zostawił w rękopisie parę tysięcy stroniec dziejów powszechnych, których część pierwszą wydał w r. 1758, że tłumaczył „Polieukta“ i „Medeę,“ „Korneliusza,“ „Komedję Ezopową“ Boursaulta, pisał satyry na starych zalotników, na Brühlów i spółkę, na obmówców, na mody, że w traktacie p. t. „Słowo *Nic* w swej przyzwoitości opisane“ dowodził istnienia Boga; że dla uszlachetnienia ziomków, pijaków, niewieściuchów i procesowiczów, kreślił „Próbę konsztu wojennego.“ Inny znów kunszt, erotyczny, skodyfikował w czterech „argumentach,“ a siedemdziesięciu trzech paragrafach, gdzie czerpiąc więcej z cudzych, zagranicznych wzorów, niż z własnej praktyki, przeprowadzał niedoświadczonego młodzieńca przez różne Scylle i Charybdy aż do ostatecznego ukontentowania.

To znów, jako „Kupido mazowiecki,“ ulatywał na skrzydłach wyobraźni aż tam,

Gdzie kręto w Wisłę szumne rzeczki płyną,
Gdzie słodkie z mokrych pól mazurki słyną.—
Tam się pasterki w kryształowe zdroje
Wpatrują chciwie, wdzierząc twarze swoje...

Nie gardził i poziomą kwestyą wbijania pali w rzeki i oczyszczania stawów, do czego specjalną skonstruował maszynę (1761), a prosto z mulistego ładu wystrzelał myślą nad poziomy, ku planecie Wenus, którą, przechodzącą przez tarczę słoneczną, obserwował w Kamieńcu razem z przytomnymi oficerami garnizonu.

Za tak wszechstronnym i lotnym duchem nie mogła zdążyć współczesna mądrość arystokratyczna. Z biskupem Załuskim nie widać w korespondencji Udalryka żadnych śladów obcowania literackiego, choć mogliby się popisywać przed sobą, jeden mnogością cytat łacińskich, drugi nieskończonością anegdot i kalemburów. Z młodym księciem generałem ziem podolskich też nie skleila się przyjaźń, chociaż zaczął go Radziwiłł i chociaż obaj zastanawiali się jednocześnie nad charakterami ludów; zresztą

Czartoryski był innego pokroju uczonym. Za to nieopodal Ostroga, w Lachowcach, mieszkała znakomitość europejska, bardzo pokrewnej Ulrykowi natury, bo i historyk, i genealog, i heraldyk, i kartograf, autor dzieł astronomicznych i trygonometrycznych, członek paryskich akademij nauk i des Inscriptions et Belles Lettres, Akademii rzymskiej, bonońskiej, padewskiej, mnóstwa uczonych korespondent i kolega, przytem w prostej linii potomek Weidawutusa i Littalaona z IV wieku, tytułowany przez nieboszczyka cesarza Karola VII *Durchlaucht, Liebden, Geliebter Vetter*, przytem „dziedzic ostrogski, pan na Jabłonowie, Lachowcach, Lisiance, Zawałowie, Podhorcach (!), gubernator prowincyi buskiej,“ starosta korsuński, wołpeński, dźwinogrodzki, zagojski i dzięki bogactwom mecenas nauk, co wszystko jeszcze możnaby mu wybaczyć, ale na nieszczęście w dodatku... wojewoda nowogrodzki, ten sam książę z Prussów Józef Aleksander Jabłonowski! Ten był, obok Brühla, piekącą solą w oku Ulrykowem. Już to nadokuczali mu ci Jabłonowscy: jeden sprzątnął chorągiew, drugi, Jan, wojewoda braclawski, przewyższył w megalomanii, bo wyobraził siebie na medalu, kłaniającego się Matce Boskiej i słyszącego słowa: „Restez couvert, mon cousin!“ — trzeci, we własnem przekonaniu też większy od papieża, zwyciężył na wszystkich polach prócz poezyi. Ta była nie dla niego.

Ostatecznie literackie i naukowe aspiracye ks. Ulryka znalazły oddźwięk w niższej nieco sferze towarzyskiej, w dwóch tylko duszach, i to oddźwięk dość dziwny.

Nad Wisłoką, w Rzemieniu, pani Elżbieta Drużbacka, skarbnikowa żydaczewska, słynna wierszopiska, zgrabniutkie formowała strofy na pochwałę czterech pór roku i ku naganie mopsic, opisywała rymem cztery elementa, opowiadała dzieje biblijne Dawida i Magdaleny, świeckie dzieje Adolfa i księżniczki Eufraty.

Nasz Radziwiłł, amator potoczystego stylu, francuskiej zwłaszcza elegancyi i elokwencyi estymator, złożył hołd poetce wierszem, którego alegorye i hyper-barokowe esy floresy niezrozumiałości dorównywały rebusom symbolizmu:

„Nie z prostej skóry pas ciągnę Rzemienia,
 Z której tu snuje Muza swe osnowy:
 Tać z Helikońskich cór idzie plemienia;
 W Drużbackich kroplach kręte kroi rowy,
 Gdzie po kamykach szumne grają zdroje,
 Skąd poetyckie smak dają napoje.
 Któraż z wisłocznych wód Rzemień oplócze?
 Skąd łatwiej zwijać poetyckie węzy?”

Niech się w szemrzących Družbakach nauczę,
Jak myśl formować, jak sens czynić związły...“

I tak dalej. Družbacka musiała przyznać z pokorą, że

„Niesłuszna sowie z orłem w zawód chodzić w locie,
Niesłuszna z nimi się wzbijać pod słońca promienie:
Orła pióra wynoszą w przyzwoitej cnocie,
Sowę pusta stodoła wśród dnia kryje w cienie...
Zamilkła Muzy mojej już odtąd chimera,
Wybił styl z głowy mojej litewski koniuszy,
Gdy mię z jego Parnasu dochodzi litera;
Upadła chęć do pióra, ręka się nie ruszy
Do żadnej pracy, bo mi trakt zaległ Radziwiłł,
Sens zmołał, z Aryadny kłębka nici wywił,
Mnie w labirencie
Stawił w momencie...“

Ale jeżeli wędrowna „dziesiąta muza“, acz już nie pierwszej młodości, wykręciła się rymowaną piruetą, to ktoś inny, prozaik, przykuty do redakcyi i klienteli. doświadczył ciężej, co to znaczy korespondować z księciem koniuszym. Niewiadomo co: czy podagra, czy encyklopedyzm ciekawości, czy może biblioteka Załuskich, dość, że coś zbliżyło Udałryka z Wawrzyńcem Mizlerem de Kolof (1705—70). Doktor filozofii i medycyny, uczony wagnerowskiego typu, z tych wagnerów przez małe *w*, co to grzebią w ziemi i cieszą się, gdy znajdują dżdżownicę,—sprowadzony przez Jana Małachowskiego z Saksonii do Końskich, służył mu przez sześć lat (1743—9), jako lekarz nadworny, poczem, przeniósłszy się do Warszawy, rozwinął w sobie zacną, bezinteresowną, pełną poświęcenia, niedzisiejszą słabość do wydawnictw. Nie chcąc może darmo zatruwać wątpliwemi lekarstwami senatorskich organizmów, wypłacał się społeczeństwu polskiemu przedrukiem lub ogłaszaniem poraz pierwszy z rękopisu Galla, Kadłubka, Długosza, Strykowskię, Kromera, Sarnickiego, Przyłuskiego, Łukasza Opalińskiego, Rudawskiego i wielu innych autorów. Te publikacye rozślawiły go ponad wszystkich, nawet zdolniejszych kolegów medyków, przeważnie cudzoziemców: Clementów, Millerów, Morettich i t. p. Zresztą o sławie nie marzył pan Wawrzyniec, bo by jej pewnie szukał gdzieindziej, nie nad Wisłą. W r. 1755 zaczął wydawać kwartalnik krytyczno-bibliograficzny *Acta Litteraria Regni Poloniae*, a prenumeratorów, czy też raczej poprostu nabywców, myślał ściągać w sposób rzadko później praktykowany. Zacytował im mianowicie opinię Hume'a, powtórzoną przez *Jour-*

nal Etranger, o związku, zachodzącym między minimalną w Polsce uprawą nauk i sztuk pięknych tudzież maksymalną sprzedażnością publiczną, — i wyraził nadzieję, że dzięki „Aktom Literackim“, krzywdząca ta opinia upadnie. Nawymyślawszy tak czytelnikom i wyrobiwszy sobie przez Małachowskiego przywilej królewski na obronę praw autorskich, pakował do Aktów strzeszczenia prawnopaństwowych studyów Brauna, kodeksu Dogiela, bibliograficznych prac Janockiego, własne artykuły medyczne, fałszywą genealogię Brühlów z Ocieszyna, oczywiście *ad captandam benevolentiam*, — i w rezultacie zawieszał wydawnictwo. Niezrażony, ogłaszał po dwóch latach pożyteczne „Wiadomości Uczone i Ekonomiczne“ czyli „Magazyn“, pracował po benedyktyńsku, czasu nie tracił, słyszał z Zachodu wyrazy uznania, ale niezawsze bywał bezpieczny przed pozwem sądowym z drukarni. Nikt się nie skusił na pokrzywdzenie jego praw autorskich względem „Aktów“, nikt nie zapłacił kary pieniężnej, zastrzeżonej przywilejem w połowie na rzecz Mizlera, w połowie na cele dobroczynne. Półki Saksonia była dla Sasów, czerpał z niej jakiś dochód, lecz po wtargnięciu tam Prusaków został na łasce albo raczej niełasce warszawskich pacyentów. Cóż mu przyszło z tego, że w początkach r. 1757 został konsyliarzem Cesarskiej Akademii rosyjskiej z prawem głosu na posiedzeniach, kiedy akademia była daleko i nic nie płaciła? I co mu po tytułach *Königl. Poln. Hofraths und Hofmedici*, po godności zwyczajnego historyografa królestwa, otrzymanej od Augusta III 15 maja tegoż roku, kiedy łaskawy król też nic nie płacił, a panował tak nieciekawie, że ani wówczas, ani dzisiaj nie wyżyje z jego dziejów żaden historyograf? Jedynie Załuski i Małachowski pomagali trochę Mizlerowi, jedynie Józef Jabłonowski łożył na *Acta Litteraria*, w których za to kazał przedrukowywać spis 26 dzieł różnych Jabłonowskich, raz już uwiecznionych w *Anecdota Jablonoviana*.

Z listów, pisanych przez Mizlera do Radziwiłła, nie widać nadziei, by w zamku tajkurskim znalazł się Mecenaz, nie widać nawet, aby doktor potrzebował księcia. Na wstępie najwcześniejszego znanego nam listu z Warszawy czytamy solenną obietnicę: „Kiedy obiorą W Ks. Mość na członka honorowego Akademi Berlińskiej, ja pierwszy dam o tem znać, a nawet dowiadywać się będę w Berlinie...“ Poczem zaczyna się interes. Książęciu chodzi o to, aby doktor przetłumaczył na łacinę i wydał jakąś rozprawę czy reklamę o kąpielach siarczanych szklowskich (*Les Bains de Szkoło*), znanych jeszcze za Władysława IV i chwalebnych przez cudzoziemców. Przytem, skoro Brühl podał do „Aktów“ swój ro-

dowód, a Jabłonowski (ku wielkiemu zgorszeniu Radziwiłła) swój tytuł książęcy, skoro początkujący pisarz Łubieński ozdabiał swe dzieło geograficzne własną podobizną, to i koniuszy litewski uznał za możliwe położyć na czele traktatu o kąpielach swój *portrait en apothéose*. Sprawa tej publikacji snuje się przez okrągłe pięć lat doktorsko-książęcej korespondencji. Gdzieś w Lipsku drukują się arkusze, kapaniną płaci za nie władca tajkurski. Mizler wyszukuje artystów do wykonania apoteozy, a tymczasem pod pretekstem doświadczeń każe sobie przysyłać kubły wody szkłowskiej, widać istotnie do czegoś przydatnej. Ostatecznie i traktat, i apoteoza gdzieś znikają — żadna bibliografia o nich nie wspomina.

Ukończywszy na wiosnę 1756 r. druk okazałej Historii Rudawskiego, przesyła ją wydawca Radziwiłłowi ze skargą, że przez kilka miesięcy nie wycofał ze sprzedaży trzeciej części kosztów nakładu (1000 talarów). „Omyliłem się — pisze ze smutkiem — mniemając, że tak pożyteczne dzieło będzie kupowane w Polsce; widzę, że tu chętniej płacą 50 dukatów za beczkę węgrzyna, niż kilka dukatów za pożyteczną książkę. Nie będę się już nigdy brał do druku polskich książek, tak mało poszukiwanych zagranicą, a w Polsce prawie całkiem nie kupowanych. Bogactw nie pragnie wydawca, ale też nie może się pocieszyć przypomnieniem że starożytni filozofowie żyli w ubóstwie; już lepiej, powiada, filozofować w dostatku, „ja jestem filozofem nowoczesnym, nie starożytnym,“ a gdy pocieszyciel sam nie domyśla się o co chodzi, Mizler prosi o należność 22 tynfów za Rudawskiego. Przy tej sposobności czyni w sekrecie interesujące wyznanie: „Muszę tu dodać anegdotę, której nikomu jeszcze nie mówię: mianowicie Rudawski, jako ksiądz, był takim waryatem, że nazywał księcia Radziwiłła *proditorem patriae*. Tego nie mogłem strawić w żaden sposób i zatarłem to wbrew prawidłom, obowiązującym wydawcę... Sądzę jednak, że zrobiłem dobrze, usuwając błąd stroniczego księdza, ale nie śmiem powiedzieć o tem nikomu z wyjątkiem W. Ks. Mości.“ Mała rzecz, a wstyd. Manuskrypt Rudawskiego, jak wiadomo, należy do rzadkości: jeden egzemplarz posiada Cesarska Biblioteka Dworu w Wiedniu, drugi, użyty przez Mizlera, wcielony został razem z innymi Załuscianami do Biblioteki Publicznej Petersburskiej. Niemilo stwierdzić, że pierwszy wydawca Rudawskiego okazał się niezupełnie godnym zaufania i że tak trudno sprawdzić brzmienie właściwego tekstu... Możeby przedrukować krytycznie Historię? Nie, niewarto! Kto nie ufa Mizlerowi, niech otworzy jego wydawnictwo, a na samym początku

str. 179 znajdzie pięknie, czytelnie wytłoczonego *patriae proditora* przy nazwisku Janusza Radziwiłła. Wprawdzie Niemiec nazwał cały kawał „anegdotą“, ale ktoby posądził go o taki tupet i taką znajomość krytycyzmu swego korespondenta?

Stopniowo wymiana listów staje się dla Mizlera coraz uciążliwszą. Bo oto wojna, rozpoczęta pod jesień 1756 roku, objęła cały niemal świat europejski, pobudzając zapalne mózgi do zakazanych pomysłów. Ks. Udalryk szybko zareagował na pogłoski o porwaniu Brühla przez Prusaków i zrobił doktora powiernikiem swych pobożnych westchnień, aby faworyt uległ coprędzej losowi królobójcy Damiena. Nie skutkuje krótka odprawa, opiewająca, że „Wasza Książęca Mość mówi, jak Polak, ze swobodą, ale ja mogę tylko słuchać, lecz nic nie mówić, a jeszcze mniej pisać.“ Nie pomaga milczenie, bo koniuszy zaraz imaginuje sobie, że Mizlerowi zabroniono z nim korespondować, więc, jakby naprzekór, nie przestaje go zalewać wzbierającym strumieniem opozycyjnej wymowy.

Dzieje się to pod wrażeniem Rossbachu i Litna. Najstarsi ludzie nie pamiętali, żeby ktoś tak gracko oczyścił państwo od pięciu naraz najeźdźców, jak filozof z Sans Souci w r. 1757. To zaćmiewało nawet walkę Ludwika XIV z koalicjami. Więc jaki taki mazur, mniejsza o to, prawdziwy czy udany, odkładał na bok „Kuryera Polskiego“ i pytał z „podziwieniem“:

„Powiedzcież mi, kto on jest, ten Frydrych król pruski,
Co i w zimie i w lecie trzęsie na łbie gruski?
A dyabełże cy człowiek? Wypędził Francuza
Peruczki mu pokręcił, nabawił go guza.
Znowu druga, niemiecka przybyła cereda
Tłucę i tych do carta, przepłoszył i Szweda!
Dwie mu także kobiety straszną bitwą głosą:
Podskubał i tę i tę... cy go carci niosą?
Powiedzcież mi, kto on jest, cy syn Goliata
Bo już na pojedynek wyzywa pół świata!
Dwie kobiety, jak smoki, obalić go chciały,
On im się przecie wykipił, chociaż jest kret mały.
O Niemiasku, Niemiasku, paskudny Frydrychu,
Lepiej było z babami stargać się pocichu.
A teraz wszędzie głośno, że tak nikt na świecie
Dwiem babom nie dogodził, jak ty, mały krecie!...“

Książę Udalryk,—nawiasem mówiąc, zręczny naśladowca ludowej gwary białoruskiej—jeżeli nie przebrał się tutaj za mazura,

to napewno był z nim solidarny. Widzieliśmy, że lepiej pamiętał swe powinowactwo z Hohenzollernami, niż brak wdzięczności i uznania u Prusaków za zasługi w r. 1744. Bohaterów umiał ubóstwiać, a dla wrogów Brühla miał serce gotowe do kochania. Więc też od końca r. 1757 listy jego do Mizlera i innych stają się jednym dytyrambem chwały Fryderykowej, apologią wszystkich, choćby najbrutalniejszych postępków tego, kogo urzędowa Warszawa zwykła tytułować „regnantem berlińskim“. Fryderyk to Gulliwer, liliputów pogromca, to „Ksenofont za odwroty“, „Pauzaniasz za męstwo“, to Leonidas! Przytem to „puklerz narodu polskiego, który zasłoni go od dwóch monstrów dwugłowych, orłów austriackiego i rosyjskiego.“ On Augusta i Brühla z Polski do Moraw wyżenie, on Węgrom da niepodległość, bo jak świadczą dzieje Jozuego, Kserksesa, Sobieskiego, Nadir-Szacha, Karola XII, „wygrana u Boga nie przywiązuje się do mnóstwa bomb, oręży, prochów i luda marsowatego, ale Bóg wygraną daje sprawiedliwości, dobrej sprawie i niewinności!“

Tak prorokując, drwiąc, komenderując „z zamku tajkurskiego“ armiami brandenburskimi, w dobroczynnych promieniach poczdamskiego słońca, wśród medytacyj porównawczych nad naturą ludów, pisząc II tom Historii Powszechnej, książkę Udalryk pogłębia i określa coraz wyraźniej swoją jaźń. Wyzwała się z więzów rodowych: dawniej był dumny z imienia radziwiłłowskiego i usiłował na nie zasłużyć, teraz przebierać zaczyna między przodkami, za wzór sobie stawia jedynie najlepszych, jak księcia Janusza, zresztą ślubuje naśladować choćby innego rodu wielkich „prawdomówców“: Oleśnickiego, Zamoyskiego, Fredrę, ostatnich Wiśniowieckich. Chce być w Polsce wspaniałomyślnym whigiem, a trzeba wiedzieć, że „niema nic wspaniałomyślniejszego nad zapal patryotyczny angielskiego whiga, nic podlejszego niż tchórzostwo polskiego torysa!“ Niebawem też niepodległy whig postanawia robić czynną opozycję. Komu, czemu i razem z kim? Bo przecież sam rozporządzał kilkunastu głosami na sejmiku i kilku agentami do wszystkiego?

Kiedy koniuszy zaczynał drugą kampanię w obronie polskich wolności (1758), najgłośniej przeciw dworowi „burczał“ (że użyjemy wyrażenia M. Czartoryskiego) hetman Branicki. Do jego tedy głosu dołącza Radziwiłł swoją elokwencyę, zachęca go do wytrwałości, z nim razem próbuje ocalić krzykiem przed ostatecznym rozbiorem ordynacyę ostrogską. Na sejmiku chełmskim w sierpniu występuje z wielką mową polityczną na temat grożącego wplątania Rzplitej w wojnę, rządu absolutnego i rozbioru,

o potrzebie wymarszu wojsk obcych i wyprawienia poselstwa na kongres pokojowy, nielegalności poselstwa do Petersburga Stanisława Poniatowskiego, zanego zresztą parentelata, fałszywości szlachectwa Brühlów,—zgoła nie myśli milczeć „jak Machiawel“, owszem, po cycerońsku gromi niejednego Katylinę. Od przetłómaczenia na francuski i wydrukowania tej strasznej mowy biedny Mizler ledwo potrafił się wymówić niepodobieństwem oddania jej piękności językowych.

Udalryk poparł obiór na posła Sługockiego, podczaszego chełmskiego, w nadziei, że ów niedopusci do głosu młodych intruzów Brühlów i wejdzie w stosunki z przysłanym rzekomo na sejm generałem pruskim Małachowskim. Do tego generała śle w sekrecie niejakiego Sipowicza, „niepozornego napozór szlachcica,“ z polskim listem, gdzie przypomina niedawną swą znajomość berlińską z Fryderykiem, hr. Dohną, „Pudewsem“, i honory, odbierane wówczas od wojsk, oświadcza, jak to on „pasyami“ kocha króla pruskiego, — niech jeno przyjdzie wojsko pruskie, on, „mając po sobie“ „Sendomirskje, Krakowskiego częśćkę, Podolskje, Kijowskje, Braclawskje, Wołyńskje i zjemę chełmską“, z pomocą brata Albrechta skonfederuje całą Koronę i Litwę. Przecież on świeżo niedopuscił w Chełmie do funkcji deputackiej przybyłego z „ukazem“ brühlowskim Kazimierza Krasińskiego!

Tutaj trzy ciosy uderzają nagle w serce koniuszego. Poseł generał Małachowski okazał się mistyfikacją. Sługocki (znany czartoryszczyk) ani myślał mącić wody na sejmie, intruzom głosu nie zatamował. Branicki przeprosił się z Brühlem.

„Gdzież owa narodu polskiego sława się podziela?“ załamał ręce Udalryk: „Gdzież ów punkt honoru! Wstyd, hańba, tchórstwo, łakomstwo, sromota opanowała serca Polaków!“ Teraz już i neutralność Rzplitej i *liberum veto* i wolna elekcya, wszystko zagrożone, i traktat welawski z Brandenburgią blizki pogwałcenia i los wiarołomcy Warneńczyka wisi nad narodem polskim! „Jeżeli co szkodliwego na sejmie uradzone będzie,“ groził Sługockiemu, „nie pokazujcie się więcej w Chełmie na sejmiku, żeby was szablami szlachta nie rozniosła!“

Widocznie zanosilo się na ważne wypadki: królewicz Karol wystarał się w Petersburgu o Kurlandję, Ksawery zasługiwał się Francyi w podejrzanym celach. Udalryk przenikał zamiary obydwóch. Ze Rosya kładła rękę na zwierzchniczych prawach nadawczych Rzplitej, to jeszcze małe nieszczęście. Koniuszy, należy wiedzieć, wdychając prawie całą duszą do Fryderyka, zarezerwował pewien kącik serca dla Rosyi: pisywał poufnie do Rzy-

szewskiego, na wybryki kozaków i kałmuków, idących z Ukrainy do Brandenburgii, patrzył wyrozumiale, witał ich po rosyjsku, bankietował z oficerami. Czasem ostrzegał, że „teraz potrzebna przyjaźń nasza, trzeba nas mocno karesować, a nie jątrzyć, to jest nas Polaków, bo kto wie, jak się los fortuny obróci.“ „Gdyby nie to moje przywiązanie do Jej Imperatorskiej Mości i gdyby Imperatorowa Jmć nie była w tej przyjaźni z królem naszym... tobym miał w jednym miesiącu z sto tysięcy szlachty do naprawienia wolności i praw z kluby wypadłych.“ Ale najgorsze w zamysłach Karolowych było dążenie przez Mitawę do dziedzictwa tronu. Skoro tak ma być, niech lepiej Kurlandyę zabierają Prusacy, a niech koronę polską nosi prawdziwy z krwi i kości Polak, chociażby to był Czartoryski.

Niespodzianie znaleźli się zbawcy, i to ci sami ludzie, których „machławelskie inwencye“ musiał koniuszy krzyżować jeszcze przed paru laty. Niewypowiedzianie ucieszył go „wspaniały animusz polski kasztelana krakowskiego (Poniatowskiego), księcia wojewody ruskiego i księcia kanclerza wielkiego litewskiego, którzy, *ex turno* wołani do podpisu na dyploma Księstwa Kurlandzkiego, ukłoniwszy się królowi, wyszli z senatu i nie podpisali się. Już tedy zaczynam ich kochać i serce me poczyna być przywiązane do domu Czartoryskich.“ Jakaż różnica jest między „atlantem“ swobody, Poniatowskim ojcem, a jego synami, co to jeden nieprzyzwoicie wjeżdżał do Warszawy z ośmiu pocztylionami, obwieszczając fiasko ołomunieckie Fryderyka, a drugi ściągnął obcy najazd na Polskę!

Ten samorodny, dziwaczny w krwi radziwiłowskiej afekt ku Czartoryskim pozostał bez oddźwięku. Atlantowie nie przgarnęli koniuszego, choć korzystali z jego agitacyjnej krzątaniny podczas kampanii wyborczej 1761 roku. W papierach i kopia-ryuszach Udalryka znalazł się tylko jeden list Czartoryskiego, mianowicie Michała, i to odmowny w bagatelnej sprawie, pomimo że Radziwiłł popierał swą prośbę już wtedy, na wiosnę 1758 roku, zachętą do obdarzenia Polski królem Piastem.

Okazywało się coraz wyraźniej, że żaden polityk i żaden uczony nie chce z indywidualistą tajkurskim współdziałać ani nawet korespondować. Ginęły jedne po drugich punkty oparcia i znajomości.

W rok po wydrukowaniu w „Nowych Wiadomościach Ekonomicznych“ opisu maszyny do chędożenia rzek urywa się wymiana listów z Mizlerem. Ostatnie monita od matki z początków r. 1759 zostały przyjęte grzecznie, ale dołączone w imieniu dwo-

ru ostrzeżenia brata Albrechta, jakoby chciało pozwać Udalryka o zniewagę Majestatu, wywołały tylko śmiech „do rozpuku“ i urągowskiego z rodzinnej „idolatrii posągu delfickiego odpowiedzialców.“ „Te moje mowy, te moje pisma — upewniał bałwochwalcę — w lat kilkadziesiąt nie tylko że będą złotem szacowane, drukowane i powszechną będą admiracją, ale ta wspaniałość nieustraszona zacności mojej taki doda lustru narodowi, w jakowym tak waleczność Aleksandra splendorze nie była.“

Z innego tytułu próbował perswadować i grozić hetman wielki litewski: „Na co się zdadzą te W. Ks. Mości żwawe a niesilne, bezpotrzebne z dworem emulacye, interesom jego przeszkody, dalszego szkodenia deklaracye, dotkliwie i urażające listy... bez afektu ku własnemu domowi, którego by się przez samą naturalność smarować nie godziło.“ Dwór może nagradzać, ale może i do sądu oddać... „Jesteś W. Ks. Mość w wojsku aktualnym generał-lejtenantem, nigdy jednak w prowincyi nie bywasz, *munus non exerces*.“ — „Nie apetyczny jestem na tytuły, krzesła i starostwa — odciął się Ulryk — ...a tem konkluduję, że ani ojczyźnie, ani monarsze szczególnie samemu, ani mej familii, ani samemu W. Ks. Mości nic nie jestem winien.“ Jedyny z Radziwiłłów, który zgadzał się trzymać z Ulrykiem, chorąży Hieronim, ten co to z twierdzy słuckiej rozsyłał zbirów na szlachtę i kupców, ofiary wtrącał do lochów, a na wszelki wypadek miał zamówiony przytułek w Państwach swej „osudaryni“ Elżbiety — uniera w roku 1760.

Korespondencyę z Rzyszewskim zamyka niemożliwie szczery list koniuszego. Widać przekonał się, że dwóm panom służyć niewarto, zirytował się ogłoszonym przez feldmarszałka Sołtykowa zakazem handlu ze Ślązkiem i nakazem zwrotu dezertarów, — bo oto jakich dobywa z siebie akcentów: „Polak nowej mody i terazniejszej faryny, saską krwią pomieszanej, jest podobny do okropnie wielkiego słonia, co ma takie siły, iżby jednym trąceniem dęb wyniosły obalił, a niedowierzając, że jest silny, postrzegłszy mysz, ucieka i w kąty się kryje.“ „...Was w podejrzeniu mamy, że chcecie nas zawojować... Kto wam dał tę moc tak z nami postępować, kiedy my wolny naród, a wy się oświadczyli wolność naszą respektować i krzywdy Prusakowi nie dawać czynić?... bo gdy nam dokuczycie, to taki wybuchnie ogień, iż tych myszy przestaniem się lękać.“ Nie odebrała Moskwa Prusakowi ani Saksonii ani Ślązka, „tylko nasz polski chleb wam smaczniejszy: co wy głowy za granicę wyściubicie, to je dla zaraźliwego wiatru pruskiego nazad w polską uchylacie jamę.“ In-

teres Rosyi każe łączyć się z Anglią i Holandya, w Polsce nie dawać Sasom sukcesyi, „przez coby się osłabiła wolność Rzplitej, a absolutność samowładna wamby straszniejsza była i w znaczną Polskę erygowała potencję, to powinniście mieć w podejrzeniu przyjaźń nietrwałą z domem saskim; dajmy to, że nasz król do was przywiązany, i syn się was trzymać będzie, który fundamenta niewzruszone absolutności założy, choćby karki nasze z ramion złatać miały. Wnuk, jeszcze mocniej w siły się wzbiwszy, a tyrańskiego nabywszy humoru i natury dzikiej, szukający rozpostrzenia państwa swego, czy jesteście pewni, że ojcowskie wam dotrzyma przymierze? kto wie, jeżeli za Jana Kazimierza utraconego Smoleńska, utraconych Inflant i Ukrainy sobie windykować nie zamysłi, jeżeli, niewstrzymany w boju, kto wie, czyli przy Inflantach do Estonii, Ingryi i Karelli sięgać nie zechce? Choć tron sukcesją chodzi, przyjaźń sukcesją nie chodzi...“

„Wasz interes widzieć szlachcica Polaka na tronie spokojnego, niesilnego, w orężu i wojska słabego... Ta przestroga moja jest znakiem, że wasz przyjaciel: prorokuję z natchnienia Boskiego i wyprorokuję.“

Zwykle, gdzie się zaczyna natchnione proroctwo, tam niema już mowy o polityce racjonalnej. W opaczem życiu księcia Uryka miało się stać odwrotnie: teraz dopiero miała się zacząć jego realna rola polityczna powszechno-dziejowa. Nieboszczyk Śláz doczekał się chwili, kiedy czyn jego zadecydował o losach Wenedów i Lechitów, doczeka się podobnej chwili nasz koniuszy: dla tej krótkiej chwili głównie godziło się skreślić jego sylwetkę biograficzną.

Gulliwer-Pauzaniasz-Leonidas, obozując w Miśni i jakby przeczuwając zupełną klęskę generała Fouqueta pod Landshut, zdał sobie sprawę, że teraz wyjątkowo potrzeba mu do pomocy Polaków — nie ich szabel, tylko krzyku polskiego, któryby przedarł się aż nad Bosfor, gdzie emisaryusz Rexin wychodził ze skóry, aby wzruszyć Portę Ottomańską widokiem polskiej niedoli. Zrozumiano, że podszepty i oferty pieniężne Rexina póty będą bezskuteczne, póki oskarżeń jego nie potwierdzi strona uciśniona.

Więc rozkazami 21 i 23 czerwca 1760 r. zalecił Fryderyk swemu Benoîtowi użyć całej zręczności, aby ośmielić wybitnych Polaków, zwłaszcza „godnego patryotę,“ *Vami Kaniewsky*, t. j. Mikołaja Bazylego Potockiego, do skarżenia się Turkom. Chodziło nie o magnatów, zanadto drżących o swoje dobra, lecz właśnie o paru średniej zamożności starostów: gdy ci zawiadomią Portę, że Rosyanie zmuszają szlachtę do wielkich dostaw, że po-

zajmowali twierdze Rzplitej, powypędzali jej załogi, rabują, męczą, grożą, że przywileje i prerogatywy szlacheckie zostały zdeptane, skargi ośmieszono, zwołany do Warszawy sejm, który usankcjonuje jarzmo sasko-rosyjskie i dziedziczność tronu, Turczyn obudzi się z uspienia i zawrze przymierze z Prusami. Po miesiącu Benoit mógł się już poszczycić wynalezieniem dygnitarza litewskiego o głośnem nazwisku, tego, „co pisze przeciw Brühlowi największe głupstwa.“

Ulryk Radziwiłł podjął się wszystkiego za jakiś „ekwiwalent“ pieniędzy. Ekwiwalentem będzie w przyszłości mizerne 2,000 dukatów; tymczasem służba pruska koniuszego, gorliwsza, odważniejsza, niż wszystko, co wyrabiali panowie Potocki, Sapieha, Gadomski, będzie zawsze niedoceniona: tamci traktowani byli stosunkowo poważnie, osiągnęli pochwały w reskryptach, podczas gdy o biednym Ulryku bożyszcze jego przez cały rok nie zechce nic wiedzieć, potem przypisze mu tylko marne, chciwe intencje, zaszczyci jednym jedynym listem — odmawiającym przyjęcia i posłuchania. A ta służba sprowadzić mogła doniosłe skutki, i jeżeli ich nie sprowadziła, to już nie koniuszego w tem wina. Miała ona poruszyć Turcyę do wojny z Austryą i Rosyą, ocalić Prusy, lecz narazić Polskę na zapłatę kosztów, bo dyplomacya pruska, czego nie zgadywał filozof tajkurski, uniała naprzemian to zagrzewać sułtana do obrony Polski, to obiecywać mu odzyskanie Kamieńca.

Książę Udalryk zabrał się do krzesania ognia z zapalem. W zimie 1760—1761 r. wyprawił cichaczem do baszy chocimskiego Rostkowskiego, starostę oryszkowskiego; ekspedycyja, którą wiodł starosta, przeznaczona do przesłania wielkiemu wezyrowi, gdzieś zaginęła, więc w marcu, klnąc się „na wielkiego proroka Mahometa“ i prosząc o dyskrecyę, koniuszy pchnął kuryera z nową misywą, oczywiście w imieniu najprzedniejszych panów. To wołanie zostało w Stambule usłyszane, ale nie wysłuchane. Wtedy król pruski kazał zaofiarować hanowi dużą kwotę pieniężną. Niedługo się wahał Radziwiłł, 19 sierpnia odwołał się gromkiem pismem do „Jaśnie Oświeconego Przenajdostojniejszego Wielkiej i Małej Scytyi, wtaż i Krymei Hana, Hordy Czerkieskiej, Białogrodzkiej, Budziackiej, wtaż i Nohajskiej Wielkiego Wielowładcy.“ „Okrutny i tyrański oręż moskiewski,“ zabójstwa, rany, niepewność życia, a przytem świętość traktatów zórawińskiego, pruckiego, karłowickiego,—wszystko znalazło tam należyty wyraz, a służyło za umotywowanie prośby w imieniu własnem, Potockiego i innych współobywateli, ażeby han rzucił jeden zagon na Ukrai-

nę, obrócił w perzynę Kijów, Porejasław, Krzemieńczug, Hadziacz, Połtawę etc., drugi do Nowej Serbii: niech zabierają Tatarzy, ile potrafią, jasyru i niechaj z miast i slobód rosyjskich „kamień na kamieniu“ nie pozostanie! Upewniał Radziwiłł, że Wielkopolanie złożyli już kilkadziesiąt tysięcy czerw. złotych, chcąc ulżyć wydatku Tatarom, że składka dosięgnie do 100,000, a część już leży złożona nieopodal granicy: przyjsć tylko i zabrać ją.

Trzeba przyznać koniuszemu, że lepiej dbał o nienaruszanie przez dzicz polskiego terytoryum, niż później konfederaci barscy; ale faktycznie, jeżeli jego listy miały jaką siłę podniecającą, to napędziły największego strachu polskiej ludności kresowej, gdy Krin Girej latem 1762 roku istotnie wyruszył z hordą pod Kauszany: trzeba było niemałych wysiłków dyplomacyi francuskiej, aby powściągnąć z Konstantynopola dzikiego opiekuna Polaków, który właśnie z Polską szukał wówczas zwady, a któremu za pretekst do uzbrojeń nawinał się książę Udalryk.

Wogóle trudno było wybierać drogi działania opaczniejsze i bardziej sprzeczne z interesami kraju, niż te, na które trafiał nasz natchniony bohater. Jakaś perwersya była wewnętrznym prawem jego przemian duchowo-politycznych. Żydów nazywał „psja jucha i psja wiara,“ a jednak, zaprzędany Prusom, nie cofnął ręki w r. 1761 od zwalczania rozporządzeń podskarbińskich, mających na celu zażegnanie okropnych skutków fałszerstwa Efraimów. Na tym punkcie wszystkie obozy były solidarne, prawie wszyscy bronili resztek polskiego majątku monetarnego, — a on przy oklaskach najciemniejszej hulastry kazał się wozić po kraju, wyklinał „samowolę“ podskarbi i znaczył swój szlak takimi dokumentami: „Ponieważ przez manifest, w grodzie nowoniejskim uczyniony, ex persona oświadczyłem się przeciwko absolutnej i despotycznej redukcji podskarbiańskiej,“ przeto, nocując w dobrach podskarbiego koronnego, Białym Kościele, płaci manifestant w zajeździe samymi „bakami,“ rachując je po 38 groszy. „Ażeby dana była wiara karczmarzowi, że jeszcze są ci, co mają moc oparcia się temu bezprawiu, własną ręką podpisując się“ etc. Są także poszlaki, że i w kontrabandzie pieniężnej maczali ręce obaj nasi rzecznicy stambulscy, najtrzeźwiejszy z Radziwiłłów, Udalryk, i najmniej trzeźwy z Potockich, Mikołaj. Teraz przynajmniej pod względem upodlania monety polskiej koniuszy nie miał czego zazdrościć Józefowi Jabłonowskiemu.

Przyjaciel Benoit nie posiadał się ze śmiechu i z udanej wdzięczności. W jego listach „*cher Benkowski,*“ t. j. Radziwiłł, znajdował takie słodycze, jak „*Carissime amice,*“ i „*Votre carac-*

tère héroïque," i porównanie z rzymianinem Kurcyuszem, i upewnienie, że niewielu rodaków będzie się mogło kiedyś chlubić z nim razem, iż uwolnili ojczyznę od pustoszących ją nieprzyjaciół, i zapowiedź bliższego omówienia pewnych proponowanych przezeń planów, oczywiście planów konfederacji przeciwdworskiej z pomocą 30,000 Prusaków. Czasami zresztą sam Prusak, mistyfikując, ulegał mistyfikacji, gdy przedstawiał swemu rządowi, jako zasługi Udalryka, takie czyny, które działy się bez jego uczestnictwa, np. bójkę w Lublinie między palestrą a żołnierzami rosyjskimi (w końcu lipca 1761 r.), albo gwałtowny manifest antyrosyjski sieradzan (14 września). Służba naszego bohatera w Fryderykowym zaprzęgu przeciągnęła się znacznie dłużej, niż tego wymagało zbawianie Prus przez dywersję muzumańską. Już dawno czarny orłosep Hohenzollernów zbył się trwogi, bijącej od wschodu, już wiedział o przyjacielskich intencjach swego petersburskiego brata, i trzepotał skrzydłami, z dziobem krwiożerczo wyciągniętym ku krajom habsburskim, może i innym sąsiadom,—a orlątko radziwiłłowskie wciąż jeszcze spełniało funkcje gołąbka pocztowego między Poczdamem i Bakczyserajem, okłamywało Gireja, wpraszało się na wizytę do Berlina i doznawało rekuzy.

Dojrzewały tymczasem nowe zagadnienia polityki wewnętrznej. Rok 1762 pełen już był gawęd o reformie państwowej. Magnaci wszystkich herbów i odcieni wieszowali księdzu Konarskiemu jego dzieła „O skutecznym rad sposobie.“ Sam autor chwycił ich za słowo, pytając o opinię i utrwalając drukiem odpowiedzi. Wśród chwalców uderzał brak imienia radziwiłłowskiego, bo też, kto nie chciał się pisać na nową wiarę konstytucyjną, ten milczał. Nasz whig nigdy nie związał sztandaru swoich przekonań. On nie byłby sobą, gdyby, zagadnięty po łacinie przez księdza, nie wypowiedział przy tej sposobności również po łacinie całego swego *credo*, jak zawsze, złożonego z przebłysków przenikliwości wśród mętów nonsensu. Niedarmo zbierał z wielu autorów „collectanea“ polityczne. Z niezaprzeczoną bystrością wykazuje pijarowi rozbieżność tendencji senatorów, których listy pochwalne znalazł na końcu II tomu jego pracy; radzi wczytać się uważnie i doczytać się dla siebie nagany; przepowiada wielkie niezadowolenie osób, których opinie rozgłosił Konarski bez upoważnienia; zgaduje, że to chytry politycy, wodzowie stromiectw, nie chcąc zdradzać ogółowi swych zamiarów, popchnęli księdza do nienawistnego kroku. Szczerych wielbicieli widzi jedynie w ludziach, co, zwiedzając obce kraje, egzotyczną w duszach swoich zaszcze-

pili myśl, którym cuchnie i strój polski i obyczaj, którzy wszelką wiarę staropolską narówni z wrodzoną nam szczerością nie wstydzą się nazywać pogardliwie polonizmem albo polakieryą. W tem wszystkim było dużo, bardzo dużo słuszności. Było źdźbło przenikliwości i w nowem spostrzeżeniu, że Anglię od nadużyć *pluralitatis* chroni równowaga wielkich partyj, torysów i whigów, i w skonstatowaniu starej prawdy, że wśród walki o większość rozwija się nieraz korupcyja. Ale czemu z przyjęcia zasady większości wróżył absolutyzm, czemu kombinował bliskość jej tryumfu z nieprawą inwestyturą kurlandzką, z dziedziczością tronu, z redukcją podskarbińską tak despotyczną, „że nawet cesarz japoński, władca życia i śmierci nędzniutkiego swego ludu, postąpiłby przyzwoiciej,“ — to pozostanie zagadką oryginalnej umysłowości ks. Ulryka. Bądź co bądź, źle się wybrał Konarski, człek zresztą mądry, najmądrzejszy w Polsce, — gdy przeszedł na pole sporów konstytucyjnych, zamiast obracać wszystkie siły umysłu „*in profunditates theologicas, in subtilitates philosophicas, in inventiones mathematicas.*“ Nagannie robił, ku zgorszeniu licznej szlachty, gdy w konwicie warszawskim przy zaproszonych gościach urządzał rozprawy nad tem, czy lepiej Polsce pozostać w takiej, jak ówczesna, wolności, czy przyjmą rządów absolutnego monarchy. Młodzieniaszek w konwicie nie potrzebuje zgłębiać takich rzeczy, nie powinien znać pokus rządów absolutnych, podobnie jak pauna przed zamażpójściem nic nie powinna wiedzieć o tajemnicach pożycia małżeńskiego. Z czasem Konarski przerazi się może skutków swojej propagandy i przypomni sobie jeremiaszowe postannictwo ks. Ulryka, i jak niegdyś Krezus, zawoła: „O Radziwiłł, Radziwiłł, Radziwiłł!“

Co miał zrobić książd pijar z takim niespodzianym responsem: czy wydrukować go, jako satyrę na przeciwników jego reformy sejmowej, czy też, jak przewidywał koniuszy, nie ogłaszać go wcale. Naogół światlejsi ludzie wiedzieli, że w żadnej sprawie nie powinno się tak myśleć i działać, jak myśli i postępuje Udalryk. Ale światłych ludzi było jeszcze mało, więc respons został w manuskrypcie dla potomnych wieków. Autor zarzekał się, że znajdzie tłocznię, która mu to wydrukuje, lecz jej nie znalazł.

Wkrótce miał się przekonać, że nawet człowiek, głoszący pochwały „wolnego niepozwalam“ zbyt proroczym tonem, nie bywa prorokiem w swej ojczyźnie. Na chełmskim sejmiku sierpniowym 1762 r. zachciało mu się przewodniczyć. Niektórzy zaoponowali. On jednak złapał laskę i dalej prawić: „Dobry bój bojo-

wałem, wierny byłem, bieg mój wypełniłem.“ Ze odmawiają mu przewodnictwa, to nic dziwnego: „Prawdęm głosił, bom nie kłama, tej się nie zaprę.“ Ze król nic nie da, to też nic dziwnego: „Gdyby anioł nie miał o mnie prawdziwej informacyi, a był przez fałszywych delatorów zawzięcie irytowany, dobroć jego naturalna musiałaby się w zółć obrócić...“ „Wejrzyjcie na siedemkrotne poselstwa mego funkcyę, wejrzyjcie na niestrudzone w tychże funkcyach negocyacye, wejrzyjcie na komisarskie prace moje, gdzie czułym praw i sprawiedliwości byłem stróżem—jaką wdzięczność mają? Otóż zamiast admiracyi owych nieustraszonych przez heroizm czynów moich, inszej nie odbieram nagrody tylko sarkazmy, i od trwożliwych, podłą nadzianych prywatą susurrantów na ustroniu urągające się podejmują epiteta...“

Istotnie, po zgromadzonych szedł pomruk, który nie był pomrukiem zadowolenia. Ale on, zachwycony sobą, ciągnął dalej:

„Słyszę, nie słysząc, to przyganiecie mych dla wolności czynów: Oto miłośniczek wolności, bocian, co świat czyści, feniks samojedny bez posiłku!“ Obłudni życzliwcy wyrażają mu kondolencyę, inni straszą procesem o zdradę stanu, to wszystko nic: „Ani się cieszę z pomyślności, ani się smucę z przeciwności, ani się lękam śmierci, ani pragnę onej, spokojnie poznawszy światowe marności.“ Wydrą fortunę— to nic, tem lżejsza będzie droga do nieba, — wtrącą do więzienia, „to dziękczynienia Bogu pieśni zaśpiewam, że mnie od zazdrości i światowych oddalili tumultów i dali mi czas wolny... do rozpamiętywania nad wielkością chwały jego, a nad nikczemnością cielska mego.“ I śmierć w mękach będzie miła!—wykrzykiwał wśród rosnącego pomruku, i przywoływał whigów, dalekarłów, i piętnował „podłości kosmaczną,“ „pseudoreligię materyalizmu...“

Tu już nie wytrzymała szlachta, zaczęła wołać: „Rzucaj laskę, mości książę, wracaj do domu, do gospodarstwa, do roli!“

Radziwiłł poruszył jeszcze temat Cyncynnata, zadeklamował: „*Beatus qui procul negotiis*“ i odstąpił swe prawa do łaski Sługockiemu.

Przystojniej było mu zadawać się z oświeconą Europą, niż z tą ciemną szlachtą chełmską, i skoro Prusy mogły się obejść bez jego przysług, wolno było się zająć losami całej ludzkości. Ludzkość, zmordowana wojną siedmioletnią, pożałowała kojącej ręki opiekuńczej. Odczuł to nasz książę, nastroił bardon i zaśpiewał monarchom wojującym odę o dobrodziejstwach pokoju:

„Czyliż nieśmiertelności zasług szukać chcecie

Przez liczbę nieprzebraną owych wiktym rznięcia,

Czyż trzeba dla nabycia tych wielkości przecie
 W perzynę świat obracać przez swe przedsięwzięcia?
 Czyż trzeba lud ów wątły ostrym ciąc orężem?
 Czyż dzikość sroga kogo wielkim czyni mężem?*

Monarchowie nie tylko nie protestowali, lecz zaraz pozawierali traktaty pokojowe. Jeden z nich nawet tak się przejął głoszonymi przez ks. Ulryka ideałami, że jeszcze przed pokojem hubertsburskim dla nakarmienia swej głodnej armii sprowadził z sąsiedniej Wielkopolski prawie darmo dziesiątki tysięcy korcy zboża, a po traktatach, gdy się armia nasyciła, ściągnął sobie kilkanaście tysięcy chłopów i dziewczek. Wtedy to wśród powszechnej konsternacji i oszołomienia pacyfikator Europy ujrzał przed sobą drogę jasną i szczytną: dla niego Fryderyk zlituje się nad Polakami, jego wymową wzruszy się, przed argumentami jego ustąpi. Niech tylko król i szlachta powierzą mu poselstwo do Berlina. Sfery decydujące nie uwierzyły jednak we wpływy nadspreskie Radziwiłła i wydelegowały kogo innego.

Kto inny też doznać miał rozkoszy, o jakiej marzył koniuszcy, gdy ślubował, że „wyjedzie z Polski na Brühl.“ Stolnik litewski Poniatowski zadał faworytowi nieszlachectwo na sejmie 1762 r., a w urządzonej zaraz potem burdzie rodzony brat Ulryka, podkomorzy Stanisław, razem z księciem Panie Kochanku znaleźli się w roli satelitów syna ministra. Kończyło się i obmierze gospodarstwo Sasów w Warszawie, ziszczały się życzenia i prococtwa Udalryka, bezkrólewie pozwoliło mu jeszcze raz błysnąć efektem teatralnego krasomówstwa. Obrano wszak takiego króla, że naokoło jego tronu w braku prawdziwego majestatu przydać się mogły niektóre surogaty królewskości. Elekt Stanisław August dał m. in. audyencyę delegacyi chełmskiej, w imieniu której przemawiał Radziwiłł. Mówił o swym „herbownym niedźwiedziu mruczącym,“ który „naturę swej srogości w uniażający się przemienia respekt,“ o trzech królach, pochodzących z ziem ruskich, o jagiellońskiej krwi „famili, co kredytem w polskim narodzie i przyjaźnią wszystkie domy wyprzedza.“ „Bóg tobie przez Opatrzność swoje otworzył serce, Bóg łaskawy na nasz wolny naród natchnął Duchem Świętym instynkta mocarstw sąsiednich, że ciebie za kandydata tronu być uznały... I ten być wyczytuję charakter królewski w twej poważnej fizyognomii, że będziesz królem od nas wszystkich kochanym... Stan rycerski piersiami cię swemi zasłoni!“

Smutna była starość księcia Ulryka—prawie tak smutna, jak los wybrańca, któremu zasłonę z piersi polskich wróżył. Za fa-

tygi, hazardy, rozbrat z rodziną podczas bezkrólewia nikt go nie nagrodził. Podobno Benoit wstawiał się za nim do Stanisława Augusta, ale nadaremnie. Wakanse były dla tych, co umieli pomagać lub szkodzić, a nasz „feniks samojedny“ nie potrafił ani tego ani owego. „Com ja tam wart w Warszawie, czy łaski, czy niełaski?“—dopytywał się z początku znajomych: „czy że mnie Pan Bóg nie stworzył Gnojkowskiem, tylko Radziwiłłem, czy za to imię godzienem być prześladowanym?“ „Tem zostać muszę, czem jestem“—dodawał z rezygnacją: „a że nic nie mam, to mię nicht nic nie odbjerze... Dość być Radziwiłłem, umierać zacnym, cnotliwym, a bez interesownego serca w ubóstwie, ale w talentach. W punkt-honorze, w waleczności, we wspaniałości umysłu, w edukacyi, w wjadomości wszystkiego najbogatszym nie ustąpię ani nawet najwyższemu mocarstwu... I już Bogu dzięka, że nic nje mam...“

Tak było niestety naprawdę. Póki on zbawiał wolność polską i całość pruską, obserwował Wenerę i spekulował na kąpiele szkłowskie, praktyczniejsi spekulanci ogołocili go ze wszystkiego.

Najpierw, jeszcze w roku 1751, niejaki Iwanowski namówił go do sprzedaży starostwa mińskiego. Następnie ksiązę Stanisław, obecny przy śmierci Jerzego, dopilnował przyznania sobie w testamentie nietylko dóbr nabytych, ale i działu ojczystego, będącego pod dożywociem matki; starostę rzeczywecznego ugłaskał nadzieją, że pomoże mu wyzyskać słabość i bezdzietność Ulryka. Jakoż obaj zobligowali go do zeznania w magdeburgii mińskiej, za rewersem i pod warunkiem bezdzietności, donacyi działu ojczystego. Starzejąca się matka zaoponowała, ale później przeszła na stronę praktycznych synów. Z jedyną osobą, która gotowa była stać wiernie przy koniuszym, obszedł się on wcale nie pięknie. Mianowicie, nie poprzestając na adoracyi jakiegoś *ad hoc* zamówionego malowidła niewieściego i na wywodzeniu przed niem czułych tonów na fletrowersie, upodobał sobie pięćdziesięcioletni kaleka jakaś pannę Walichnowską, dla niej polecił do Warszawy po prezenty, przefrymarczył Michałowi Brzostowskiemu koniuszostwo za pisarstwo litewskie i gotówkę, zaraz potem sprzedał pisarstwo Antoniemu Tyzenhauzowi i został poprostu generał-lejtenantem, później i generalską szarżę oddał bezcennie któremuś z braci. Rozpoczął w grudniu 1762 r. starania o rozwód, a biednej żonie mówił z urąganiem: „Oświadczasz się, że wszystko dla mnie zrobisz, daj tego dowód i pozwól na rozwód ze mną, gdyż kocham się w pannie Walichnowskiej i pragnę się z nią ożenić.“

Rejówna umarła w Torczynie 2 marca 1765 roku, poczem synowcowie wygnali niewiernego wdowca z dożywocia i dóbr zapisowych.

Podczas ostatniej konwokacyi, kiedy najszersze ciosy padały na bannitę, księcia Panie Kochanku, Udalryk uznał za właściwe „puścić na los sprawiedliwości... odbłąkanego od familii... Radziwiłła,” byle uratować przytem całość dóbr ordynackich, a sobie, ordynatowi kleckiemu Józefowi i Albrechtowi zapewnić opiekę nad nieletnim bratem ks. Karola z dziesiątym groszem dochodu; ponieważ zaś klienci nieświezczy mogli się opierać, prosił o przydanie sobie asysty wojskowej. Miała rację Rzeczpospolita, że odmówiła i opieki i egzekucyi.

Niespełna w rok potem tenże Albrecht do wspólni ze Stanisławem, a za zgodą starej księżnej zwabili eks-koniuszego do Zdzięcioła i tam, kłaniając się, perswadując, grożąc, że go nie wypuszczą i wezmą w kuratelę, wymogli powtórna donacyę, jeszcze ogólniejszą, bo obejmującą nawet sumy dożywotnicze na dobrach Rejów, na dalsze życie nie zostawili nic. Ten drugi rozbiór, dokonany przez rządnych panów na nierządym, motywowano potem tak samo, jak mocarstwa — rozbiór Rzplitej: kto się nie broni, żyje nieporządnie, pozwala brać, przez to samo godzien jest rozbioru.

Lecz Udalryk, wydostawszy się jakoś z uścisków rodzinnych, oprzytomniał, zaniósł manifest przed trybunał lubelski (1766) przeciw tranzakcyi, nawiasem mówiąc, uwarunkowanej, jak i poprzednia, bezdzietnością, — i zemścił się na złych braciach, jak mógł najokropniej: ożenił się po raz drugi. Nowa księżna, Eleonora z Kamińskich, córka wojskowego wołyńskiego, wkrótce poczuła się matką. Albrecht i Stanisław rozjuszeni mieli grozić, że wydrą dziecię z łona rodzicielki, a Ulyka oskarżą przed sejmem o pobieranie kiedyś pensyi od carowej Anny. Panią Barbarę nakłoniono do manifestu, że ślub odbył się wbrew jej woli, ale udo-bruchana przyhołubiła Eleonorę i gdy przyszedł na świat synek, ochrzczony Mateuszem, pobłogosławiła go i zaopiekowała się obojgiem. Pod koniec roku 1769 eks-koniuszy udał się do Berdyczowa i tam ciężko zapadł na zdrowiu. Dnia 15 lutego 1770 r. zgasła staruszka wojewodzina nowogrodzka. Na to tylko czekali jej młodszy synkowie: rzucili się na schedę, zabrali Zdzięcioł i inne nieruchomości, nawet majątki lenne Czereszczce i Sieliszczu, nadane jakoby ks. Mikołajowi przez Rzeczpospolitą z prawem pierworodztwa, nawet meble, srebra, bibliotekę, papiery pierworodnego i garderobę jego małżonki. Ją samą wtrącił Stanisław do ciem-

nej komory, po ośmiu dniach pozwolił wyjechać do Berdyczowa, ale Mateuszka umieścić pod dozorem gromady zbrojnych chłopów.

Niejeden silniejszy charakter zachwiałyby się po takich ciосach—cóż miał uczynić mąż pani Eleonory, gdy sam król nie miał bezpieczeństwa od skutków wojny domowej i swawoli? Udało się opanować „prawem represyi“ goły zamek berdyczowski bez przynależnych wsi, sprowadzić tam pod konwojem polskich kozaków księżnę i ksiąźatko, ale regent owrucki, który się zgłosił w imieniu księcia po owe majątki lenne, dostał od Stanisława Radziwiłła 300 kijów. Mówiono wciąż, że bracia zamknę Eleonorę w klasztorze, a dziecię otrują. Więc na północny wschód wyciągnął Udalryk obie ręce, do imperatorowej Wszech Rosyi. Fatalna siła kazała mu przed śmiercią po tylu obłędach pójść jednak w kierunku, wskazanym przez nieboszczkę matkę. Lecz uczynił to bez bicia się w piersi, nie jak syn marnotrawny, co wraca na łono kochające: przecież już od szeregu lat nie miał grzechów politycznych, na wojnę barską i turecką wzruszał pogardliwie ramionami, czcił tylko oręż rosyjski; pisząc zatem do Katarzyny 15 czerwca 1770 r. o swych utrapieniach, wystąpił z pretensją do zawieszanej niby dopiero po śmierci Kayserlinga (1764) dożywotniej pensyi rosyjskiej—i z denuncyacją na ustach, że ci niedobrzy bracia są zarażeni duchem konfederackim. Prosił, aby dowodzący w Berdyczowie pułkownik Leontjew wypędził ze wsi podmiejskich wszystką poosadzaną tam od braci szlachtę, a jemu, Ulrykowi, wypłacał sekwestrowany dochód. Naprawdę obaj oskarżeni byli dość dalecy od ducha konfederackiego, i o ile wiemy, dochodów im nie odebrano.

Były koniuszy litewski umarł coś w kilka miesięcy po tym liście. Sława Józefa Jabłonowskiego szeroko rozeszła się po Europie, a on znikł w takim zapomnieniu, że nawet ścisłą datę jego zejścia trudno dziś ustalić. W testamencie oddał obu braci od opieki nad sierotą i powierzył ją ks. wojewodzie wileńskiemu, Kamińskiemu, łowczemu krzemienieckiemu, i Kajetanowi Wolskiemu komornikowi checińskiemu; „protektorami“ mianował marszałka i kanclerza wielkich koronnych, wojewodę kijowskiego i inne znaczne osobistości, żonie polecił oddać Mateuszka po szóstym roku do konwiktu pijarskiego, pod dozór wychowawczy księdza Adolfa Kamińskiego. Na dalszą przyszłość poświęcił go jeszcze przedtem służbie Jej Cesarskiej Mości.

Testament został przeważnie na papierze, a wdowę bracia prześladowali w dalszym ciągu. Wypędzona z Berdyczowa, le-dwo zdołała się schronić w Słobodyszczach; gdy prześladowcy

zaczęli głosić, że ona nie ma dzieci, powiozła jedynaka do Warszawy (1775), oddała go rzeczywiście do pijarów, a pamiątkę po mężu, order Aleksandra Newskiego, zwróciła Stackelbergowi. Była w takim ubóstwie, że nie miała czem zapłacić w konwicie. Dopiero rok 1776 przyniósł pewną ulgę: sejm skonfederowany pod łaską Mokronowskiego, „znosząc przyczynę małoletności księcia Mateusza Radziwiłła, koniuszycza Wielkiego Ks. Litewskiego, dział substancyi z stryjami jego zatrzymującą,“ wydelegował komisję do ostatecznego uregulowania sporów w ciągu jednego roku i sześciu tygodni. Komplanacya została zawarta, Berdyczów z przyległościami pozostał własnością koniuszycza, pod opieką jego matki i kasztelana wileńskiego, Michała Radziwiłła.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI.

GWARA TATRZAŃSKA

I JEJ PIŚMIENICTWO.

III.

Można powiedzieć, że przygodnej okoliczności zawdzięczamy odkrycie tatrzańskiej góralszczyzny dla naszego piśmiennictwa i sztuki. „Odkrył“ ją profesor Chałubiński z Warszawy, zjechawszy przypadkowo na letnisko do Zakopanego, który w górach, upojony widokiem pięknej przyrody, zbliżył się do ludu, a poznawszy jego wielkie zalety, stał się szczerym jego przyjacielem i zwrócił uwagę społeczeństwa polskiego na ten lud. Wprawdzie już przedtem S. Staszic ¹⁾ zwracał uwagę narodu na Tatry i ich ludność, lecz u nas, przy krótkiej pamięci ogółu, można jedną i tą samą rzecz „odkryć“ kilka razy. Szczęśliwszym od Staszica był prof. Chałubiński, który w Stanisławie Witkiewiczu i Walerym Eliaszu dzielnych znalazł współpracowników, bo jego „odkrycia“ społeczeństwo już nie zapomniało, a Zakopane ściągało coraz więcej letników, rozwijało, a z tem ręka w rękę uprzystępiała się, że się tak wyrażę, góralszczyzna coraz więcej dla naszej inteligencji, przestając coraz mniej być dla niej *terra incognita*. Poczęto słuchać opowieści góralskich, a Jan Sabała-Krzypkowski zasłynął w niezbyt długim czasie, jako oryginalny opowiadacz ludowy na całą Polskę, a Sienkiewicz, spisując i ogłaszając jego bajkę, wprowadził go poniekąd do piśmiennictwa pol-

¹⁾ „O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i dolin Polski.“ Warszawa, 1815.

skiego. W r. 1891 ogłasza Witkiewicz, pracujący równorzędnie nad ustaleniem i wydoskonaleniem stylu zakopiańskiego, dalsze opowiadania w dziele „Na Przełęczy,” a w sześć lat później Andrzej Stopka, syn góralski, wydaje książkę p. n. „Sabała” z jego portretem i życiorysem, zawierającą jego „bajki, powiastki, piosnki i melodye,” a góralszczyzna przy pomocy „Towarzystwa Tatrzańskiego,” wydającego corocznie „Pamiętnik,” przy wspierającej pracy kilku młodszych, między którymi wybitne miejsce zajmuje d-r Stanisław Eliaz Radzikowski, wzrasta w naszej opinii publicznej w siłę i staje się coraz popularniejszą.

Jana Sabałę Krzeptowskiego, który nie umiał ani czytać, ani pisać, a za młodu, jak się sam przyznawał—zbójował, można śmiało uważać za twórcę gwarowego piśmiennictwa tatrzańskiego wogóle, gdyż jego opowiadania i piosnki przeszły pierwsze do piśmiennictwa.

A. Stopka pisze o nim: „Nie przesadzę wcale, gdy go nazwę bardem ludu podhalskiego. Jego piosnki, powiastki i melodye, które improwizował niezrównanie, są dla nas arką przymierza, łączącą dawne czasy, minione bezpowrotnie czasy, z terażniejszymi. Przedza jego opowiadania, snuta oryginalnie z bujnej wyobraźni, dała nam jakie takie pojęcie o życiu ludu góralskiego w dawnych czasach.”

Stanisław Witkiewicz ¹⁾ pisze o Sabale: „...lecz znalazł się jeszcze człowiek (Sabała) który nią władał, jak pierwszorzędnym poeta, a że był obdarzony duszą szerszą, niż granice chłopskiej zagrody, więc gwara ta musiała się gnić i rozszerzać, dopóki w niej nie skryształizowała się cała poezja Tatr i góralskiego ludu. Ktokolwiek też miał poczucie doskonałości i piękności języka, ten się z zachwytem wsłuchiwał w Sabałowe opowiadania.

Wielbi go też Kazimierz Przerwa Tetmajer, pisząc: „Piąty tom „Podhala” poświęcam pamięci Homera Tatr, Sabały. Jestto dług wdzięczności, jaki Sabale winien jestem. Nikt nigdzie nie będzie tak mówić po góralsku, jak on, i styl jego wiecznym i najdoskonalszym pozostanie wzorem góralskiej mowy. A styl jego nie przepadł wraz z jego śmiercią; utrwaliłi go: Witkiewicz, Dembowski, a najlepiej, najobficiej, najsztelniej i najwierniej — profesor Stopka... Treść opowiadań Sabałowych jest niesłychanie głęboko prymitywna i człowiek obcy musi być wysoko kulturalnym, wykształconym i rozwiniętym, aby się w nich rozsmakować,

1) „Z Tatr.” Lwów, 1907.

aby w nich skarb, który tam leży, mógł i umiał znaleźć. Język zaś Sabały, jego styl, jest już tylko dla tych, którzy po góralsku mówią sami. Ale dla tych jest on niewyczerpaną kopalnią używania. To była krynica niewyczerpana takiego swoistego bogactwa językowego, jakiego się nie spotyka. Pasek w swych „Pamiętnikach,” Rzewuski w „Pamiętnikach Soplicy,” Sienkiewicz w trylogii, opowiadają tak, jak opowiadał Sabała.“

Oto wzory stylu Sabały ¹⁾:

„Kie my przysli na Orawe — toz tok poslakował niedźwiedzia ²⁾ i zabełek go. No i dobrze nie barzo ³⁾—obłupiełek go — haj—i upiók co zwiększa. Jaze przylatuje ku mnie taka wartka⁴⁾ liska. Straśnie była pokorna, ogon trzymała między nogami — haj! Ni mogek sie jej obegnać, a strzelać sie do niej nie opłaciło, bo była młoda i byłbyk se dzwierz postrahał—haj! Jazek sie długo nie namyślał. Myśliwske prawo krótke. Łapiłek jedne pieconke, co okapowała na patyku i prasnonek jej to. Łap i poleciała.“

O innej przygodzie myśliwskiej opowiadał:

„Raz ja i Marduła nieboscyk posliśmy lemze ⁵⁾ świt, jak ino śnieg zeseł, do Luptowa. No, i dobrze nie bardzo zmarzliśmy tego, bo to było co ino po zimie, na wiesne było. Zmarzliśmy setnie—haj! Co ja nie robiem, ozłozyłek wieldzaśnom watre, co by sie nie przygrzać przy niej — haj. Marduła sie tez wyciongnon przy watrze. Przy watrze sie dobrze śpi. Kosulisko mu sie popaliło, ale spał tego — haj! Kie sie tak cysto pięknie zespał, ja tym case hybaj ⁶⁾. Marduła nie był taki zawzięty na dzwierzynie jako ja. I co ja nie uradził—zostawiłek go tak, a ja tym case poleciałek z flinteckom ⁷⁾—haj. I tak mi sie jakosi trafiało, ze inok sie obezrał — widzem małom świnke. E, pomysłem se, bedzie tu kajsi ⁸⁾ i duza, bo kazby się mali brali, kieby duzyk nie było. Miałek się juz na ostrożności, coby mnie ze zadku ⁹⁾ nie przywitaa, ino z przodku, po honorowemu — haj. Patrzem, cy kapśliki mam. Syćko było w porządku, ino jesse nie było do kogo strzelać. Z tom małom biedom, to mi sie nie opłaciło babrać—haj. I co sie mie stało—stojem tak, jak na trzy stajania¹⁰⁾ a tu widzem usyska i ryło. Sjonek kapelus z głowy i prasnon, coby mi — prosem pięknie — nie zawadzał. Ona hudobina ¹¹⁾ my-

¹⁾ Stopki: „Sabała.“ ²⁾ Tropilem niedźwiedzia. ³⁾ Sposób mówienia. ⁴⁾ Szybka. ⁵⁾ Co tylko. ⁶⁾ Pobiegłem, pogoniłem. ⁷⁾ Ze strzelbą. ⁸⁾ Gdzieś. ⁹⁾ Z tyłu. ¹⁰⁾ Miara góralska. ¹¹⁾ Biedaczka.

ślała, ze ja się śniom witam i lezie ku mnie pomału, bo juz była drugi raz prośna. Jaze hyc za bucka. Skryłek sie, przymierzyłek i ben w nie — haj! Strzelilek. Zacena tońcyć, ale pote se spocyna. A ja wyjon noz pilno. Urznonek jedne łydke. Przy-niosek ku watrze i upiók. Dobrze nie barzo, jem i oblizujem sie i skwarkik juz skarzył, toz tok pilno włożył do ognia skale ¹⁾, coby się ozpałiła. Wyjonek jom cerwonom i włożyłek do wody. Nasulek mąki i była klóska. Uwarzyłek jom. Kiek tak syćko dobrze, syćko pieknie porobiel, zaconek jeść. Jaz Mardule zapachło po pod nos i obudziel sie. Myślał, zek kany świnię ukrad. Nie kciał mi nijakim świacie ²⁾ wierzyć, co byk jom tak pilno upo-lować miał — haj. Ja mu sie sumietujem ³⁾, a on nic. No juści, jak cłek śpi, to mu wrona do gardła nie wpadnie, chociaż by ta szerzej otworzył hubku ⁴⁾ jak wrota — haj! Zabraliśmy to, pote do casu Bożego mieliśmy na kwilke co jeść.“

Potem przegrał jakąś staroświecką orawską nutę na gęślach ⁵⁾, które zawsze nosił przy sobie, i począł śpiewać:

Oj jesceć mie matusia,
oj w korytku tułała,
wtedy juz nad mojom
skórom narzekała.

Oj, łapali Sabale,
oj, po zielonyk bukak.
ale sa wybroniel,
miał siekierke w rukak.

Oj, Sablicek ⁶⁾ zbójnicek,
oj, siekiercecka siostra;
nie jedna dusycka
przez niom w niebo posła.

Oj, pedziała mi ziena,
oj, ze to moja wina,
jeze mnie złapali,
na wysokiej hali.

Oj, matycko miła,
oj, cemuś mie nie biela;
jak ja budem wisiał,
budzies sie hańbiela ⁷⁾.

Oj, góry nase, góry,
oj, to nase komory ⁸⁾
oj, bukowe listECKi
nase podusecki.

Oj, tatusiu, tatusiu,
oj, gołąbecku siwy,
potelaz nam dobrze,
pokielaś nam zwywy.

Oj, góry nase, góry,
oj, hale nase, hale,
wto was zna tak dobrze,
jako my górale.

1) Kamień. 2) Za nic w świecie. 3) Zapewniam. 4) Gęba. 5) Skrzypcach. 6) Zwano go także Sablickiem. 7) Wstydzila. 8) Komórki.

Oj, góry nase, góry,
wy wysokie scyty,
wto was przewędrował,
oj, góral rodowity.

Oj, krywaniu, krywaniu,
oj, coś taki pękaty?
cy cie ozpucyły ¹⁾
zbójeckie dukaty?

Oj, krywaniu, krywaniu,
oj, cegoś tak osowiał?
cy cie dyscyk polał,
cy cie wiatrek owiał?

Oj, Janosik, Janosik!
oj, kaś podział palusik?
Na wysokiej horze
zacięty w jaworze. ²⁾

Piosnki te improwizował. Pełną humoru jest następująca jego improwizacya:

Starej babie przy boku
lezał djabeł w potoku,
nie wiem cy spał,
cy też drzemał,
ale lazał przy boku.

Wdzięk ludowej poezyi wionie z innej, odznaczającej się nadto gładką i miłą formą:

Oj, Świnica, Świnica,
na Świnicy śnieżnica,
a tom śtyrbnom ³⁾ drozynom
idzie juhas z dziewczynom.

Konie jadom, konie stojom,
nie bedzies ty Maryś mojom,
ani mojom ani cyjom,
ani księżom gospodyniom.

Lecz Sabała nie jest jedynym bazarzem i stylistą góralskim. Jest ich więcej, w szczególności zaś zwrócić należy uwagę na dwóch starców, których opowieści przeszły do pisanej literatury gwarowej, którzy, podobnie jak Sabała, są pośrednio jej ojcami, mianowicie starzec Komperda i Gadeja, obydwaj z Kościelisk, których oryginalne opowiadania w stylu góralskim dwaj prawdziwi góralscy pisarze ludowi przenieśli na papier i wzbogacili niemi niepospolicie nasze piśmiennictwo. Tymi pisarzami ludowymi, których obok Tetmajera i Witkiewicza uważam za głównych przedstawicieli powstającej góralskiej literatury gwarowej, są: *Andrzej Suleja*, gazda na Bystrem w Zakopanem i znany artysta-rzeźbiarz, *Wojciech Brzega*, osiadły również w Zakopanem, obydwaj urodzeni górale, którzy też góralami pozostali. Suleja nigdy nie przestał być chłopem. Urodzony we wsi Kościeliskach na Podhalu, był przez wiele lat gajowym u Homolaczów, daw-

¹⁾ Ozpuczyć = rozepchać. ²⁾ Niebezpieczną.

niejszych właścicieli dóbr zakopiańskich. W tym czasie obcował często po lasach z Sabałą, który był wielkim miłośnikiem polowania i zawołanym myśliwym. Polowali też razem na niedźwiedzie, obaj zamiłowani w Tatrach, w góralszczyźnie, w starych góralskich zwyczajach i obyczajach i we wszystkim, co „drzewiej bywowało.“¹⁾ Obcowanie z Sabałą odkryło jego wrażliwemu sercu poezję gór i pociąg do opowieści, które jął spisywać, nauczywszy się sam czytać i pisać i mając wrodzony pociąg do pióra i wielki talent pisarski. Spisując opowieści Sabały i wspomnianego Komperdy, począł następnie snuć je z własnej wyobraźni, barwnie i żywo, a nawet z artyzmem, jak świadczy o tem jego opowieść p. n. „Jak zrobił Sobanek z planetnikiem,“ umieszczona w drugim tomie Tetmajerowskiego „Na Skalnem Podhalu,“ obok dwóch innych jego opowieści: „Dolina Podhala dawniej“ i „Jak tańczyły śmierci na kulowej dolinie.“ Zdaniem mojem, jest Sulejowa rzecz o „planetniku“ cackiem artystycznym. „Planetnik,“ rządzący deszczem, gradem i burzami, występuje w tej opowieści z prawdziwą charakterystyką nadziemskiej istoty, prawdziwie po mistrzowsku nakreślonej. Warto zaiste zapoznać się z tym utworem nieco bliżej.

„Ka sie wzieno, tam sie wzieno, przed progiem hłopcysko jakiesi nieznajome. Odziote ino w potarganej kamizelce, w gaciskak. Z gołą głową i boskiem. Mokrutkie jak mys. Ślizgo sie i utyko po krupak. Trzęsie sie i sceko zębami od zimna. Dygoce całe skrzywione.“

Tak zjawia się w młynie wodnym Sobanka spadły z chmury planetnik.

— „Zje pójdzi weredo²⁾ do izby, bo umarznies! Zagrzej sie! — zaprasza go Sobanek po swojemu. — Hej i wleźli.“

W izbie było ciepło.

Ciekawy młynarz-gazda pyta się go:

— „E, cyjżeś nieboze? E, zkądżeś?“

„To nic, ino sceko zębami i patrzy do niego.“

— „Dej ty sie ta ozgados — myśli Sobanek — ino sie zagrzejes. Pote beemy³⁾ gadoć.“

Lecz „hłopcysko“ zachowuje wciąż milczenie, a tylko „pho ręce i nogi w piec,“ ale kamizelka i gacie, zamiast się osuszać, co raz bardziej mokną i z każdego strzępka „pusca sie ciureckiem woda.“

¹⁾ Dawniej bywało. ²⁾ Brzydala. ³⁾ Będziemy.

Sobanek wyrzucił go z izby „pod pud ¹⁾ do bartnicy ²⁾.”

„Tam woda chlusce z koła zimno, to siadło w niej i wysce-
rza zęby“ do Sobanka, śmieje się.

— „Heba! tu mi strasznie dobrze — jeno byk jad!“

Gazda ostrzega je, by się wystrzegą koła, „coby cie nie
hyrnęło ³⁾.”

Lecz to „hip w korcówki ⁴⁾,” przejechało się na kole dookoła.
Wyskoczyło, otrzepało się z wody, wzięło ręką „za ramie ⁵⁾ w pa-
lecne kole ⁶⁾“ i cały młyn „zastawieł.”

Gazda patrzy na to i mówi w myśli do siebie:

— „Je, dyabliście w garle! Tobie, widze, ani młyn nie zro-
bi nic!“

Potem daje mu „moskała ⁷⁾“ i „kruk bryndzy ⁸⁾,” by głód
zaspokoił.

Przy jedzeniu rozwiązuje mu się język.

Mówi, że gaździna Kunda „hań za wodom“ ma jeszcze wię-
cej bryndzy, lecz tam nie pójdzie, bo to baba zła. „Ona hań mo
różne ziela i dzwonek taki jakisi,” co on „sie nieroz cofnąć mu-
siał, kie zacena na nim zbyrceć ⁹⁾ i zielami kadzić.“ Gdyby jej to
kto ukradł, „miałaby sie z pysna: do cysta bym jom zamulieł ¹⁰⁾.”

— „Ehe—pomyślał sobie gazda—Tyś to, co gradami rządzis.“

Lecz nic nie mówił, tylko karmił go przez dwa „tyżnie“ ¹¹⁾
bryndzą i mlekiem.

Jak była pogoda, mąciło to całe dnie i noce wodę w mły-
nówce pod kołem, a jak był deszcz, siedziało cicho i śmiało się.

Na końcu „ozbulowało sie“ ¹²⁾ strasznie. Zaczęło już i „ceka-
nom ¹³⁾ wyrządzać ¹⁴⁾ i na dziewczki różne brzyćko wołać, bo ono
wiedziało o sićkiem, co ta wtóra miała z kim.“

Tłukło się po pod kołem młyńskim i po całym młyńcu. Pe-
wnej nocy księżycowej wzięło z izby kawałek skóry świńskiej,
wyrwało gdzieś gwóźdź, poszło ku wodzie, siadło na kamieniu
i „zaceno skórom owijać nogi, a syć cosi z niej tym gwoździem.“

Gdy wróciło do izby, oznajmiło gaździnie, iż już nie długo
będzie u niego przebywało.

1) Osada kół w wodnym młyńcu. 2) Młynówka. 3) Hyrknąć = chwy-
cić. 4) Skrzydła koła młyńskiego. 5) Deska w kole młyńskim. 6) Palec-
ne koło = koło, nabite kolkami. 7) Placek owsiany. 8) Kawałek sera ow-
czego. 9) Dzwonić. 10) Zalał deszczem. 11) Tygodnie. 12) Rozbrykało
się. 13) Ludziom, czekającym w młyńcu, aż na nich przyjdzie kolej. 14) Ro-
bić psoty.

Nazajutrz było pogoda. Ono cały dzień spędziło pod kołem młyńskim, wyzierając ku Orawicy. Było smutne, jeść nie chciało.

Gdy pod wieczór zaczęło się chmurzyć od Orawy, rozweseliło się, a rano nie było go już w izbie. Wyleciał z Walcockiego Wierku w chmury, a niedługo „straśna cyrniawa ¹⁾” zacupiła ²⁾ cały ten kant i jedzie i hucy nad Zakopane z grznotami i łyskawicami co cud!⁴

„Sobanek widzi, że nie śpas ³⁾”, że to ta hmura sama, co mu to padało o niej kiejsi tu; zastawieł młyn, co thru poleciał na joz ⁴⁾ i wode odstawieł het, wzion i obrócił się do Kundy, na Łazek, bo wto wie — pado—co bedzie? i gado jej o tym. Kunda łupieła co thru spizowy zwónek świencony i ziele, położyła na wągłe ognia na miske, wysła do pola i kadzi a zbyrcy na zwonku do trzeciego razu... Hmura stanena naros!... I grzmieć i łyskać się przestało troche, ino sumi w niej i hucy co raty!⁵⁾ Jak kieby się cały Giewont obracół w niej.

„Powiher ⁶⁾” ros, to zaś drugi ros, wiater przihodzi od niej zimny a straszny, co ludzie na świecie!⁷⁾ Kunda nic ino jednom rękóm na krziz zwonkiem zbercy i przezegnuje hmure, a w drugiej tak samo na krziz maho miskom w powietrze, a poduhuje wągłe, coby się jarzyły... Ziele trzescy, poli się, a dym ś niego wiater niesie prosto w hmury.

„Ręce juz Kundzie zacynajom cierpnać, a hmursko nic, ino stoi. Casem powiher przileci od niej taki mocny, co cysto kee ludzi na ziem sprzekopyrtować!... ⁸⁾ Ale Kunda nic, jeno stoi na swoim placu a zwoni i kadzi. Casem jej powiher spodnice i nadółek na som wierk głowy zaruci!... Ale u Kundy dziś wstytu nima, bo widzi, że niepeć!⁹⁾

„Wystoli tak do śródwieczesz. ¹⁰⁾ Dopiero ten z hmury woło:

- Puść mnie!... Nie zartuj!...
- Niepusce!... Ani na co!...
- Puść mnie tak, jak bez ¹¹⁾ recice ¹²⁾!
- Niepusce!
- Tak jak bez przetak!...
- Nie!...

1) Nawał czarnych deszczowych chmur. 2) Zacupiła cały ten kant: zawałiła całą tę okolicę. 3) Żart. 4) Jaz, joz: skała na dnie potoku, tama. 5) Wykrzyknik dla wzmożenia. 6) Trąba wietrzna. 7) Ogromny. 8) Poprzewracać. 9) Niebezpieczeństwo. 10) Równy czas między południem a zachodem słońca. 11) Przez. 12) Przetak rzadki.

— Zlutuj ¹⁾ sie Kunda, puść mnie, nieg przende i hoć telo ino jak bez sito pusce!..

— Ani na tylec noza ²⁾ niepusce!.. Ani tyćko! Cofnij sie nazad i idź skądś prziseł!

— Niemoge! — powiadio płanetnik — i jak mnie jesce dluzej tak trzimać bedzies, to pukne ³⁾.

— Idź nad hole i puknij hań ⁴⁾, jak cie juz tak gniecie. Ino ludziom nie rób despektu ⁵⁾ zodnego! — i przestała zberceć.

„Natykmiast hmura sie ruszyła i poseł nad hole i hań zesulo ⁶⁾ gradami tak, co cud!

„Wtej ⁷⁾ oberwoł sie Skupniów Uptłaz i uwiezło sie go pól Jaworzinki. Wtej sie utworzyły po halak stawy i jeziora, a po graniak ⁸⁾ wsędej poobruwała sie ziem i porobiely sie takie wielgie okopy i przikopy dlugie. A krupy gradu po całyk hołak leżały miejscami do wiesny.

„Nie było śpasów!... Kciały ludzi wody po wsiak dołu pozabierać; tak z hol dudały ⁹⁾ syćkiemi źlebami ¹⁰⁾ i potokami.“

Ma Sabała styl swój pierwotnie „homeryczny,“ to posiada go nie mniej Suleja, jego uczeń, z tą różnicą, że styl jego, chociaź może mniej odznacza się powabem prostoty pierwotnej, jest natomiast już więcej literackim, a dykcya u niego odznacza się wielką płynnością i ciętą werwą.

Dziwić się zaiste potrzeba, że opowieści tak utalentowanego pisarza w większej, w przeważająco większej części spoczywają w rękopisie, że ani jeden osobny tomik prac jego nie ujrzał światła dziennego i że tylko ułankowo je znamy z Tetmajerowskiego „Na Skalnem Podhalu,“ a nadto z kilku opowieści, zamieszczonych w „Gazecie Podtatrzańskiej,“ która wychodziła w Nowym Targu i w „Przeglądzie Zakopiańskim.“ W tych warunkach nie mógł naturalnie wielki przyrodzony talent Sulei rozwinąć się w całej pełni, a szkoda to niezmierna nietylko dla gwarowego, lecz wogóle dla naszego piśmiennictwa. Posiada on w rękopisie także kilka utworów większych, dramat ludowy i dwie powieści, z których każda dałaby tom spory. Gazda, zajęty rolnictwem, nie mógł dotychczas znaleźć dla prac swoich nakładcy. Tak marnieje u nas wielki talent ludowy!

Odwiedziłem w roku bieżącym Suleję w Zakopanem na Bystrzem. Sprawia wrażenie bardzo inteligentnego człowieka. Czy-

1) Zlituj się. 2) Koniec noża. 3) Pęknię. 4) Tam. 5) Szkody. 6) Sypnęło. 7) Wtedy. 8) Szczytowa linia gór wyższych. 9) Lały się. 10) Korytami skalnemi.

tał mi jedną z swych powieści p. n. „Pod Jamborem,“ spoczywających w rękopisie. Byłem nią zachwycony. Władza gwara góralską prześliczną, jak może nikt inny, dykcya płynna i rącza jak bieg Dunajca, werwa niemiała, humor zdrowy i czerstwy a co mnie szczególnie uderzyło, to nader żywa akcya powieści i przeróżne w niej zawikłania, świadczące o nadzwyczaj bujnej jego wyobraźni. Taka powieść przedstawia nam nietylko prawdziwie i wiernie życie ludu góralskiego, lecz też jego zwyczaje i obyczaje, jako też jego wierzenia bardzo rozległe i sięgające prastarych czasów, kiedy te urocze góry były zaludnione nadziemskimi istotami: Żywieną, Dziedziliją, sprawiedliwą Przysnieną, Majkami, a Ożwiena odgłosem wśród gór dawała znaki życia; kiedy tu panował trzygłowy pan świata Jessa z Turem, „co ramię dźwiga,“ przed którym leci na kuku Trzas Straf; kiedy po halach igrali: Lel z Polelem, Wikry, Pogwizdy, Świentybory, Pachna, Boginki i Dziewice nad lasami panujące, obok Strzyg, Dziwożon, Peklenc, Śmiertnik, Marzany, Czernic, Kań, Krwika-Ubijcy, śmierzci boga i Hwosca-Smoka z cornemi skrzydłami.

Drugim pisarzem gwarowym wyszłym z ludu i wśród niego żyjącym jest artysta-rzeźbiarz *Wojciech Brzega*, zasłużony wielce około wyrobienia i ustalenia stylu zakopiańskiego. Żyje on wśród górali, jako góral nosząc strój rodziny, chłopski. Przy końcu ulicy kościeliskiej w Zakopanem ma swe gospodarstwo, gdzie też znajduje się jego pracownia rzeźbiarska. Widząc go w stroju góralskim, prawie uwierzyć trudno, iż ten człowiek przebywał trzy lata w Paryżu w *Ecole des beaux Arts* jako uczeń profesora Thomasa, następnie uczęszczał do Szkoły sztuk pięknych w Monachium, ucząc się rysunku u profesora Knira, ukończywszy przedtem studia w zakopiańskiej szkole rzeźbiarskiej i w krakowskiej Akademii sztuk pięknych. Góral ten posiada rozległe wykształcenie i światową ogłędę, lecz miłość gór rodzinnych i tego ludu, z którego wyszedł, skłoniła go do pozostania tam, czem go Bóg stworzył—góralem. Jest ogromnie zajęty pracami rzeźbiarskimi i kierownictwem swej pracowni stolarskiej dla wyrobu mebli w stylu zakopiańskim, dostarczając jej wszystkie rysunki. Dziwić się zaiste trzeba, kiedy ten mąż, biorący nadto bardzo żywy i gorliwy udział w spółkowych przedsiębiorstwach górali i w zakopiańskim „Związku górali,“ mającym na celu pielęgnowanie gwary miejscowej i góralszczyzny wogóle, znajduje jeszcze czas do spisywania opowieści góralskich i pisania gwarowych utworów dramatycznych dla miejscowego Towarzystwa scenicznego.

Rzeczy jego, z wyjątkiem naturalnie utworów teatralnych, są w większej części spisane podług opowieści starego górala, Tomka Gadeji z Kościelisk, spółcześnieka Sabały, który równie jak Sabała „zbojował“ za młodu w górach. Styl Brzegi jest więcej archaiczny i jędrniejszy jak Suleji, brak mu atoli literackiego rozmachu, powabnej płynności, ciepłej werwy i nadzwyczajnej pomysłowości, czem odznaczają się utwory Suleji. Prace Brzegi czyta się dlatego ciężiej i trudniej. Być może, iż trzyma się zbyt sumiennie swego staro-góralskiego opowiadacza. Niemniej przeto posiadają jego rzeczy ogromną wartość gwarową, właśnie tej starej gwary góralskiej, obecnie zanikającej, a nadto przedstawiają nam świat góralski w starej jego pierwotności z naturalistyczną prawdą. Prac tych jest sporo. Dałyby razem zebrane około dwóch tomów i należałoby koniecznie wydać je jako książkę, gdyż w rozrzuceniu po czasopismach gubią się one i giną dla ogółu. Brzega ogłaszał swe prace w „Kurjerze Lwowskim,“ lwowskim kwartalniku etnograficznym „Lud,“ w tygodniku „Zakopane“ i innych jeszcze pismach.

Oto próbka stylu gwarowego W. Brzegi z opowieści jego „Jasiek—„Z pod miedze“—„Stolica“:

„Telo ino proście Pana Jezu, co byk do wiesne docekoł, co byk do lata dozył, to wom powiem o pieniądzak. He, sprościlibyście ¹⁾ se godnie; byłoby za co gazdować!“

„Tak gwarzeł Jasiek Stolica—nostarsy syn Rejny z pod miedze—do braci, co siedzieli przy jego pościeli.

„He Boze, kieby sie ino wiesna zrobięła, co by ta skorupina²⁾ zlazła ze świata. He Boze, Boze—Jasiu!“—dokwalował ³⁾ młodszy z braci, a ciongoł dym z fajki, co jaze mu żyły na krztoniu ⁴⁾ wyłaziły.

„Jasiu, nys ci fajki!“

„Ale Jasiek ani pojzrał na brata; jakiesi zamysłenie go wzieno. Stara Rejna tłukła sie po izbie posługujący, a w ocak wode miała. Luto ⁵⁾ jej beło syna, ze tez tak za młodu z świata zejść musi. Ona sie tak w tyk hłopcak cieszyła; trzok ik miała i jedną dziewczkę, a kie jom stary odumar, to Jasiek beł jej pomocom, i on tez na nieboscyka nowięcej był podany, ⁶⁾ noładniej urośniony, a kielo jej napodawoł glajcarzy ⁷⁾ ón jom nieroz spar! Ino kie sie pote poznał z Matejami, ⁸⁾ to syćko wybiegoł z domu, co go

¹⁾ Poratowalibyście się. ²⁾ Powłoka śnieżna. ³⁾ Dodawał. ⁴⁾ Krtuń, ⁵⁾ Żal. ⁶⁾ Podobny. ⁷⁾ Dawał pieniądze. ⁸⁾ Ostatni zbojnicy z Zakopanego.

case tydzień w hałupie nie było. W zimie to siadowoł dóna, ale kie sie juz wiesna zrobięła—a jesieniom, e, to go ani zasknąć¹⁾ przy hałupie. Jasiek zacon hodzić „zbojnickem hodnike“²⁾ toż tak sie mu scensciło, co bez pare roków ani włos z głowe nie spod. Pieniędzy z Luptowa nosili i howali haniok³⁾ po holak, jako to towarzyskie⁴⁾ sie howały. Ale i na niego przysła kolej, jako na zbójnika przychodzi, kie w czas nie przestanie swojego rzemiesła. Ostatni roz, kie beł z towarzysiami, Pan Bóg mu nie doł scenścia — ka sie zabrali, to tamok sie nie dało, a wracający do domu, po drodze uradzili do zyda i tamok ik ogawa⁵⁾ przysiadła. Ludzie owinęni⁶⁾ karcme, a towarzysia, co Jasiek beł s niemi, nie trzymali sie kupy; ka wtóry móg, to uciekoł; ostoł sie ino ón z drugim. On sie ta łomoł⁷⁾ s niemi co si bez godzinie — ale mu pote toporzysko przy samej ciupadze⁸⁾ sie złomało, ciupaga fyrkła,⁹⁾ a i postrzoł w noge dostoł; no i w te go prze-władali,¹⁰⁾ związali i do ryktasa¹¹⁾ zagnali.

„Kie pote ik osądzili w Lewocy... i przywieźli do Munkaczowa... ś niego juz nijakiej pociehy nie beło. Z nogi tej, co go to wnie postrzelili, ino kości ostały. We śpytolu kcieli mu noge oderznąć po same biedro, a ze Jasiek na to nie przystoł, to go pote tak ostawili. Jasiek, kie swoje roki wysiedział, pisał do domu, coby wto poń przyjehoł i pojehali bratowie i przywieźli go w hałupe, ale co mu ta z tego, kie beł sietniok.“¹²⁾

Jasiek Stolica, gdy dożył wiosnę i poszedł z braćmi w hale szukać zagrzebanych pieniędzy, żal tak ścisnął mu serce, gdy ujrzał przesłiczne góry i wspomniął sobie słoneczne dni młodości, iż on dziś biedny kaleka—„dźwignon sie na jedne noge i kipnon¹³⁾ w przepaść z turnicy.“

Pierwsze miejsce pomiędzy gwarowemi pisarzami zajmuje bezsprzecznie *Kazimierz Przerwa Tetmajer*, syn Podhala, wzrosły z ludem góralskim, władający doskonale jego gwara. Wzbogacił on piśmiennictwo polskie niepospolicie pięcioma tomami „Na Skalnem Podhalu,“ pisząc chłopskie rzeczy jak chłop prawdziwy. Wyznaje on to w przedmowie do czwartego tomu „Na Skalnem Podhalu,“ pisząc: „Owszem mnie zależy na tem, aby doświadczyć, w jakiej mierze można się zbliżyć do fantazyi chłopskiej i ten dopiero może naprawdę chłopskie rzeczy pisać, kto sam we włas-

1) Przydybać: zastać. 2) Chodzić na zbój. 3) Tam. 4) Zbójnickie; zbójnicy zwali siebie „towarzysie.“ 5) Zgraja, wielka gromada. 6) Otoczyli. 7) Pasował się, bił się. 8) Siekierce. 9) Odleciała. 10) Przemogli. 11) Wójt. 12) Kaleka. 13) Skoczył.

nym mózgu tak, jak chłop myśleć, we własnem tak, jak chłop czuć potrafi. Nie dość jest obserwować chłopą—trzeba się umieć stać chłopem. Otóż właśnie „Pudras,“ „Zimowe panny,“ „Baba dyabeł,“ w „Zbójcekiej chałupie“ ustęp o kochającym się rodzeństwie Słodyczkach, „Franek Seliga“ są takimi próbami i usiłowaniami przeistoczenia mojej wyobraźni w wyobraźnię chłopską.

Usiłowanie to udało mu się świetnie. Śmiało rzec można, iż w naszym piśmiennictwie nikt wogóle tak klasyczną chłopską gwarą i tak prawdziwie po chłopsku nie pisał, jak Tetmajer, a dlatego „Na Skalnem Podhalu“ jedyne jest w swoim rodzaju dzieło, przez nikogo niedoścignięte w polskiej literaturze, zawierające obrazki naturalistyczne, owiane pierwotności oryginalnością, pisane iście homerycznym językiem, z którego przebija nie tylko jędrna prostota, lecz pełen uroku archaizm drzewiej lepszych czasów, kiedy ludzie wśród tych uroczych gór poruszali się wolno i swobodnie, a nie trapiły ich, jak dziś, troski i przeciwności wszelkiego rodzaju.

Do gwarowej literatury, chociaż pisana tylko częściami narzeczem tatrzańskim, należy powieść Tetmajera: „Maryna z Hrubego,“ którą sam autor w dopisku zalicza do „Skalnego Podhala,“ równie jak najnowsza jego powieść: „Janosik Nędza Litmanowski,“ będąca pierwszej poniekąd dalszym ciągiem. W obydwóch utworach roztacza autor przed naszymi oczyma świat góralski z „drzewiej lepszych czasów“ na uroczem tle górskiej przyrody, w pełni romantyki zbójnickiej, kreśląc po mistrzowsku osoby działające, z przedziwną charakterystyką ich homerycznej pierwotności. Z tego względu możnaby je nazwać powieściami historycznymi tatrzańskiej góralszczyzny.

Tetmajer przeniósł też gwarę tatrzańską do poezyi. Ludowej pieśni nieskażony duch technie silnie z jego „O Janosiku,“ „Turniej Janosikowy,“ „O Janosiku i Salamonownie Jadwidze,“ a szczególnie z „Jak Janosik tańczył z cesarzową,“ z cyklu balad o Janosiku, które poeta obiecuje spojć w jedną całość jako odrębną część dzieła „Na Skalnem Podhalu.“

Trudno pomyśleć, żeby można więcej przeistoczyć „swoją wyobraźnię w chłopską;“ stać się z wyobrażeń i pojęć, z myśli i uczucia, z sposobu wysłowiania się, więcej chłopem, jak to stało się z poetą, gdy pisał „Jak Janosik tańczył z cesarzową.“ W utworze tym odzwierciadla się cała dusza góralska z junacką wyobraźnią, z czerstwym humorem i gorącą werwą.

Janosik z swemi towarzyszami: Ilczykiem, Gajdosiem, Surowcem i Baczyńskim idąc przez bory i manowce, zabłąkał się

gdzieś aż nad Dunaj, a zoczywszy karczmę murowaną, podążył do niej mówiąc: „Chłopcy, tam będziemy pić li!“ W karczmie wyprawiali pląsy chłopcy austriacy. Gdy Janosik w karczmie „brał dziewcząt spojrzenia“ i syznął cyganom szczerze dukami, wzbudziło zawistny gniew w chłopach austriackich, którzy krzyknęli: „Nam tu takich gości nie potrzeba!“ Lecz Janosik

...o tłum nie dbał nic, aż nareście, gdy mu byli blisko, rzekł w to mrowie, jak na pośmiewisko: Powitania przyjmcie czestne słowo,	Austriacy, a na bok ten gniew, ja wam waszych nie uwiodę dziew, ja se bede tańczył z cesarżową. Oniemieli, potem w głośny śmiech,
---	--

lecz Janosik siadł, napisał do cesarżowej Maryi Teresy list do Wiednia, zapraszający ją na taniec do onej karczmy, „bo inaczej ja pude do Wiednia.“

Zrozumiała cesarżowa, co to znaczy, kazała zaprzędz „paradne kocze,“ a dworskim paniom przyoblec „w strój świętny“— „bo Janosik tu stąd niedaleko“—i pojechała na tany z nim.

Gdy przed jej odjazdem jakiś generał robił cesarżowej przedstawienia, żeby nie jechała tańczyć z zbójnikiem, odparła mu cesarżowa:

...głupi! Chcesz ty burg mój i moją stolicę w pył obrócić i przemienić w nice? A czy nie wiesz, ty barania głowo, co to wyzwać moc Janosikową?	A czy nie wiesz, osłe zatracony, że ou góry podnosi ramiony? A czy nie wiesz, ty kpie z nad Dunaja, że on ludzi rozbija jak jaja?
--	--

I pojechała do Janosika. Janosik pokłonił się pięknie, przyklęknął na lewe kolano, nie przed cesarżową, lecz dla wyrażenia jej dzięki, iż przybyła na jego zaproszenie, dodając:

bobym iście, byście nie przybyli,
na wasz Wiedeń musiał iść w tej chwili
i tak grzecznej, jaki wyście pani,
mury musiał pogruhotać w dani.
Na tak piękne zaproszenie
cesarżowa wstąpiła w podsienie

„pańską wstąpiła w karczmę osobą.“ Janosik zawołał: „Hej Cyganie! zagrajcie mi ozwodną ¹⁾ do koła! Sto dukatów nasci wam na piwo!

¹⁾ Taniec góralski.

Janosika chce potańczyć krasa,
 Janosika chce potańczyć siła,
 co mur łomła i góry nosiła.

 I zdjął kołpak z głowy, dziany złotem,

w dyamenty kołpak naszywany,
 złotem śmignął po ziemi jak błotem,
 brylantami rafnął¹⁾ ziem jak piargiem
 hej, cesarko! proszę z sobą w tany,
 niech się dziwią aż za Nowym Targiem.

Muzykanci...

wycięli smyczkami od ucha,
 aż z strun iskier przysła zawierucha

Cesarzowa poszła w tan,
 Chwiał się jej perłowy wian.
 Cesarzowa w taniec szła.
 dyamentów po niej mgła.

A Janosik naksztalt króla
 z cesarzową sobie hula.
 Staął przed nią, cupnął wprzód
 prawą nogą, lśniący but.
 Lewą piętą wyciał w tył
 w dyle²⁾ karcmy, co miał sił.
 Prawa—lewa—krok za krok;

w tył się cofnął, wsparty w bok,
 a z podkówek leciał blask
 i z karczemnych dylów trzask.

Cesarzowa—suknia w dłoń—
 jak z obrazu sunie doń.

Dudni karczma, trzask i puk,
 sam Janosik grzmi stem nóg!

Gdy się zwyrtnie,³⁾ jako wiatr,
 pasem szumi jak wiatr z Tatr.

Cesarzowa w perły dzwoni,
 to ucieka, znowu goni.

A co przyjdzie ku muzyce,
 to uśniecha się jej lice.

A szeleści atlasami,
 jak w jesieni wiatr liśćmi.

Gdy to czytamy, staje nam żywo przed oczyma zapalczywy „krzesany“ taniec góralski. Werwa słów równa werwie tańca. To prawdziwa pieśń gminna, odtworzona z niezrównanym artyzmem.

Do rzędu rodzimych pisarzy gwarowych należy też Andrzej Stopka, góral z urodzenia, autor „Śpiących Rycerzy w Tatrach“ i „Sabały.“ Tem ostatniem dziełem zachwyca się Tetmajer, orzekając, iż Stopka „najlepiej, najobficiej, najsubtelniej i najwierniej, a nadto bez błędów gwarowych przechował styl Sabały, „Homera Tatr.“ Żałować mocno należy, że na tem poprzestał i nie pisze już więcej w gwarze.

Wybitne stanowisko zajmuje w gwarowej literaturze *Stanisław Witkiewicz*, jeden z najgłówniejszych działaczy na góral-szczyźnie. Dzieło jego „Na Przełęczy“ pomnikowe, zbyt jest zna-ne, nie potrzebuje dlatego komentarzy. Władza on gwarą po mistrzowsku. Przed trzema laty wyszedł tom jego prac gwarowych p. n. „Z Tatr,“⁴⁾ zawierający dłuższy fragment (zapewne z powieści) zatytułowany: „Na unarcu,“ następnie „Opowiadanie Sabały“ i własne góralskie opowieści: „Ojciec Nędza,“ „Wojtek Gau-

1) Rzucił na ziemię. 2) Podłoga. 3) Obróci. 4) Lwów, 1907.

dara,“ „Jędrzej Cajka“ i „Zośka Galicka,“ malujące barwnie i żywo życie góralskie. W książce tej znajdują się jeszcze dwie rzeczy, które szczególnie zwracają moją uwagę na siebie, dwa gwarowe przekłady, mianowicie: Lwa Tołstoja: „Czem ludzie żyją“ i tłumaczenie z włoskiego „Kwiatków Świętego Franciszka“ („Fioretti di San Francesco“) z XIII w. najpiękniejszą gwara tatrzańską. Tłumaczenia te posiadają, pomijając zalety przekładu, tę nadzwyczajną wartość, iż wskazują, w jakim kierunku powinna się literatura gwarowa obracać, t. j. że powinna ona istnieć nie jako przyczepka oryginalna polskiego piśmiennictwa, lub też jako osobliwa lektura dla polskiej inteligencji, lecz istnieć sama dla siebie, t. j. wejść w lud, który gwara włada, za pomocą tanich ludowych wydawnictw. Niestety, nie weszła ona dotychczas na tę właściwą drogę. Nawet Witkiewicza przekłady na gwara tatrzańską, które uważam jako zapoczątkowanie samoistości tego piśmiennictwa gwarowego, nie pojawiły się w tanim ludowym wydaniu, a więc weszły pod strzechę chaty góralskiej, dla której przecież są przeznaczone, gdyż polski czytelnik nie potrzebuje przecież gwarowego przekładu ani Lwa Tołstoja, ani też „Kwiatków Św. Franciszka.“ Gwarowa literatura powinna stać się popularną, wejść w lud, a wtedy pozyska ona trwałą podstawę i naturalne warunki rozwoju. Dotychczas daje się spostrzegać tylko słaby bardzo objaw tego kierunku, podjęty miejscowo w Zakopanem przez „Związek Górali.“

Do gwarowych pisarzy należy dalej zaliczyć Władysławę Panek, autorkę książki: „Kaj ten smrek siwy,“ zawierającej jedenaście opowieści, pisanych gwara. Gwara jej różni się nieco od gwary Tetmajera i Suleji, a tak samo pisownia, z czego jednak przy jej nieustaleniu i dowolności nie można jej czynić zarzutu. Nie można też autorce odmówić talentu, a szczególnie dobrego daru spostrzegawczego.

Gwarowym pisarzem młodszej generacji jest Feliks Gwiżdż, pisujący też poezye. Gwarowe jego rzeczy, zwyczajnie krótsze, porozrzucane po rozmaitych czasopismach, a przy takim rozrzuceniu prawie niepodobna scharakteryzować go jako pisarza narzeczonego. Poezye jego odznaczają się pewną epigramatycznością języka, że się tak wyrażę, i odsłaniają nam świat góralski w prawdziwym świetle. Maluje on np. w „Sabałowym Widzeniu“ plastycznie i bardzo charakterystycznie postać tego niezrównanego starca-bajarza Tatr, a dykcji jego nie brak prawdziwie góralskiej werwy, chociaż wiersz na pozór mogłby wydać się dość ciężki, a przedewszystkiem misternie wykuwany.

Oto postać Sabały, jak ją nam przedstawia młody poeta góralski:

Hej! któż to taki harny,¹⁾ co, na gęślickach grający,
popod turnie se idzie w Matki Boskiej dzień święty?
kapelusik strojony w kostki,²⁾ rznięte w Orawie,
zarzucony na bakier... Cuha³⁾ biała, jak śnieżne
w dzień zimowy ugory, obramiona do koła
wstęgą, jak las zieloną—a pod szyją wyszyta,
— rzekłbyś—w leśne paprocie. Cuha góralska
w pięknym zwisa nieładzie hej! aż pod same kolana!
W blaskach słońca sie iskrzy przepiękna kłamra złożona,
spinająca pod szyją praną w Dunajcu koszulę.
Jeszcze harniej jaśnieją mosiężne, duże guziki,

.
powybijane na pasie.
Jarzą się, iskrzą, błyszczą, jak szkła codowne w słońcu
.

Szumnie⁴⁾ pysznią się zdobiąc honorność pięknej urody.
Hej! cóż to za parobek, co na gęślickach grający,
popod turnie se idzie, jak zbójnik wycyfrowany?⁵⁾

.
.

Hej! gra Sabałów Jaś—ino se w turnie patrzy—
Hej! gra Sabałów Jaś—ino se w lasy spoziera,
bo lasy rade wtórzą, bo turnie słuchają,
i w nich to, nie kaindziej⁶⁾ Najświętsza Panienczka
owieczki rada pasie i tuka⁷⁾ se wesoło
do Sabałowej nuty przepięknie przyśpiewuje,
kiedy se idzie strojny popod turnie grający.

Wiersz piękny, a lubo nie pisany zupełnie w gwarze, mi-
sternie rzeźbiony, zachowuje wiernie barwę i ton ludowy.

Józef Jedlicz, syn góralski, znany a utalentowany poeta, pi-
suje także w gwarze. Napisał między innymi poemat gwarowy
„Jasny i Czarny,” ogłoszony w jednym z warszawskich pism li-
terackich, jak wiem o tem z doniesienia W. Brzegi. Sam niesty-
ty nie miałem sposobności spotkać się z żadnym z jego utworów
gwarowych, zatem poprzestać jestem zniewolony tylko na powyż-
szej wzmiance.

¹⁾ Tęgi, pyszny. ²⁾ Sznur nanizanych białych muszelek. ³⁾ Góralska
krótka sukmana. ⁴⁾ Wspaniale. ⁵⁾ Wystrojony. ⁶⁾ Gdzieindziej. ⁷⁾ Daje
odgłos,

Gwarą pisała także Marya Wystuochowa podług opowiadań Roja. Piszą nią też: d-r Stanisław Eliaz Radzikowski, St. Ogończyk, Świerk i prawdopodobnie inni jeszcze, lecz rzeczy te są tak rozrzucone po najrozmaitszych czasopismach, gdzie marnieją i przepadają, iż niepodobna mieć nawet ich przeglądu w zbliżeniu. Tylko przypadek bowiem zdarza, iż można się tu i owdzie spotkać z taką rzeczą gwarową w tym lub owym dzienniku, lub innym czasopiśmie. Zasłużyłyby się piśmiennictwu niemało ten, któryby podjął się mozołu zebrania tych rozpierzchłych i w ukryciu czasopiśmiennem pozostających rzeczy gwarowych i wydania ich razem, o ileby na to zasługiwały.

Do gwarowych pisarzy można też zaliczyć „chmurnego, posępnego mistrala“ *Władysława Orkana* (Szmaciarza-Smreczyńskiego), jednego z najznamienitszych naszych powieściopisarzy. Jego powieści „Komornicy,“ „W Roztokach“ i ostatnia „Pomór,“ jako też zbiory nowel, obrazków i szkiców: „Nad Urwiskiem“ i „Herkules Nowożytny“ należą w zupełności do ludowego świata górskiego, co do języka zaś nie są całkowicie gwarowe, gdyż tłem ich jest język polski, któremu autor bardzo zręcznie przyswaja wyrazy gwarowe albo raczej wzbogaca go nim, a tylko dialogi i opowiadania są czysto gwarowe.

St. Witkiewicz pisze o tem i o Orkanie: „Sienkiewicz w „Krzyżakach“ dla swoich wojewodów, kasztelanów i władków znajduje w góralszczyźnie przepyszny wyraz. Jeżeli pisarz tej miary, władający, z tak bezprzykładną łatwością językiem, gnący go w tyle tak różnych i bogatych odcieni, nie waha oprzeć się na ludowej gwarze charakteru swego dzieła, nie waha się wprowadzić mnóstwa wyrażen i form językowych z niej wziętych, dowodzi to jej bogactwa i żywotności. Od czasu, kiedy powyższe zdania były pisane, gwara podhalańska zdobyła sobie jeszcze szersze miejsce w literaturze polskiej. Kazimierz Tetmajer napisał świetne obrazy: „Na Skalnem Podhalu,“ w których ta gwara jest podstawową formą, nadającą zasadniczy ton i charakter językowi opowiadania, skrzącego się doskonałemi zwrotami czystej ludowej mowy. Lecz i w rozwoju samej gwary i w zakresie jej używania dokonał się zwrot jeszcze ważniejszy. Rasa tak nadzwyczajnie uzdolniona jak Podhalanie, przy zetknięciu się z wyższym poziomem umysłowości, nie mogła nie wydać pisarzy, których utwory treścią są bezpośrednim rozwojowym przejawem jego gwary. Nie znam zapewne wszystkiego, co już się dokonało, ale tak wybitny talent i określona indywidualność jak Władysław Orkan, którego utworom gwara podhalańska nadaje szczególne, pełne

charakteru piętno, wskazuje już, że w ludzie podtatrzańskim tkwią pyszne pierwiastki siły twórczej, a w jego gwarze żywe, doskonałe formy językowe, świetne środki wypowiedzania się ludzkiej duszy.“

Do powyższego dodam od siebie, porównując Tetmajera z Orkanem, iż tak, jak pisze pierwszy, czysto gwarowo, należy pisać dla ludu tatrzańskiego, by wśród niego ta piękna gwara nie zanikała i nie psuła się przez wpływy z zewnątrz idące, zaś tak, jak pisze Orkan, wzbogacając język polski wyrazami, zwrotami i formami gwarowemi, a używając czystej gwary tylko w dialogach i w opowiadaniach z ust ludu wychodzących, co utworom jego znamię prawdy życiowej i barwny, naturalistyczny koloryt nadaje — należy o życiu ludu góralskiego pisać dla szerokich kół polskiego inteligentnego czytelnictwa. Gwarowa bowiem literatura, wchodząca w lud, istniejąca nie dla oryginalności i zabawy inteligentnego polskiego czytelnika, lecz sama dla siebie, wzbogaci jako całość nasze piśmiennictwo; Orkana zaś sposób wzbogacania języka polskiego skarbami tkwiącemi w gwarze, stanowić będzie ogromny nabytek zarówno dla języka polskiego, jako też literatury. Chodzić nam powinno przedewszystkiem o uludowienie gwarowego piśmiennictwa, o sprowadzenie go na właściwe tory z pożytkiem dla ludu tatrzańskiego i narodu polskiego.

Młody poeta Zygmunt Lubertowicz należy do świata tatrzańskiego, równie jak znany malarz Jan Bular, cięcie dosiadający Pegaza. Posiada wiele oryginalności i gryzącej ironii. W swej „Autobiografii“ zaczyna od tego, że „przyszedł na świat na zwykłej pościeli“ i żył, jak mógł, a „zamiast szmeru błękitnych jezior“ pieściły go „zimne mgły“ górskie. „Poczcwiwi rodzice moje—opowiada—czytać ani pisać nie umieli,“ a dlatego „potrzeby kształcenia“ go „dobrze nie widzieli.“ Będąc jeszcze dzieckiem „bryzował“¹⁾ fujarki, „a ołtarzyki i inne świętości“ rzeźbił „tatomym nożem,“ jeśli mu się udało dostać go potajemnie. Potem doszedł „tajemnicy, jako sie wiersz dzieli“ i rymował „ukradkiem pobożne pieśni, ożywiony pragnieniem zostać księdzem. Zamiast atoli zostać rzeźbiarzem albo księdzem, poszedł — do handlu na praktykę, gdzie nawet nauczył się „kuchmistrzowstwa.“ „Bez wiedzy ojców“ porzucił po latach pięciu zawód handlowy i zbiegł do zakopiańskiej szkoły przemysłu drzewnego, mając na utrzymanie „po ośm centów na dzień.“ Z Zakopanego dostał się do

¹⁾ Robił.

Krakowa — do Akademii Sztuk Pięknych i — wygrał, lecz nie zapomniał „dzielić wiersze,“ czemu się już w dzieciństwie oddawał. W wierszu „Mój Znak“ mówi:

Życie z nas kpi,
więc my z życia zadrwijmy po prostu.
Wszystko na świecie z nas drwi;
od mało złożonego mchu lub wodorostu,
aż do naszych przyjaciół.
Nawet naszych rąk dzieło,
moneta — nie szanuje w nas wieku i talentów wzrostu.

Twarda dusza góralska wzywa do oporu:

... kto silny
Niech staje zemną
i nie pozwoli się życiu spychać w środek rzeki z mostu.

Tatrzańska góralszczyzna posiada też już dość spory zastęp uczonych, którzy się zajmowali i zajmują badaniem jej ziemi, przyrody, jej przeszłości dziejowej, gwary, zwyczajów i obyczajów, jako też wierzeń. Wspomniałem już powyżej o Staszicu, Zejsznerze i S. Goszczyńskim, do których zaliczyć należy Wincentego Pola, d-ra Eugeniusza Janotę i profesora M. Nowickiego, badających góry i ich przyrodę. Walery Eliaz Radzikowski spopularyzował Tatry „Przewodnikiem do Tatr,“ który się doczekał całego szeregu wydań i uprzystępniał je szerokim kołom letników i podróżników polskich, a w ostatnim wydaniu przewodnika dołączył syn jego dr. Stanisław Eliaz Radzikowski, najznakomitszy nasz znawca Tatr i życia w nich przeszłego i bieżącego, obszerny opis p. n. „Pogląd na Tatry,“ posiadający nietylko ziemiopisną i przyrodniczą, lecz także ludopisną i dziejową wartość. Wszystko, co on pisze, odznacza się wytrawnością, treściwością i ścisłym trzymaniem się przedmiotu. Prócz „Poglądu na Tatry,“ który, jako osobna książka, doczekał się czterech wydań, napisał on bardzo udatne dzieło: „Styl Zakopiański“ w 2 częściach, „Powstanie Chochołowskie,“ „Skarby Zakłète w Tatrach,“ „Zakopane przed 100 laty,“ „Podbalanie i Tatry na początku XIX w.“ i t. d., mnóstwo prac o Tatrach i góralszczyźnie, z których tylko mniejsza część wyszła w wydaniu książkowym, większość zaś pomieszczona jest w różnych czasopismach, przeważnie w „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego,“ w lwowskim „Ludzie,“ „Kraju“ i t. d. Pod względem ziemiopisnym posiada dzieło lwowskiego profesora d-ra A. Rehmana: „Tatry“ niepospolitą wartość.

O gramatykalnych pracach nad gwarą Kryńskiego i Kosińskiego wspominałem już powyżej. Dopełnia je Andrzej Stopka, I. Kopernicki¹⁾ i Bronisław Dembowski, ostatni znakomitym swoim „Słownikiem gwary podhalskiej.“ Dział ludopisny tatrzańskiej góralszczyzny posiada prócz d-ra St. Eliasza Radzikowskiego wybitnych przedstawicieli w prof. A. Wrześniowskim,²⁾ I. Kopernickim,³⁾ dr. J. Jaworskim,⁴⁾ Wł. Matlakowskim,⁵⁾ K. Potkańskim,⁶⁾ Ks. Sutorze⁷⁾ i innych.

I. Kantora monografia: „Czarny Dunajec“⁸⁾ wzorowo napisana, zawiera ogromnie dużo ciekawych materiałów, wyczerpując przedmiot zupełnie w każdym kierunku.

Z powyższego widać, iż góralszczyzna tatrzańska zaczyna równie w polskiej nauce zajmować poważne miejsce.

Obecnie głównem staraniem naszego społeczeństwa być powinno nie dać zanikać i psuć się klasycznej gwarze tatrzańskiej. Trzeba przedewszystkiem gramatykalnego ustalenia jej podstaw, niemniej też głosowni i pisowni, następnie należy podjąć wszelkie starania, by gwarowe piśmiennictwo za pomocą tanich wydawnictw wróciło do ludu, z którego wyszło, w nim się zagnieżdżyło i z niego czerpało przyrodzone soki życiowe do swego dalszego rozwoju.

Dr. Stan. Eliasz Radzikowski pisze: „kiedy więc gwara podhalska jest dla nas skarbnicą tak bogatą... powinniśmy zapewnić jej istnienie, nie dać jej zginąć, a przynajmniej skazać się znacznie przez wpływ języka literackiego.“

Zapytuje się, co tedy zrobić należy? a odpowiedź brzmi, iż winniśmy „gwarze podhalskiej zachować prawa do życia,“ przez wprowadzenie jej nauki do szkół ludowych na Podhalu. Obowiązkiem naszym jest chronić i pielęgnować ją — „dać żyć gwarze własnem jej życiem.“

Sądzę też, iż bardzo pożądanem byłoby założenie gwarowego pisma ludowego w Nowym Targu lub Czarnym Dunajcu z prze-

¹⁾ „Spostrzeżenia nad właściwościami językowemi górali bieskidowych.“ Rozprawy i Sprawozd. wydziału filologicznego Akad. Umiejętn., t. III. Kraków, 1815. ²⁾ „Tatry i Podhalanie.“ „Pamiętnik Tow. Tatr.“ t. VII. Kraków, 1882. ³⁾ „Pieśni górali bieskidowych.“ Kraków, 1888, t. VIII. ⁴⁾ „Pasterstwo w Tatrach.“ „Lud.“ ⁵⁾ „Budownictwo na Podhalu.“ Kraków, 1892. Przy międleniu lnu na Podhalu. „Wisła,“ t. VIII, 1893. ⁶⁾ „Z wierzeń i przesądów ludu na Podhalu.“ „Lud,“ t. XI. ⁷⁾ „Życie pasterskie w Tatrach.“ „Pamiętnik Tow. Tatr.“ t. I. ⁸⁾ „Materiały antrop.-archeol. i etnograficzne Akad. Umiejętn.“ t. IX. Kraków, 1905.

znaczeniem rozpowszechniania go w polskiej góralszczyźnie na Orawie, Śpiszu i w Liptówie, gdzie polska gwara tatrzańska przy nieuświadomieniu narodowym tamtejszego ludu polskiego, przy braku wszelkiej piśmienności rodzimej, przy wygnaniu polszczyzny nawet z kościoła, daleko więcej narażoną jest na zepsucie i całkowity zanik, aniżeli na Podhalu, przez grożące jej niebezpieczeństwo z dwóch stron naraz, mianowicie ze strony madziarskiej i słowackiej. Jest to pilna potrzeba narodowa, uznana przez wszystkich, znających stosunki miejscowe i miłujących szczerze góralszczyznę tatrzańską.

G. SMÓLSKI.

PIŚMIENNICTWO.

DR. ROMAN DYBOSKI, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. *William Ewart Gladstone (1809—1898)*. Kraków, 1910. Druk W. Z. Anczyca i S-ki.

Niedawno obchodziła Anglia setną rocznicę urodzin Gladstone'a, wielkiego męża stanu XIX wieku, którego cieniem oddano hołd wszędzie, gdzie tylko rozbrzmiewają hasła wolności i postępu. U nas wydał życiorys polityka angielskiego dr. Roman Dyboski.

Jak wiele z najpotężniejszych indywidualności w angielskim życiu politycznym, Gladstone pochodził z pracowitego pokolenia purytańskich podhalan szkockich. Ojciec jego był jednym z najbogatszych kupców Liverpoolu, gorliwym stronnikiem torysów i równie gorliwym członkiem wysokiego Kościoła anglikańskiego. Wykształcenie uniwersyteckie odebrał Gladstone w Oxfordzie, tej twierdzy konserwatyzmu w duchowym życiu angielskim. To też późniejszy wódz liberalizmu w pierwszych swych występach politycznych jest zdecydowanym konserwatystą.

Życie polityczne rozpoczyna wczesnie, bo już w 23 roku. Ojciec jednego z kolegów Gladstone'a, rozporządzający kilku mandatami w swych włościach, proponuje mu wybór do parlamentu. Wysoka inteligencya i zdolności sprawiły, że po dwóch latach 25-oletni poseł zasiadł na ławie ministrów, powołany przez konserwatywnego premiera sir Roberta Peela. Wkrótce dzieli losy tego ostatniego i wraz z całym gabinetem ustępuje miejsca whigom.

Po kilku latach Gladstone znów wraca do steru, tym razem na czas dłuższy, i zostaje wice-prezydentem ministerium handlu. Wstępując na to stanowisko, jak sam wyznaje, nie miał wyobrażenia o ekonomii politycznej. Z właściwą sobie jednak chciwo-

ścią wiedzy zagłębia się w studia, z których w krótkim czasie wychodzi skończonym ekonomistą. Tu poraz pierwszy oddala się od programu konserwatywnego, nawracając się na stanowczego zwolennika zasady wolnego handlu. Coprawda i sam przywódca konserwatywnego rządu Peel, zmuszony głodem i nieurodzajem, otwiera w 1845 r. porty angielskie dla obcego zboża.

Od tego czasu zaczyna się przewrót w pojęciach Gladstone'a. Podróż do Neapolu, gdzie zbliżka się przyjrzał reakcyjnym rządóm ówczesnego króla, przejęła go grozą i wstrętem do brutalnego absolutyzmu. Odtąd Gladstone zaczyna popierać sprawę wyzwolenia i narodowego zjednoczenia Włoch. Człowiek, połączony wzrastającą sympatją z rewolucyjnymi nacyonalistami, jak Manin, Mazzini i Cavour, nie mógł i w rzeczach angielskich zostawać w obozie konserwatywnym. Ale kilka lat minęło, zanim Gladstone otwarcie przeszedł w szeregi przeciwnego stronnictwa. Pierwszym oficjalnym krokiem jego w tym kierunku było, że przyjął tekę ministra skarbu w gabinecie koalicyjnym, złożonym ze stronników Peela i umiarkowanych liberałów.

Stronnicy Peela znaleźli się pośrodku między dwiema głównymi partjami angielskimi—torysami i whigami. Gladstone rozumiał, że taka grupa bez określonego wyraźnie programu ostać się nie może i ostatecznie w r. 1859, gdy gabinet liberalny Palmerstona objął rządy, zdecydował się przyjąć w nim tekę finansów. Zarzuty odstępstwa ze strony konserwatystów, brak zaufania u nowych sojuszników zatruwały mu pierwsze kroki. Ucieczki od trosk politycznych szukał w studiach literackich i wtedy właśnie napisał swe sławne dzieło o epoce homeryckiej.

Po śmierci Palmerstona w r. 1865 i upadku liberalnego gabinetu lorda Russela, Gladstone wysuwa się na czoło obozu liberalnego, jako przywódca opozycyi w parlamencie. W charakterze obrońcy polityki rządowej występuje Disraeli. Rozpoczynają się między temi dwiema potężnymi indywidualnościami zapasy, które stanowią główną treść polityki angielskiej za panowania królowej Wiktoryi.

Gladstone jeszcze w gabinecie Palmerstona występował za reformą wyborczą. W roku 1867 sam Disraeli ujrzał się zmuszonym do wniesienia nowej ustawy, dopuszczającej do głosu ogromne masy ludności robotniczej. Naturalnem następstwem tej reformy było dojście do rządów liberałów: w r. 1867 Gladstone po 36-letniej karierze parlamentarnej zajął najwyższe stanowisko w państwie angielskiem — został premierem gabinetu. Dzieła tego gabinetu stworzyły postęp cywilizacyjny Anglii w XIX wieku.

Otrzymawszy wiadomość o powołaniu go na premiera, Gladstone wyrzekł pamiętne słowa: „Moją misją jest uspokoić Irlandyę!“ Istotnie przez cały czas swych rządów ciągle myślał o reformach dla tego kraju. W r. 1869 wnosi ustawę, obalającą uprzywilejowane stanowisko Kościoła angielskiego w Irlandyi, przez ustawę agrarną w roku następnym polepsza położenie irlandzkich dzierżawców ziemi, uciemnianych dotąd przez wielkich właścicieli.

Dopiero potem bierze się do reform w prawodawstwie angielskiem. Przekształca wychowanie elementarne, nadając miejscowym komitetom do tych spraw prawo przymusu szkolnego, usuwa zabarwienie wyznaniowe ze szkół rządowych i znosi w szkołach wyższych ograniczenia religijne. Reorganizuje armię, znosząc praktykowane dawniej kupowanie stopni oficerskich, przekształca administrację cywilną, ustanawiając obsadzanie posad rządowych przez otwarty konkurs. Znosi stempel na dzienniki, obniża porto pocztowe, ogranicza wyszynk trunków, przeprowadza nader ważną ustawę o tajnem głosowaniu do parlamentu, reformuje sądownictwo, jednocząc skomplikowaną maszyneryę wyższych sądów w jednej władzy, wreszcie obniża podatki, ograniczając budżet wojskowy i marynarki.

Na arenie jednak polityki zewnętrznej gabinet Gladstone'a nie mógł się pochwalić takimi sukcesami, korzysta z tego lord Disraeli-Benconsfield, rozwija pierwszy sztandar imperyalizmu, wystawiając hasło udziału kolonij w zbrojeniach i zjednoczenia ich w centralnym parlamencie, i w roku 1876 obala rząd liberalny.

Po 4-ch latach Gladstone znów powraca do władzy. Uspokobiony pokojowo, jedynie co do Egiptu decyduje się na zbrojną interwencyę i okupacyę wojskową. Głównie zaś zajmuje się znowu reformami zewnętrznymi. Niezadowolone społecznie uspokaja ważną ustawą o odpowiedzialności pracodawców za okaleczenie robotnika przy pracy, ogranicza możność przekupstwa przy wyborach i jeszcze rozszerza prawo wyborcze.

Stanąwszy poraz trzeci u steru po krótkiej przerwie, którą wywołało niezadowolenie społeczeństwa z bezrządu panującego w Irlandyi, postanawia raz zakończyć z tą sprawą i wnosi w roku 1886 projekt Home Rule'u dla Irlandyi, to jest całkowitej autonomii z oddzielnym parlamentem. Zawrzało wówczas w obozie liberalnym, secesya z niego blizka stu członków rozstrzyga losy ustawy, która zostaje odrzuconą 30 głosami. Zarządzone nowe wybory, pomimo płomiennej wymowy Gladstone'a, nie przemogły niechęci całego narodu do udzielenia Irlandyi autonomii. Do parlamentu weszła większość konserwatywna.

W Irlandyi tymczasem z całą gwałtownością wrzała dalej walka między rządem, stosującym represye, a organizacją narodową. W nowych wyborach w roku 1892 Gladstone zdobywa nieznaczną większość i natychmiast wnosi drugą ustawę o autonomii irlandzkiej, zmienioną o tyle, że obok własnego sejmu Irlandya miała posyłać jeszcze 80 przedstawicieli do parlamentu londyńskiego. Ustawa przeszła przez Izbę gmin, ale odrzucili ją lordowie i Gladstone zrezygnował z dalszych usiłowań. Rozgoryczony oporem lordów w paru innych jeszcze sprawach, w ostatniej swej mowie parlamentarnej przepowiada nieunikniony konflikt wzrastających dążeń liberalnych z instytucją Izby wyższej. Nie zgadzając się wreszcie na projekt olbrzymich zbrojeń morskich, które wnieśli jego własni koledzy, podał się w roku 1894 do dymisji.

Gladstone w tym okresie, gdy w jego ręku spoczywały losy kraju, był bezwarunkowo najpopularniejszym człowiekiem w Anglii. Jeżeli w ostatnich latach postać „wielkiego starca,“ jak go powszechnie w kraju nazywano, nie wywierała już takiego wrażenia, tłumaczy się to przewrotem, jaki się dokonał w opinii angielskiej na rzecz haseł imperyalistycznych. Gladstone był umyśłem niezwykle wszechstronnym. W czasach najbardziej ożywionej działalności politycznej nie przestawał się zajmować ulubionemi studjami literackimi. Kwestye teologiczne pociągały go zawsze; pisał też dzieła i z tej dziedziny. Był to człowiek, który, jak mało kto, umiał korzystać z duchowych skarbów kultury ludzkiej i całe swe pracowite życie wypełnił niestrudzoną służbą dla wielkich spraw narodu.

WACŁAW DUNIN.

ANDRZEJ BAUMFELD. *Sprawa polska a Żydzi*. Warszawa, skład główny w księgarni E. Wendego (włas. T. Hiż i A. Turkull) Krak. Przedmieście 9. 1911 r.

Sprawa żydowska jest obecnie bardzo na czasie. W społeczeństwie polskiem dokonywa się ważne przelicowanie poglądów na Żydów i ich stosunek do nas. Autor w broszurze swej porusza kwestyę tak zwanych „Polaków mojżeszowego wyznania,“ wykazując całą błędność tej panującej u nas do niedawna koncepcji.

Asymilacya, to jest wcielenie do narodu mas ludności z nim współżyjącej, jest, zdaniem jego, bezwarunkowo rzeczą pożądaną.

Lepiej jest zawsze mieć przyjaciół, niż wrogów u siebie w domu. Nie można jednak nie przyznać słuszności tym, którzy wskazują na niebezpieczeństwo „zażydzenia.“ Niema, co prawda, obawy, by naród, który się ostał w czystości przed groźnymi zamachami narodów obcych, a uprzywilejowanych władzą i przemocą, mógł zatrzeć swą krew przez masę luźną, niekulturalną, bez władzy i bez żadnych naogół nęcących przymiotów. W każdym razie jednak asymilacja może przyczynić narodowi pierwiastków, nie-przyswojonych istotnie, sklejonych bardzo dorywczo, bez głębokiej łączności wewnętrznej, a za to z głośną, daleko idącą pretensją.

Naogół biorąc, niema—podkreśla autor—żadnych wspólności między tem, co stanowi dorobek duchowy Polaka, a tem, co jest treścią życia wewnętrznego ogółu Żydów. Żydzi inteligentni sami wiedzą o tem dobrze — a to poczucie, które im zawsze zostaje, poczucie różnicy między „nami“ a „nimi,“ jest nieświadomą, ale wielce charakterystyczną oznaką. Nawet „zasymilowany“ Żyd czuje się zarówno towarzysko, jak i społecznie oddzielnie. Nie niechęć ze strony polskiej jest tu przyczyną, ale właśnie ta odrębność duchowa.

Od tej asymilacji—mówi p. Baunfeld—czysto powierzchownej, która jest upodobnieniem tylko języka, stroju, zwyczajów przy stole i t. p., jakże daleko do przeniknięcia duszą w duszę narodu, do przylgnięcia spragnionemi usty ku jego źródłu wiecznemu. Tego rodzaju zaś asymilacja jest i będzie na długo ideałem niedoścignionym nietylko w stosunku do mas ciemnych i obrosłych mchem przesądów, ale i do ogółu inteligencji żydowskiej.

Na masy działa się prawem, którego obecnie sami nie stanowimy, inne działanie zaś jest tu niemożliwe. I dla inteligencji jednak żydowskiej polszczenie się jest bardzo ciężkie. Powiedzieć inteligentnemu Żydowi: bądź Polakiem!—to znaczy, jak się wyraża autor, powiedzieć mu: cierp i walcz! ukochaj tak silnie, żebyś mógł błogosławić, złorzecząc nawet! pracuj dla tych, którzy cię nie pojmą i niechęcią obrzucą ciebie i zamiary twoje!...

Zharmonizować dwie kultury tak sprzeczne, jak polska i żydowska, niepodobna. Trzeba rzucić jedną dla drugiej. Osobnik, zachowujący tradycję żydowską, a mający równocześnie pretensję do związku z tradycją polską jest dziwotworem. Nie można zostać Żydem, chcąc być Polakiem. Żyd-Polak bowiem to nonsens.

Między innemi wskazuje autor na drażliwy w tej sprawie moment religii. Asymilatorzy nasi stoją niemal wyłącznie na stanowisku „wołnomysłcielskiem,“ religia ich nie nie obchodzi. Tym-

czasem zapominają oni o tem, że cała kultura polska, a więc i tych Polaków, którzy stoją na gruncie „myśli wolnej,“ jest chrześcijańska, więcej nawet, katolicka. Wytrwanie w religii żydowskiej jest przeszkodą dla pełnego wniknięcia w polskość.

Ale radą na to nie jest obojętność religijna, wyzbycie się religii wogóle. Kto chce odczytać i przyswoić sobie duszę polską, musi przyswoić sobie formy, w których ona się rozwijała. Inteligencya żydowska musi przejść przez chrześcijaństwo, ażeby się zetknąć z polskością.

Idąc ku Polsce, Żydzi wogóle pamiętać muszą, że wieki minione trzeba odkupić nieraz ciężko, mają oni zaś przed sobą do zwalczania niedowierzanie, z wieków owych wynikłe.

Broszura pana Baumfelda, choć krótka, zawiera wiele myśli głębokich i subtelných, ujętych przytem w ładną i wytworną formę.

W. D.

Szkoła ludowa a stosunki narodowościowe w Galicyi, przez Kazimierza Piątkowskiego.

Praca powyższa była drukowana w galicyjskim Przewodniku Oświatowym, organie Towarzystwa Szkoły Ludowej, który poświęcił jej specjalny numer, wydany w potrójnej objętości. Autor zajmował się z ramienia Zarządu Głównego tej instytucji statystyką szkolnictwa ludowego w Galicyi. Zebrany przez niego materyał odsłania pewne strony tej kwestyi, na które zbyt mało dotychczas poświęcono uwagi.

Z cyframi w ręku wykazuje autor, że wbrew skargom Rusinów na polu szkolnictwa ludowego oni właśnie są uprzywilejowani kosztem Polaków.

W Galicyi zachodniej ludność wynosiła według spisu z dn. 31 grudnia 1910 r. 2,487,828 mieszkańców, szkół zaś było 1749, na jedną więc szkołę przypada 1422 mieszkańców. Polaków było 2,370,532 czyli 95,3% i na jedną szkołę z językiem wykładowym polskim przypadało 1431 Polaków. Rusinów było 77,249 czyli 3,1% i na jedną szkołę z językiem wykładowym ruskim przypadało 868 Rusinów. Widziny więc, że Rusini mają w Galicyi zachodniej nie tylko zachowane wszystkie prawa mniejszości, ale nawet są znacznie uprzywilejowani.

Zupełnie inaczej dzieje się w Galicyi wschodniej, gdzie Polacy stanowią mniejszość, choć znacznie poważniejszą niż Rusini

w zachodniej. W Galicyi wschodniej ludność wynosiła 4,796,875 mieszkańców, szkół zaś było 3269, na jedną więc szkołę przypadało 1467 mieszkańców. Polaków było 1,611,507 czyli 33,6% i na jedną szkołę z językiem wykładowym polskim przypadało 1612 Polaków. Rusinów było 3,003,294, czyli 62,6%, i na jedną szkołę z językiem wykładowym ruskim przypadało 1336 Rusinów.

W Galicyi całej ludność wynosiła 7,284,703 mieszkańców. Polaków było 3,982,033, czyli 54,7%, na jedną szkołę z językiem wykładowym polskim przypadało 1499 Polaków. Rusinów było 3,080,543, czyli 42,3%, na jedną szkołę z językiem wykładowym ruskim przypadało 1318 Rusinów.

Porównanie przeciętnych wykazuje wszędzie różnicę znaczną na niekorzyść Polaków. Około 40 tysięcy dzieci polskich w wieku szkolnym musi uczęszczać do szkół ruskich w braku polskich i w ten sposób podlega rusenizacyi.

Nie możemy szczegółowo iść za badaniami p. Piątkowskiego, który przeprowadza swą myśl przewodnią w szeregu wykazów cyfrowych. Załączone tablice statystyczne oraz mapy dają bogaty materiał w sprawie szkolnictwa ludowego w Galicyi.

W. D.

Świątobliwe życie przewielebnej jejmości Panny Zofiej z Granowca Sieniawskiej, fundatorki i pierwszej Xieniej klasztoru sandomirskiego reguły św. Benedykta z Kassynu reformacyi Chelmińskiej. Według rękopisu z roku 1630 wydał ks. Jan Gajkowski. Kraków, Warszawa 1911.

Profesor seminarjum sandomierskiego ks. Jan Gajkowski pieczołowicie strzeże spuścizny archiwalnej, pozostałej po klasztorze benedyktynek, w których przebudowanej rezydencyi kształcił się młode pokolenie duchowieństwa sandomierskiego. Wśród archiwali po benedyktynkach znalazł się i żywot Zofii Sieniawskiej, który ks. Gajkowski ogłosił świeżo drukiem. Zofia Sieniawska była córką Prokopa Sieniawskiego i Elżbiety Gostomskiej, wojewodzianki Rawskiej. Miała więc w swych żyłach krew Anzelma Gostomskiego, zagorzałego zwolennika protestantyzmu, ale pomimo to nie wdawszy się w swego dziadka, od dzieciństwa zdradzać już miała fanatyczne przywiązanie do katolicyzmu. Zresztą już i matka jej Elżbieta Sieniawska, wbrew tradycyi ojcowskiej, była cała na usługach jezuitów. Zamożna, a nawet bogata cór-

ka Gostomskich i Sieniawskich, miała godnych konkurentów z Radziwiłłami na czele, wychowanie jednak matczyne, czy też wrodzone popędy sprawiły, że myśleć nie chciała o ślubnym kobiercu, lecz zapragnęła poświęcić się Bogu. Nowicyat odbyła w klasztorze benedyktynek w Chełmnie, później już, jako starsza siostra, przenosi się do świeżo ufundowanego przez matkę klasztoru w Sandomierzu, w którym umiera jako pierwsza ksieni. Życie w Sandomierzu nie płynie jej po różach. Oskarżają ją, za poduszczeniem szatana oczywiście, o życie niemoralne, o brak karności w klasztorze, jedna z sióstr usiłuje ją otruć, klasztor pada ofiarą płomieni, ciągle spory i kłótnie z rodziną i innymi klasztorami zatruwają życie benedyktynek. Żywot ksieni Sieniawskiej, tej niewątpliwie typowej przedstawicielki reakcyi katolickiej, mogłyby mieć szersze naukowe znaczenie, mogłyby rzucić nieco światła na psychologię kobiet polskich z końca XVI wieku. Niestety jednak Sieniawska nie znalazła utalentowanego biografą. Nieznany biograf, a raczej panegirysta jezuicki, który jest autorem żywota wydanego przez ks. Gajkowskiego, potrafił powiedzieć niezwykle mało w swym wielkim foliancie. Z poza dymu kadzideł, jakimi szafuje panegirysta, nie wyłania się ani obraz ówczesnego życia klasztornego, ani samej panny Sieniawskiej. Coś zaledwie między wierszami przeczytać można, że życie klasztorne nie płynęło tak jak należy, ale jak? Zato własny światopogląd autora odbija się aż nadto wyraźnie w książce. Nie do dziejów benedyktyków, nie do biografii Sieniawskiej można znaleźć materiału w Żywocie, lecz jedynie do historii jezuitów, z pośród których wyszedł nasz panegirysta.

Nie możemy się powstrzymać, by nie przytoczyć jednego z nielicznych charakterystycznych szczegółów o życiu klasztornym, znajdujących się w książce. Oto jeszcze gdy panna Sieniawska była w Chełmnie, „prosiły siostry panny ksieni, aby im co podała, w czymby się nabardzi przez wielki post czterdziestodniowy ćwiczyć miały, podała im miłość bliźniego. Co panna Sieniawska usłyszawszy, tak ohotnie i gruntownie ćwiczyła się w tej cnocie, że nietylko piękne o miłości bliźniego rozmyślania napisała, ale też pożyteczne bardzo przy wszystkich powinnościach i zabawach zakonnych ćwiczenia się w tej cnocie rozporządziła i rozpisała tak mądrze i nadobnie, że się uczeni kapłani i spowiednik klasztorny roztropności jej i dowcipowi bardzo dziwował i teologiem ją od tego czasu nazywał. A panna ksieni wielką z jej prac pociechę mając, one pisanie jej podała do ćwiczenia całemu zgromadzeniu.“ Takie teoretyczne ćwiczenie się

w miłosierdziu było rzeczą nadzwyczaj charakterystyczną dla epoki.

„Świątobliwe życie“ Sieniawskiej wydał ks. profesor Gajkowski bardzo starannie, indeksu wprawdzie nie dodał, ale kto wie, czyby i indeks zdołał wydobyć wiele ważnych danych z takiego dzieła nieznanego jezuitę.

I. B.

SOKOŁOWSKI EUGEN. von. *Krakau im XIV Jahrhundert*. Ein Beitrag zur Geschichte des Magdeburger Rechts in Polen. Marburg 1910.

P. Sokołowski postanowił zająć się badaniem dziejów prawa niemieckiego w Polsce. Temat to od dłuższego czasu leżący odłożeniem, a wagi pierwszorzędnej. To też dobrze się stało, że młody historyk właśnie ku niemu zwrócił swe siły. Jako studyum przygotowawcze do swych badań wybrał p. Sokołowski dzieje prawa niemieckiego w Krakowie i opracował działalność „magdeburgii“ w jagiellońskiej stolicy w wieku XIV.

Studyowanie dziejów prawa magdeburckiego w Krakowie musiało specjalnie nęcić badacza, już nietylko dzięki znaczeniu, jakie posiadał na schyłku średniowiecza gród podwawelski, ale i z tej przyczyny, że właśnie Kraków, posiadając w swych murach Akademię Umiejętności, a nadto „Towarzystwo miłośników historii i zabytków“, przewyższa wszystkie inne miasta polskie co do ilości wydanych źródeł i monografij, odnoszących się do jego dziejów. Z całą dziś już bogatą literaturą historyczną krakowską, ze wszystkimi drukowanymi Cracoviensiami zapoznał się suniennie p. Sokołowski i uwzględnił je w swem studyum, podzielonem na dwie części. W pierwszej opisuje rolę wójtów i stan sądownictwa, w drugiej maluje położenie i różnorodne funkcyje rady miejskiej w Krakowie, we wstępie nadto daje autor pojęcie o wprowadzeniu do Polski prawa niemieckiego, którego znaczenia zresztą dla rozwoju naszego narodu nie przecenia, zajmując stanowisko pośrednie pomiędzy Piekosińskim a prof. Bujaikiem. Podnieść należy, że autor, oceniając w swej pracy wypadki dziejowe, bierze pod uwagę także fakty ekonomiczne i polityczne, to też zastanawiając się nad szybkim rozwojem Krakowa, podnosi, że był on rezultatem nietylko wprowadzenia prawa Magdeburckiego i związanego z niem samorządu, ale również dogodnego położenia geograficznego miasta, rozwoju państwa polskiego i zdobycia Rusi Czerwonej.

Sumiennie opracowana rozprawa p. Sokołowskiego zapowiada w nim pożytecznego badacza dziejów wewnętrznych Polski.

I. B.

WŁADYSŁAW STUDNICKI. *Sprawa polska*. Poznań, 1910. Nakładem Rzepeckiego. W Warszawie—Wende. 8-o, str. 576. Z portretem autora i mapą Rzplitej.

Staszic w „Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego“ rzucił jedno pytanie, w którym sformułował sprawę polską: „Jeżeli nie masz dla reszty Polski ratunku?“ My dzisiaj, widząc tyle zatrważających objawów, stawiamy to pytanie już w innej, tragiczniejszej formie: Czy niema dla Polski ratunku? Ażeby znaleźć odpowiedź i wyciągnąć wskazówki do postępowania, trzeba poznać całą naszą historję i starannie wydobyć z niej wszystkie te pierwiastki, które mogą nam dostarczyć cennego materiału dla rozstrzygnięcia zadań doby dzisiejszej i dla budowania ideałów przyszłości. Właśnie tę pracę podjął p. Studnicki w swoim dziele.

Upadek Polski został wywołany nie uciskiem chłopów, bo na ogół ich położenie było nie najgorsze i znacznie lepsze, niż w Rosyi, nie kolonizacją Litwy i Rusi, nie upośledzeniem mieszczan, którzy byli przeważnie żywiołem niepolskim. Główniejszych przyczyn upadku należy się dopatrywać w wygaśnięciu dynastji Jagiellonów i płynących z tego konsekwencyj w stosunkach zewnętrznych i elekcyjnej formie dziedziczenia tronu, w Unii kościelnej, dzięki której niższe warstwy polskie na Rusi i części Litwy ruszczyły się, a także w zastojach budżetowym i w braku należytej organizacyi wojskowej.

Nie będziemy szczegółowo rozbieierać wywodów historycznych, zaznaczymy tylko, że nie cechuje ich ścisłość naukowa. Po pierwsze p. St. rozpatruje sprawę polską jedynie w stosunku do Rosyi, niesłusznie pozostawiając w cieniu Austryę, a szczególnie Prusy, a po drugie zwraca główną uwagę na objawy wojenno-rewolucyjne i nie uwzględnia życia społeczno-narodowego w innych jego dziedzinach; dlatego wywody jego zostały osłabione i dał się uczuć brak zestawienia sił naszych w dobie dzisiejszej.

Książka jest obszerna, materiał obfity, nawet za obfity w stosunku do tych wniosków, jakie autor zamierzał z niego wysnuć i pomimo to idea przewodnia o stosunku naszym do Rosyi wypadła dość blado. Zamiast malować szerszemi pociągnię-

ciami pióra obrazu, p. S. rozpraszał się w odtwarzaniu szczegółów, na których pominięciu książka by zyskała. Zamiast zwięźle przedstawiać ogólne, typowe cechy pewnych momentów i wypadków dziejowych, jak np. wojny 1830-31 r., p. S. zgoła niepotrzebnie opisywał przebieg bitew.

Uwzględnianie tylko jednej strony naszych dziejów pociągnęło za sobą poważne braki; w pracy p. St. zostały pominięte milczeniem tak ważne dla nas zagadnienia, jak np. sprawa litewska, ruska i żydowska.

Przekonanie, że stoimy w przededniu wielkich wypadków politycznych, że nie pokój, lecz miecz niesie nam pierwsze ćwierćwiecze XX stulecia, powinny były pobudzić autora także i do skrupulatnego rozważania omawianego zagadnienia bez jakichkolwiek bądź jednostronności i przeoczeń, bo mszczą się one fatalnie, pacząc nasze rachuby na przyszłość.

P. Studnicki jest zbyt bezwzględny w karceniu ludzi, nie odpowiadających jego ideałom. Oceniając pobieżnie lecz surowo Kościuszkę, przypisuje mu zupełną nieorientację polityczną za to, iż nie poszedł ślepo za Napoleonem, lecz postawił pewne warunki.

Napoleon wogóle został przedstawiony jako człowiek bez zarzutu, a pyszałkowane słowa jego: „Zobaczmy czy Polacy godni są być narodem“ użył autor za motto do swej książki, chociaż w innych podobnych wypadkach jest bardzo wrażliwy na wszelkie objawy, ubliżające naszej godności narodowej.

P. Studnicki, jeden z najwybitniejszych naszych polityków, ma tę rzadką dzisiaj zaletę, że tak w ocenie zjawisk minionych i dzisiejszych, jak też i w rozważaniu form, w które przyszłość nasza przyoblec się może, nie krępuje się żadnymi względami stronnictwymi ani partyjnymi doktrynami. Płytkość, małoduszność i chwiejność, niedocenywanie sił własnych, dobrowolna redukcja i wyrzekanie się praw narodowych, mają w nim surowego sędziego. Jego ideałem jest polityka narodowa niezależna, polityka w wielkim stylu, polityka, na którą niezawsze—ze smutkiem przyznać musiny—stać nas. W niektórych punktach można zarzucić autorowi nieliczenie się z konkretnymi warunkami naszego bytu, ale trzeba przyznać, że wszędzie znajdujemy zdrową, nieskażoną żadnymi podejrzanymi wpływami myśl polityczno-społeczną. Dzięki temu „Sprawa polska“ posiada dla naszego społeczeństwa, a głównie młodszego pokolenia, duże znaczenie wychowawcze.

D-R ZYGMUNT BUJAKOWSKI.

ANTONI KARBOWIAK. *Młodzież szkolna akademicka zagranicą 1795—1910.* Kraków, 1910. Nakładem Zjednoczenia towarz. młodzieży polskiej za granicą. 16-o, format duży, str. 435.

Jedynie w literaturze polskiej mogła się ukazać podobna książka, bo jedynie w społeczeństwie polkiem młodzież akademicka, studyjująca poza granicami kraju, jest dla ogółu społeczeństwa i dla jego rozproszonych odłamów emigracyjnych o tyle ważnem zjawiskiem, że nie można jej pomijać milczeniem. „Dzieje studyów młodzieży polskiej zagranicą w dobie porozbiorowej zasługiwały na osobne opracowanie, bo splotły się rozlicznymi ogniwami z historią emigracji polskiej, a jeszcze liczniejszemi z historią życia społeczno-narodowego w Ojczyźnie. Młodzież nasza, rozproszona dla studyów za rubieżami kraju, brała walny udział w dążeniach i pracach wychodźców polskich, a równocześnie kształciła się tam w kierunku fachowym, politycznym, społecznym i narodowym, jednym słowem wychowywała się i dojrzewiała do pracy w kraju.“

Z pojedynczych luźnych publikacyj albo korespondencyj zagranicznych, umieszczanych w naszych czasopismach, dowiadywalśmy się często o faktach ciekawych, lecz były to fakty odosobnione, jednostkowe. Co robi, myśli i czuje młodzież nasza zagranicą, dotychczas nie wiedzieliśmy, nie wiedzieliśmy więc także czy wogóle i w jaki sposób na tę młodzież oddziaływać należy.

Wypełnienie tej luki wymagało wielkiego nakładu pracy i to pracy—jak pisze w przedmowie sam autor—niekoniecznie przyjemnej i łatwej. „Aby ściągnąć potrzebny materiał, rozrzucony niemal po całym świecie cywilizowanym, trzeba było przeprowadzić rozległą i mozolną korespondencyę, trzeba było poruszyć, rozruszać i trudzić setki młodych ludzi i długi szereg organizacyj akademickich polskich na obczyźnie, trzeba było wydobywać wiele archiwów z dobrego ukrycia, trzeba było doświadczać różnych przyjemności i nieprzyjemności.“

W pierwszej części swej książki autor przedstawia studenckie organizacye, ich powstanie, rozwój i zreszenia, dzieląc je na trzy grupy: 1) najstarsze polskie kolonie akademickie doby porozbiorowej 1795—1830 (Berlin—Charlottenburg, Halla, Frankfurt—Wrocław), 2) kolonie z doby emigracji politycznej 1830—1870 (Anglia, Francya, Belgia, Szwajcarya, Austria, Rzesza niemiecka i Rosya) i 3) kolonie powstałe w Europie i w Ameryce w czasie ucisku i bojkotu szkolnego 1870—1910.

Polские organizacye akademickie, bogate liczbą, nie mogą się jednak pochwalić ani znaczną ilością członków, ani zbyt owoc-

ną pracą. Zakładane z inicjatywy jednej lub paru żądnych czynu jednostek nigdy nie skupiały w sobie ogółu kolonii akademickiej, a wśród zrzeszonych praca większości ograniczała się do wstąpienia do Towarzystwa i—już rzadziej—do płacenia wkładek. Statuty z reguły bywały i są jak najpiękniejsze i jak najobszerniejsze, wskazane w nich zadania bywają jednak niezmiernie rzadko wypełniane; pomimo to poświęca się im wiele uwagi i przywiązuje się tak wielkie znaczenie, że niemal każdego roku dokonywują się w nich zmiany, które zajmują lwią część pracy i zarządcom, i „walnym“ zgromadzeniom, chociaż często ilość członków towarzystwa nie przekracza nawet tuzina. Kierownicy towarzystw i ich skład są elementem niestałym, przeważnie jedno lub dwuletnim, tem się głównie tłumaczy, że byt wielu nawet liczniejszych organizacyj akademickich sprowadza się do bytu formalnego, do pozorów, kryjących dość ubogą treść. Stowarzyszenia wogóle, a akademickie w szczególności, nie są w stanie wytworzyć zadowalającego życia towarzyskiego, do tego byłby powołany ogół kolonii polskiej; towarzyskie zebrania w polskich domach licznie ściągająby młodzież i chroniły jej słabszą część przed wynarodowieniem i szukaniem zupełnie niewłaściwych rozrywek.

W niektórych wypadkach (w Niemczech) przyczyną słabego rozwoju i upadku towarzystw były i są prześladowania władz akademickich i policyi, albo poprostu dekrety ministeryalne, rozwiązujące wszystkie polskie akademickie organizacje, istniejące w Prusach. W innych (w Rosyi) istnienie jawnych stowarzyszeń było zupełnie zakazane.

Dla wzmocnienia sił towarzystw i ratowania ich od zupełnej ospałości i upadku usiłowano łączyć się w zrzeszenia, obejmujące bądź ogół towarzystw zagranicznych, bądź też tylko teren jednego państwa. Pierwsze próby powstały w Paryżu w r. 1865, po nich nastąpiły inne, niezawsze wieńczone pomyślnym skutkiem. Dziś istnieją: „Ogniwo,“ obejmujące towarzystwa młodzieży, kształcącej się w Austrii (d-r Karbowski nie podał statystyki ani ogólnej, ani dotyczącej towarzystw pozagalicyjskich), „Zjednoczenie towarzystw młodzieży polskiej za granicą“ i „Związek postępowej młodzieży polskiej,“ najmniej liczny i chylący się do upadku.

Działalność związków bywa intensywniejszą, niż pojedynczych towarzystw, a to dlatego, że pracują w nich najdzielniejsze jednostki ogółu młodzieży; rozporządzając większymi środkami, są w stanie podejmować się przedsięwzięć, przekraczających siły pojedynczych organizacyj, lecz nie zawsze je wypełniają. Praca statystyczna, a także oświatowa i społeczna w formie opieki nad

naszymi wychodźcami, rozszanymi po całej Europie, stanowi dodatnią i godną uznania stronę działalności naszej młodzieży. Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie, wchodząc w kontakt z ad hoc wybranymi komisjami przy stowarzyszeniach akademickich, dąży do wytworzenia w swej pracy pewnych punktów oparcia lepszych, niż je dają niezawsze godni zaufania agenci.

Związki mają jeszcze jedną dodatnią stronę: doroczne zjazdy urządzane w najważniejszych miastach Zachodniej Europy. Tam następują obrachunki dokonanej pracy, jej ocena krytyczna, omawianie bieżących zagadnień polityczno-społecznych i kreślenie programu pracy na przyszłość. Tam młodzież, zebrana ze wszystkich zakątków naszego kraju, poznaje się wzajemnie i zadzierzga ściślejsze węzły przyjaźni, zespalające ją w życiu późniejszym.

W stowarzyszeniach i na zjazdach młodzież poświęca za wiele energii polityce, zbyt silnie nią się przejmuje, ale dzisiaj widzimy wyraźny zwrot ku lepszemu, i coraz liczniejsze grupy zrywają z pisanymi programami stronnictw, stawiając sobie za główny cel swobodny rozwój myśli.

Nie można twierdzić, że ogół młodzieży polskiej pozostaje wierny ideałom narodowym i że czas pobytu zagranicą poświęca wytrwałemu zdobywaniu wiedzy, ale można z całą pewnością powiedzieć, że czyni to większość. Należy z uznaniem wspomnieć tutaj i o takim fakcie, że poróżnione na gruncie przekonań towarzystwa zawierały z sobą zgodę w latach rocznic narodowych, jak np. w setną rocznicę urodzin Mickiewicza.

D-r Karbowski, powołując się na trudności w zebraniu materiału, sam przyznaje, że praca jego musi posiadać nieuniknione w takich warunkach braki i luki. Luki te są jednak nieznaczne, a niektóre z nich niemożliwe do usunięcia; np.: kolonie akademickie w Rosyi, w których jest zupełny brak materiału archiwalnego. Zbyt krótko została potraktowana historia „Ogniska“ wiedeńskiego, należało także nieco obszerniej uwzględnić stosunek akademików do ogółu kolonij polskich przynajmniej w trzech najważniejszych środowiskach: w Petersburgu, Wiedniu i Berlinie.

Nie pomijając ujemnych stron życia pojedynczych towarzystw, p. K. zbyt słabo je uwzględnia w obrazach ogólnych, które wypadają nieco różowiej, niż rzeczywistość.

Są to jednak drobne usterki, nie zmniejszające wartości książki, która zasługuje na polecenie nie tylko ze względu na przedmiot pracy, lecz także z powodu ilości zebranego materiału i jego opracowania. Wzgląd ostatni każe nam „Młodzież polską“ zaliczyć do najlepszych prac autora i postawić ją znacznie wyżej

od „Dziejów edukacyjnych Polaków na obczyźnie w dobie porobiorowej,⁴ których ma być dopełnieniem.

Pisownia nie zawsze poprawna: *wczęty* (parokrotnie) zamiast *wszczęty*, *rzeżi* (parokr.) zam. *rzezi*, *we* Wiedniu, *we* większym, *szemat* zam. *schemat*, *do niesnasków* zam. *niesnasek* (i Linde, i Karłowicz podają tylko żeńską formę: *niesnaska*); niepoprawnie utworzone dopełniacze liczby mnogiej: *kopalń*, *akademij*, zam. *kopalni* i *akademii*; mylna lub nieuzasadniona pisownia imion geograficznych: *kiszyniewski* zam. *kiszyniowski* (rzeczownik: *Kiszyniów*), *Lozana* zam. *Lozanna* (fr. *Lausanne*), *batyniolski* zam. *batiniolski* (fr. *Batignolles*); neologizm: *studentctwo* i t. d. Książka nie zupełnie wolna od błędów drukarskich.

D-R Z. B.

Kronika miesięczna.

Powszechnie nauczanie ludowe. — Głos posła Grabskiego. — Co dla tej sprawy społeczeństwo nasze zrobić może i powinno? — Zatarg konstytucyjny w Radzie Państwa. — Głosy polskie. — O muzeum Rapperswylskie. — Około hojnego daru. — Teatry warszawskie. — Odezwa, godna poparcia. — Literatura kryminalna i życie.

Posel Władysław Grabski ogłosił w *Kuryerze Warszawskim* i w *Wiadomościach Codziennych* szereg artykułów, nawołujących społeczeństwo nasze do śpiesznego korzystania z prawa o powszechnem nauczaniu w państwie rosyjskiem pod grozą, że, ze względu na stan oświaty, naród nasz będzie zajmował ostatnie stanowisko w Europie nietylko zachodniej, ale i wschodniej. Państwo rosyjskie zmierza wielkimi krokami do nauczania powszechnego. W ciągu ostatnich lat paru ministeryum oświaty zwiększyło wydatki na szkolnictwo ludowe o 200%. Podczas gdy wydatki te, rozłożone na głowę ludności, wynoszą w Cesarstwie 29 kop., w Królestwie stanowią one zaledwie 9½ kop., czyli przeszło trzy razy mniej. Jeszcze gorzej, jeżeli porównać miejscowe środki, wydatkowane na oświatę ludową i obliczone również na głowę; stosunek brzmi tu przeciętnie 42 : 13. Oczywiście brak samorządu i jego organów utrudnia znacznie szerzenie u nas oświaty; wszakże nie można czekać na jego wprowadzenie, skoro w przybliżeniu nawet niepodobna czasu tego wprowadzenia określić; trzeba zużytkować w tym celu jedyną i najniższą jednostkę samorządną, gminę.

Autor zdaje sobie doskonale sprawę z przyczyn obojętności społeczeństwa i nieufności zebrań gminnych. Nowe prawo, pomimo pewnych poprawek, w Dumie przeprowadzonych, nie two-

rzy u nas szkoły takiej, jaką być powinna, czyli szkoły polskiej; musimy być nawet przygotowani i na to, że w wyższych instancjach projekt ulegnie bardziej niekorzystnym dla nas zmianom. A jednak nie powinno nas to powstrzymywać. Powinniśmy wierzyć duszy ludu naszego, że jej obca szkoła nie zmieni, skoro jej pruska nie zmieniła, owszem, obca oświata rozszerzyła własną, powinniśmy rozumieć, że elementarne wiadomości, nawet w obcym języku czerpane, są szczeblem pierwszym do podniesienia się kulturalnego ogółu ludu. I w myśl tego kierować trzeba nasze usiłowania, korzystać z każdej pomyślnej sposobności, aby sieć szkół rozszerzyć.

Ministryum oświaty opracowuje sieć powszechnego nauczania, tak, aby jedna szkoła wypadła na 50 dzieci w wieku szkolnym; prace i stopniowe powiększanie budżetu prowadzone są tak, aby można było plan urzeczywistnić w r. 1922, kiedy wydatki dojdą do sumy 150 mil. rb., uznanej za wystarczającą. I u nas dyrekcye szkolne w roku przeszłym, przy pomocy wójtów (pisarzy) wzięły się do opracowania planu sieci szkolnej. Każda szkoła gminna ma określoną ilość wsi najbliższych, dla których może być uważana za wystarczającą; z pozostałej większości wsi tworzone są nowe kompleksy, a dla każdego z nich wyznaczane są punkty centralne, w których staną szkoły, z tem wyrachowaniem, aby wszystkie okoliczne dzieci mogły pobierać w nich naukę szkolną. To wszystko robi się bez udziału inteligencji polskiej, bez jej pomocy, bez jej wiedzy nawet.

Uświadczenie co do stanu rzeczy, uświadczenie co do treści prawa, uświadczenie co do dróg i środków, do celu wiodących — oto zadania cennych tych artykułów. Wedle przepisu prawa na każdą szkołę elementarną udziela skarb bezzwrotnej zapomogi w ilości 350 rb. na pensję nauczyciela i 30 rb. na wynagrodzenie księdza za naukę religii, pod warunkiem, że gmina podejmie się opalania i konserwacji budynku. Z zapomogi tej większość szkół u nas nie korzysta, bo nikt się o nie nie stara. A korzystanie ułatwiłoby znakomicie zakładanie nowych szkół. Wyobraźmy sobie np. gminę, posiadającą trzy szkoły, na które wydatkuje ogółem 1,500 rb.; suma ta jest wystarczająca na opalanie i konserwację budynków dziesięciu szkół, skoro pensye nauczycieli weźmie rząd na siebie; innymi słowy, bez obciążenia nowego gminy można przeszło trzykrotnie ilość szkół powiększyć.

Prawda — pozostają wydatki na budowę szkół. I tu jednak skarb przychodzi z pomocą; pokrywa bezzwrotnie połowę kosztów budowy; na $\frac{3}{10}$ tych kosztów udziela pożyczki na spłatę dwu-

dziestoletnią i na 3^oo. Jeżeli przyjmiemy tedy jako przeciętny koszt budowy szkoły jednoklasowej 3,000 rb., to gmina z własnych funduszków musi na ten cel wydatkować tylko 600 rubli, a znajdzie je w oszczędnościach swoich; coroczne spłaty długu także z oszczędności pokrywać będzie. W artykułach, które zwracają się bezpośrednio do ludu, przekonywa autor, żeby, wobec wielkości celów oświatowych, decydować się nawet na podwyższenie składki z morga, pomimo niezwyklej u nas wysokości podatków gruntowych.

Posel Grabski przewiduje, że z początku dyrekcye szkolne, poprostu przez lenistwo, stawiać będą żądaniom gmin różne przeszkody. Ale zapewnia równocześnie, że w drodze apelacyi do ministeryum łatwo je zwalczyć będzie można, ponieważ prawo opracowane jest dla całego państwa i ze względu na tendencję ogólną rządu popierania dążeń oświatowych. Pośrednictwo w tym względzie, uświadamianie ludu, występowanie na zebraniach gminnych jest wdzięcznem zadaniem inteligencyi wiejskiej, zwłaszcza ziemian. Autor idzie nawet tak daleko, że za możliwe uważa zatwierdzenie Towarzystwa, które postawiłoby sobie za zadanie rozszerzanie szkolnictwa ludowego publicznego (gminnego i miejskiego), a co do jego doniosłości niema potrzeby nikogo przekonywać, skoordynowałoby bowiem jednostkowe usiłowania informacyjne i doradcze, o których była mowa wyżej.

Tego lata plany sieci szkolnych będą przedstawione gminom, a zebrania gminne będą musiały się wypowiedzieć, czy podejmują się one urzeczywistnienia przy pomocy skarbu sieci szkolnych. Byłoby bardzo smutne, gdyby zebrania naszych gmin nie podjęły się tego wielkiego zadania. Oczywiście jednak zebrania gminne winny żądać, aby pomoc skarbu była im na ten cel wydana, a mianowicie: 1) aby skarb dawał całkowite pensye nauczycielom nie tylko w nowych ale i w starych szkołach i aby te pensye popodnosił do 360 rb.; 2) aby na pobudowanie każdej nowej szkoły skarb dawał połowę w postaci zasiłku, a $\frac{3}{10}$ w postaci pożyczki na 3% i 20 lat; 3) aby dochody kas gminnych obracane były na budowę nowych szkół ($\frac{2}{10}$ kosztorysu), na spłatę pożyczek skarbowych i na pokrycie zwiększonych wydatków gminnych na szkolnictwo. Rzeczą jest naszej inteligencyi dopomódz naszym gminom, aby to, co wypływa z litery i ducha prawa, było z korzyścią dla naszego szkolnictwa ludowego zastosowane, a wtedy rozwinię się ono niewątpliwie znacznie. Niebezpieczeństwo, aby kraj nie pozostał oazą analfabetyzmu, trzeba zażegnawać zawczasu i brać się do pracy w tym kierunku skutecznie.

Tak brzmi zakończenie artykułów. W innym miejscu prosi autor prasę, aby popularyzowała zawarte w nich wiadomości. Niniejszem życzenie to spełniamy w przeświadczeniu głębokiem, że w miarę sił i możliwości dobrej sprawie współdziałamy.

*

*

*

Izba wyższa rosyjska, Rada Państwa, była w ubiegłym miesiącu teatrem ciekawego zatargu konstytucyjnego, tem ciekawszego, że ciało to, złożone z połowy (96) członków z wielostopniowego i ograniczonego wyboru, połowy zaś z nominacji, rekrutowanej z pośród najwybitniejszych i najstarszych urzędników, jest z natury rzeczy bardzo zachowawczem i do żadnej wogóle opozycji nie skłonnem. Przedmiotem sporu była nieszczęsna sprawa ziemstw na Litwie i Rusi, nieszczęsna dla rządu zwłaszcza, jest bowiem forsowana niezwykle, a jednak ciągnie się tak długo, że ciągle jeszcze Litwa i Ruś reprezentowane są w Radzie Państwa przez samych Polaków. Prawo o ziemstwach zostało przez Dumę przyjęte, przez Radę Państwa zaś odrzucone, z rozmaitych względów, z których na wymienienie zasługuje niechęć do uznania odrębności polskiej na Litwie i Rusi, która jest podstawą kuryj narodowościowych, oraz zakulisowe rywalizacje polityczne, wywołane przez to, że już blisko przez pięć lat steruje nawą polityczną Rosyi obecny prezes ministrów. Do wywołanego przez siebie, w celu przyspieszenia rzekomego „uspokojenia“ kraju a równoczesnego oddalenia następnyc — wedle historycznego jego aforyzmu — „reform,“ szał nacyonalistycznego przywiązuje premier tak wielką jednak wagę, że postanowił uporać się z trudną sprawą ziemstw na Litwie i Rusi jednym cięciem miecza prawodawczo-wykonawczego. Bezpośrednio po odrzuceniu przez Radę Państwa projektu rządowego, prace jej zostały na trzy dni zawieszono, a w ciągu tych trzech dni — na zasadzie § 87 Ustaw Zasadniczych — drogą Ukazu Najwyższego projekt stał się prawem obowiązującym. Tak bezceremonialne postąpienie z uchwałą Izby wyższej oburzyło jej członków; większością 98 głosów przeciw 52 przyjęta została w tej sprawie interpelacya do rządu, którą podpisało i za którą głosowało wielu członków z nominacji; 14 kwietnia odpowiadał na tę interpelacyę prezes ministrów, a po-

mimo jego mowy prawie taką samą większością przyjęte zostały zasady interpelacyi.

Zatargu tego, bardzo interesującego ze stanowiska prawno-państwowego, nie rozwiązały rozprawy ani w jednym ani w drugim kierunku. Kiedy interpelanci twierdzą, że w ocenie okoliczności dość ważnych, aby skorzystać z § 87, kompetentnym jest nie rząd, lecz izby, są w oczywistym błędzie, artykuł powyższy bowiem, zarówno, jak artykuł 14 austriacki ma na celu zasadniczo zapewnienie normalnego biegu życia państwowego, poboru podatków i rekruta, podczas nieobecności z tych czy z innych powodów izb prawodawczych, które zatem wagi okoliczności danych oceniać nie są w stanie. Natomiast sztuczką polityczną trzeba nazwać sztuczne stworzenie nieobecności izb prawodawczych, przez zawieszenie czynności jednej z nich na trzy dni, a to nawet pomimo, że i w tym razie prawo formalne jest po stronie rządu. Interpelanci i ich stronnicy mają również słuszość, kiedy podkreślają, że interpretacya § 87 musi iść jedynie w celu zabezpieczenia konieczności państwowych i że inna interpretacya prowadzi do zupełnego znihilowania roli i znaczenia obu izb. I tu próżne jest dowodzenie premiera, że ziemstwa na Litwie i Rusi są taką właśnie koniecznością państwową, dlatego, że pilną jest walka z polonizmem (tu znowu usłyszeliśmy parę komplementów pod adresem kultury polskiej) i zawodne przytaczanie przykładów z życia parlamentarnego Anglii, Prus, Austrii, dotyczących zgoła innych dziedzin życia państwowego.

W ocenie wypadku przyznać trzeba, że głosowanie Rady Państwa jest moralną porażką prezesa gabinetu. Materyalną nie jest — formalnie, bo za zasadami interpelacyi nie oświadczyła się większość dwóch trzecich głosów, i — istotnie, ponieważ prezes ministrów korzysta ciągle jeszcze z poparcia, znajdującego się poza sferą oddziaływania obu izb, i dopóki mu tego poparcia nie zbraknie, faktyczną władzę dzierżyć będzie. Co do następstw, to albo rząd wprowadzi w życie nowe prawo podczas letnich feryj parlamentarnych, aby przed sesją jesienną stworzyć fakt dokonany, z którym ludzie zawsze tak łatwo się godzą, albo też — jakby zdawało się wynikać z jednego z ustępów mowy p. Stołypina — postąpi zupełnie legalnie, w myśl ustaw podda pod rozpatrzenie obu izb prawo, wprowadzone na zasadzie art. 87. Jeżeli i wówczas Rada Państwa uprze się przy odrzuceniu, zdawałoby się, że wówczas pozostanie premierowi, po wyczerpaniu wszelkich środków, tylko ustąpienie. Ale w państwie rosyjskiem bieg życia znajduje się poza granicami rozumowania.

Trudna to rzecz zatem stawiać horoskopy, tembardziej, gdy w nich nic pomyselnego dla nas upatrzeć nie można; nastrój w stosunku do spraw polskich panuje dziś ciągle taki, że zmiana kierownika polityki mało zaważy na szali naszych losów.

*

*

*

Nad cichemi wodami zatoki jeziora Zurychskiego wysoką pionową ścianą, malowniczo bluszczem oplecioną, wznosi się stary zamek, z którego niegdyś feudalni grafowie uciskali okolicznych, niewolnych jeszcze Szwajcarów. Dziś stara budowla celom pokojowym służy. W grubych murach mieści się placówka życia kulturalnego naszego narodu, pomnik prac kulturalnych emigracji politycznej, muzeum polskie. Jak toń zatoki, ciche i spokojne zazwyczaj pędzi życie. Aż naraz przychodzi burza, która wstrząsa podstawami instytucji; na szpaltach pism toczą się żywe i namiętne spory, urządzone są protestujące wiece, a tematem polemik, mów ognistych jest to właśnie ciche muzeum. A chodzi o to, że jest źle administrowane, że do kraju przenieść je trzeba.

Rzućmy okiem w przeszłość. Muzeum powstało głównie dzięki inicjatywie, zabiegom i funduszom dwóch emigrantów z r. 1830, Krystyna hr. Ostrowskiego i Władysława hr. Broel Platera. Miało być ogniskiem polskiem w Europie zachodniej, schronieniem pewnem dla pamiątek narodowych, podległych na ziemiach ojczystych zmiennym kolejom losów, świadectwem życia i pracy emigracji polskiej.

Hr. Plater żył za długo. Za długo w tem znaczeniu, że na schyłku życia (w latach 1885—1889) stał się przedmiotem namiętnych napaści za to właśnie muzeum. Widzenie dużego obszaru w czasie usposabia do sceptycyzmu; piszący te słowa pamięta naganę z przed ćwierć wieku, w której, niestety, jako niedowarzony, pierwszoroczny student uczestniczył; łatwe nasuwają się tedy analogie i porównania terażniejszości z przeszłością.

O cóż toczyła się walka przed dwudziestu pięciu laty? O to, że hr. Plater rachunków nie zdawał; od tego—jak u nas zwykle bywa—krok tylko jeden do oskarżenia o nadużycie funduszy publicznych. Dumny, zdziwaczały, zniedołężniały już starzec, dożywający dni swoich w gorzkiej samotności zamku na Bendliko-

nie, rachunków nie zdawał, bo nie chciał, bo przekraczało to może nawet jego siły. A po śmierci, po rozwikłaniu w wielkim nieporządku istotnie zostawionych interesów, okazało się naturalnie—czego z góry spodziewać się było można—że nietylko o żadnem nadużyciu nie mogło być mowy, ale, owszem, twórca muzeum niósł mu pomoc swojemi szczupłymi funduszami. To po śmierci. Któż wróci zarzuty, którym za życia podlegał?

Patrzyliśmy potem zblizka na działalność Rady Muzealnej, znaleźliśmy gospodarzę kustosza, blizkie nas łączyły stosunki z kilkoma bibliotekarzami, znamy więc i dalszą historję, wagę i treść zarzutów. Po śmierci hr. Platera zarząd Muzeum i funduszem stypendyalnym im. Krystyna hr. Ostrowskiego przeszedł w energiczne ręce Rady, która z nieznacznemi zmianami w osobistym składzie do dziś dnia obu instytucjami zawiaduje. Zwrot ten był dla Muzeum bardzo pomyślny z dwóch względów: jawność, ogłaszanie corocznych sprawozdań, rozchwiało mgliste zarzuty i przywróciło zaufanie, wyrażające się w licznych, nowych zapisach i darach: energia wyraziła się w rozszerzeniu Muzeum; za życia hr. Platera zajmowało ono cztery pokoiki w starej ruderze; dziś cały duży zamek został odrestaurowany; zbiory muzealne i biblioteczne, powiększone, znajdują wygodne pomieszczenie; wszystko to dokonane zostało bardzo małym kosztem, co stanowi niewątpliwą zasługę i Rady, i bezpośredniego wykonawcy jej postanowień, kustosza p. Rużyckiego.

Niestety, były i strony złe. Rada składała się z doskonałych administratorów, ale z ludzi niedostatecznie obeznanych z prowadzeniem i układem muzeów; nowy kustosz, p. Rużycki, który po śmierci hr. Platera i po zgonie, wkrótce potem, swego poprzednika, zajął jego stanowisko, jest to emigrant z 1863 r., bez wykształcenia, dziwak; jedyną, a niemają jego kwalifikacją jest uczciwość bezwzględna i również bezwzględne—na swój, niestety, nie zawsze odpowiedni sposób—oddanie sprawom muzealnym; drugą, mniejszej wagi, że na emigracyi zajmował się zarobkowo starożytnictwem, co niezawsze jednak równa się znawstwu. Wybór ten, w danych warunkach, przed dwudziestu laty, jedyny i bardzo odpowiedni, stawał się nim coraz mniej z biegiem czasu, z rozwojem muzeoznawstwa, z garnięciem się do Rapperswilu sił młodych, wykwalifikowanych. Wzmagający się z wiekiem despotyzm kustosza, jego zupełne lekceważenie tak ważnej właśnie w Rapperswilu biblioteki, nieustanne, płynące stąd zatargi z bibliotekarzami wszystkimi, z Wasilewskim, Żeromskim, Karczewskim i innymi, coraz bardziej zaogniały sprawę Muzeum i coraz większą

stawiały tamę jego rozwojowi. A nie było człowieka, któryby sprawę mógł załatwić pomyślnie; zgon jedyne go członka Rady, do tego powołanego, znakomitego znawcy starożytności i nieodżałowanego dobroczyńcy Muzeum, Henryka Bukowskiego ze Sztokholmu, uniemożliwił wszelką reformę i porozumienie; usiłowania Zygmunta Miłkowskiego spełzły również na niczem; wszystko rozbijało się o upór kustosza i Rady.

Z powyższego czytelnicy zrozumieją, że—niezależnie od szczegółów, w które wchodzić nie możemy—podzielamy naogół zarzuty głośnej broszury i wiecu krakowskiego, zwłaszcza o ile dotyczą one drugoplanowości ważnych okazji muzealnych obok pierwszoplanowości błałych, oraz macoszego traktowania biblioteki, zwłaszcza dawniej. Ale pragnęlibyśmy, aby autorowie protestów zechcieli stanąć na gruncie historycznym. Wtedy zrozumieliby początkowe zasługi organizacyi, które okupują popełnione błędy; zrozumieliby, że nie można miarą współczesną mierzyć muzeoznawstwa polskiego z przed lat dwudziestu; zrozumieliby wreszcie, że za 150 fr. miesięcznie ani przed laty, ani tembardziej dziś, żaden wykwalifikowany, uczony kustosz, choćby był największym patryotą i najgłośniej protestował przeciw obecnej gospodarce muzealnej, nie zakopie się w maleńkiej mieścinie szwajcarskiej.

Człowiek praktyczny zmierza przedewszystkiem do rezultatów, a więc i w danej kampanii szuka przedewszystkiem wniosków. Pierwszy z nich — przeniesienie zbiorów muzealnych do kraju — byłby aktem nieuszanowania woli twórców Muzeum, którzy przeniesienie zbiorów muzealnych do kraju opatrzyli bardzo wyraźnymi warunkami, które dotąd nie nastąpiły, nawet w Galicyi; sądzimy nawet, że prawnie mogłyby przeciw temu wystąpić rodziny, spadkobiercy Władysława hr. Broel-Platera i Krystyna hr. Ostrowskiego. Argument, że chodzi tu o przeniesienie zbiorów do Galicyi, nie wytrzymuje krytyki, obliczony jest bowiem jedynie na chwilę dzisiejszą, gdy Muzeum—logicznie i teoretycznie—ma trwać wiecznie. Rękojmia, stan obecny, może być zawsze zakwestyonowana przez czas, przez przyszłość niewiadomą.

Natomiast wniosek drugi trzeba uznać za słuszny. Dotyczy on usunięcia obecnego kustosza, bardziej współczesnego i wykwalifikowanego kierownictwa Muzeum, poważniejszego traktowania biblioteki. Jakkolwiek smutne jest stosowanie w życiu do kogośkolwiek bądź przypowieści o murzynie, który spełnił swoją powinność, zatem może iść, zadawanie ciosu najdroższemu upodobaniom i przywiązaniom jednostki, przecież ponad jej interesami stoi zawsze dobro pospolite i stać musi. Ufajmy, że Rada Muzealna, sto-

sownie do zapowiedzi, na dorocznym swoim zjeździe sierpniowym zarzuty gruntownie rozpatrzy i słusznym życzeniom ustąpi. Tymczasem zaś nie dajmy się powodować w sądach naszych dalekimi, nieraz osobistemi, zawsze namiętnei nienawiściami i zaślepieniem.

*

*

*

Mamy do zapisania na tem miejscu fakt wybitny: ofiarowanie przez Józefa hr. Potockiego Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu domu na pomieszczenie jego zbiorów, biblioteki i pracowni. Doniosłość daru zwiększa poniekąd znaczenie osoby moralnej, zbiorowej obdarowanego, instytucyi, która ma nam brak Akademii zastąpić, a która, wzorem innych naszych instytucyj, stale cierpi na brak funduszów, a dotąd cierpiała nawet na brak własnej siedziby. Znaczenie—uwypukli się jeszcze w tem, że jeżeli w życiu społeczeństw instynkt naśladownictwa jest szczególnie mocny w złem, oddziaływa na szczęście także i w dziedzinie dobra; za tym hojnym darem poszły już, a niewątpliwie pójdą jeszcze i inne, zapewniając pomyślny rozwój Towarzystwa Naukowego. Ofiarodawcy należy się zatem uznanie za czyn dobry, pożyteczny, do pomnożenia zasobów kulturalnych narodu zmierzający.

*

*

*

Nacyonalizm rosyjski rozpuszcza zagony we wszystkich kierunkach. Za czasów najcięższego ucisku teatry rządowe warszawskie były z języka polskimi, chociaż korzystały z subwencyi rządowej. Dziś, w czasach podobno większej wolności, chociaż subwencyi już nie pobierają, a otrzymują tylko pożyczki, które zresztą regularnie spłacają, są one solą w oku nacyonalistów dlatego tylko, że są posterunkiem kultury i języka polskiego. Świeżo *Nowoje Wremia* wystąpiło z naganką przeciw teatrom i ich za-

rządowi; zarzuty, znane czytelnikom z pism codziennych, są zbyt błahe i plotkarskie, aby zasługiwały na rozważenie; ale naganka daje asumpt do zwrócenia uwagi na sceny polskie i do stwierdzenia pomyślnego naogół ich rozwoju.

Teatry warszawskie są instytucją rządową, to znaczy, że zawsze na czele ich stał urzędnik; w myśl znanej teorii, że kto dosłużył się stopnia generalskiego, jest zdolny do wszystkiego, bywał prezesem zwykle jakiś generał — dziś postawiony na czele kolei, jutro teatru, pojutrze komory czy intendenty — którego najczęściej teatr obchodził o tyle tylko, o ile dostarczał mu łatwych i przymusowych stosunków miłosnych. Od lat paru stanął — przeciwnie — na czele teatrów człowiek, którego teatr interesuje tak dalece, że *horribile dictu!* — ku wielkiemu oburzeniu *Now. Wr.* — nauczył się po polsku, aby wiedzieć, co się w jego zarządzie dzieje i aby mózdz realnie — nie biurokratycznie — wpływać na wybór repertuaru. Do pomocy dobrał sobie doświadczonego artystę i literata, byłego dyrektora teatru krakowskiego, p. Józefa Kotarbińskiego, którego okres kierownictwa pomyślnie zapisze się w dziejach sceny polskiej w Warszawie.

Co do personelu — to oczywiście można tylko rozporządzać tem co jest: tak krawiec kraje, jak materyi staje. A cokolwiek — bądź powiedzielibyśmy o różnych brakach, zwłaszcza w dziale ról kobiecych, teatr, który posiada takich artystów pierwszorzędnej miary, jak Frenkiel i Kamiński, może już szczycić się swoją sceną dramatyczną. A gdy porównywamy dawne lata z młodszymi, musimy zawsze pamiętać o dowcipnej uwadze takiego znawcy teatru, jakim był Sarcey, który mawiał i dowodził z cytatami w ręku, iż krytycy twierdzili w każdej epoce, że teatr jest w upadku, że zawsze jest gorzej niż bywało. Pochodzi to stąd, że wrażliwość teatralna, zarówno jak każda inna, tępieje z wiekiem, upodobania zaś pozostają te same, co w młodości, gdy życie zmianom ulega. Szczególnie nam daje się to uczuwać: wychowani na konwencyonalnej komedii francuskiej oraz naszych jej naśladowcach i epigonach z przed trzydziestu i dwudziestu pięciu laty, częściowo na tragedji klasycznej, z trudnością godzimy się z kapryśną, pozbawioną wszelkich określonych form twórczością współczesną. Zmiana form wymaga też zmiany typu gry i dlatego trudno nawet artystów współczesnych przykładać do wielkich wzorów minionych. Wreszcie — ta uwaga w stosunku do artystek szczególnie — ra deskach scenicznych, jak gdzieindziej, zdobywa się awanse, odznaczenia, szewrony z wiekiem, a nawet atmosfera teatralna młodości wiecznie nie konserwuje. Można by więc bro-

nić paradoksu, że do najwyższej chwały arcyzmu dochodzi kobieta wtedy, kiedy traci wszelkie warunki fizyczne do danej roli. Stąd wytlómaczenie dla filozofa ekshibicyi szanownych szczątków, dla widza zaś niesmak ze zbytnej rozbieżności rzeczy widzianych na scenie z intencjami autora i treścią utworu.

Chcąc należycie ocenić działalność ostatniego zarządu trzeba się przypatrzeć nieco repertuarowi, który już jest wyrazem bezpośrednim woli, chęci i uzdolnienia kierownika literackiego. W ciągu ubiegłych lat dwóch widzieliśmy na scenie mniej więcej wszystko, co ukazało się z pod pióra autorów oryginalnych, więc „Sąsiadkę“ i „Czarną Różę“ Jaroszyńskiego, „Aktorki“ i „Rusałkę“ Krzywoszewskiego, „Ich czworo,“ „Skiza“ i „Pannę Maliczewską“ Zapolskiej, „Srebrne szczyty“ Konczyńskiego, „U źródła cnót“ Hertza, „Kawiarnię“ Gorceyńskiego, że wymienimy z pamięci kilka utworów, widzianych na scenie Rozmaitości; utwory różnej wartości i różnej trwałości repertuarowej, ale to już są rzeczy od dyrekcyi niezależne; faktem jest, że nigdy utalentowany autor oryginalny nie mógł z taką łatwością dostać się na scenę, jak obecnie. Jeszcze lepiej przedstawiają się sezony Teatru Wielkiego: takie dzieła, jak „Klątwa“ Wyspiańskiego, jak „Beatrix Cenci“ i „Złota Czaszka“ Słowackiego, należą do wielkiego repertuaru klasycznego; ze współczesnych wymienimy „Cara Dymitra“ i „Fryderyka Wielkiego“ Nowaczyńskiego, „Sokoła“ Grabowskiego, jedyny widziany na scenie plon konkursowy *Kuryera Warszawskiego* i „Demostenesa“ tragedję Konczyńskiego. Mistrzów dawnych teatru, Szekspira i Szyllera także, często danem nam było oglądać; miast wymieniać znane tytuły, podkreślmy bardzo a bardzo pożyteczne poczynanie: popołudniowe po najtańszych cenach sobotnie przedstawienia dla młodzieży szkolnej, która smak swój tym sposobem kształcić może na wiecznotrwałych i wiecznie pięknych arcydziełach dramatu i tragedyi.

Zapiszmy wreszcie na dobro dyrekcyi ogłoszenie konkursu na sztukę oryginalną. Można oczywiście sprzeczać się o to, czy środek ten cel osiąga, a niejednokrotne doświadczenia prowadziłyby do wniosku przeciwnego, trzeba przecież niewątpliwie uznać w tem najlepsze chęci i zamiary. Z plonu tego konkursu oglądaliśmy dotąd jedną tylko sztukę, „Dzisiejszych“ Kiedrzyńskiego; inne ujrzymy niebawem. Nie możemy wyrazić z jej powodu zachwytu; ale zadanie konkursu zostało spełnione, skoro wyciągnięto na powierzchnię życia scenicznego pisarza nowego, młodego, utalentowanego.

Notatka niniejsza nie ma bynajmniej pretensyj krytycznych i sprawozdawczych. To poprostu głos publicysty, przygodnego bywalca teatralnego, który, pod wpływem zarzutów, pragnął uświadomić sobie i czytelnikom, jak stoi teatr w Warszawie, aby, bez względu na te czy inne różnice zdań co do szczegółów repertuaru i obsad ról, wobec naganki stwierdzić, że mamy powód być z naszego teatru zadowoleni i że mamy obowiązek to wyraźnie powiedzieć.

*

*

*

Bardzo pożyteczna, a również bardzo dzielna i ruchliwa instytucja, Towarzystwo popierania przemysłu ludowego, przed samymi świętami Wielkiejnocy rozesłała w stu tysiącach egzemplarzy następującą odezwę, którą przytaczamy niżej w całości:

Do celów idealnych drogami realnemi.

Celem Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego w Królestwie Polskiem:

- 1^o dostarczenie *dochodu dodatkowego* włościanom, szczególnie małorolnym w miesiącach, gdy w naszym klimacie nie mogą pracować na roli;
- 2^o *przeciwdziałanie* tak przesadnej u nas *emigracji*;
- 3^o szerzenie i rozwój wśród ludu nie tylko tej lub owej gałęzi pracy, ale wogóle *pracowitości*;
- 4^o postęp na drodze *ekonomiczno-kulturalnego* rozwoju; ekonomicznego, bo postęp ten prowadzi do dobrobytu,—kulturalnego, jako wyniku tegoż dobrobytu.

Jest to więc w ścisłym słowa znaczeniu praca u podstaw.

Do tych celów idziemy następującymi drogami:

- 1^o kształcimy w naszych szkołach *instruktorów zawodowych*, idących następnie szerzyć zdobytą wiedzę fachową wśród ludu.

W Oryszewie instruktorów tkackich.

W Grędzicach instruktorki tkackie.

W Nałęczowie instruktorów koszykarskich, zabawkarskich i przemysłu drzewnego.

W szkołach ochroniarek instruktorki plecionkarstwa, guzikarstwa i koronkarstwa.

Nauka w tych szkołach wszędzie bezpłatna, a za całkowite utrzymanie płaci się po 7 rubli miesięcznie.

- 2^o Dopomagamy do powstawania w kraju naszym *warsztatów* prywatnych, zakładanych przez dwory, plebanie, gminy, spółki wytwórcze; takich warsztatów już powstało 95 od trzech lat.
- 3^o Organizujemy *zbyt* wszelkich wytworów przemysłu ludowego i detalicznie i hurtownie.
- 4^o Bierzemy udział w wystawach, w pokazach hodowlano-przemysłowych, wyznaczamy na nich nagrody, prowadzimy własne *wystawy pokazowe*, np. corocznie w Częstochowie.
- 5^o Drukujemy artykuły, sprawozdania, broszury i podręczniki z tego działu.
- 6^o Urządzamy miejsca centralne zbytu materiałów surowych np. przędzy lnianej dla włościan tkaczy, rozdajemy nasienie lniane po cenach ulgowych pomiędzy włościan.

Czynimy to wszystko przy pomocy subsydyjów Ministerjum Rolnictwa, ofiar i zapisów społeczeństwa naszego, *tudzież rocznych składek naszych członków*.

Członkowie założyciele płacą jednorazowo po 250 rubli, dożywotni po 100, członkowie rzeczywiści rocznie po 5 rubli a zwyczajni po 1 rublu.

Członków mamy dopiero 600. Bardzo to mało, wobec pracy tak rozległej jak obszar kraju naszeego, a tak ważnej jak rozwój ekonomiczny i kulturalny naszego ludu.

Do takiej pracy wzywamy pomocników. Niechaj każdy, kto ją uznaje, pośpieszy nam z pomocą, na jaką go stać, a z tego zasiewu prędko możemy doczekać się żniwa.

Prezes Towarzystwa *D-r Karol Benni*. Członek Zarządu Sekretarz *Stefan Kossuth*.

Warszawa, Krak. Przedm. 5.

Polecamy odezwę powyższą pilnej uwadze naszych czytelników. I dzielimy się z nimi dobrą wiadomością, że Towarzystwo popierania Przemysłu Ludowego uzyskało prawo korzystania z procentów od zapisu 52,000 rb. d-ra Żurakowskiego z Żytomierza, przeznaczonego na Macierz Szkolną, który wobec jej zamknięcia ma trwać nienaruszony, aż powstanie w kraju instytucja

podobna; procenty od niego zostały przez kuratorów przeznaczono słusznie na instytucję pierwszorzędnej doniosłości publicznej, która coraz to żywiej i lepiej się rozwija.

*

*

*

Od czasu do czasu zdarzają się wypadki, które pozwalają stwierdzić straszny wpływ owych jaskrawo obłożonych świstków—broszur tanich, o treści kryminalno-sensacyjnej. Zbój, wzięty trupem po szalonej obronie w Łodzi, posiadał w swoim mieszkaniu całą bibliotekę tej treści; szesnastoletni chłopak morderca, w przeddzień zbrodni napawał się osławionemi przygodami Nicka Cartera. Kryminolodzy dawno już stwierdzili fakt oddziaływania tego gatunku literatury na życie, oddziaływania przez budzenie instynktów naśladowczych. Wypadki powyższe potwierdzają zdanie nauki teoretycznej. A stwierdzanie ich jest bezmiernie smutne, społeczeństwo bowiem stoi wobec przyczyn bezradne.

Dążymy do wolności prasy i wolności kolportażu; dążymy, bo musimy, bo ta wolność jest w duchu czasu. Ale na jej niwie krzewią się obok kwiatów ducha i chwasty literatury pornograficznej i kryminalnej. Trudno zwalczać pierwszą, gdy określić trzeba nglistą granicę między dziełem sztuki a spekulacją ohydy; trudniej jeszcze drugą, gdy autorowie i przekupnie powołują się, że moralności służy, albowiem w utworach jej cnota zawsze zostaje nagrodzona i nie baczą, że metod zbrodni uczą, że szereg jaskrawych broszurek stanowi prawdziwą encyklopedyę występku.

I gdzież stanąć w zakazie? Pisma codzienne z okazji wymienionych wypadków wiele gromów oburzenia na literaturę sensacyjną rzuciły. Przypomina się przypowieść o belce i słonce. Bo, jeżeli przygody fikcyjne mogą budzić instynkty naśladownicze, o ileż w wyższym stopniu uczyni to opis rzeczywistej zbrodni.

Niechże przynajmniej fakty takie zwracają baczną uwagę rodziców i wychowawców. Przez moralne oddziaływanie strzedz trzeba młodzież naszą przed zgubnemi następstwami lektury szkodliwej, strzedz dusze od zatrucia atmosferą zbrodni. A oddziaływania nie ograniczać jedynie w kierunku specjalnych wydawnictw,

ale owszem, rozszerzać i na pisma codzienne, których lektura nie tylko odwleka młodzież od pracy, od zdrowych rozrywek sportowych, od wzbogacania wiedzy, ale jeszcze banalizuje jej umysł i zatrzuwa dusze obszernymi opisami największych ohyd życia. Skoro w przeciwdziałaniu jesteśmy skrepowani, musimy oddziaływać na najwrażliwszą część społeczeństwa, powinniśmy to robić, powinniśmy o tem nieustannie myśleć, i to jest sens moralny, jaki ze związku zbrodni w życiu ze zbrodnią w literaturze wyciągnąć można i trzeba.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Biskup Karol Niedziałkowski.

W ubiegłym miesiącu zmarł w Żytomierzu ś. p. ks. Karol Antoni Niedziałkowski, biskup łucko-żytomierski, wybitny pisarz katolicki. Pochodził on z rodziny mazurskiej, od dwóch pokoleń na Rusi osiadłej. Urodził się we wsi rodzinnej Mińkowce nad Ikwą w r. 1847, uczęszczał do szkół powiatowych w Łucku, następnie w Kamieńcu Pod., gdzie też wstąpił do seminarium. Wybitne zdolności młodego alumina sprawiły, że już po rocznym pobycie wysłano go do Akademii duchownej w Petersburgu, którą ukończył ze stopniem magistra św. Teologii tak młodo, że nie miał jeszcze lat kanonicznych do święceń kapłańskich.

Wówczas to właśnie, w r. 1867, zniesiona została rozporządzeniem rządu rosyjskiego stara dyecezya kamieniecka, a zarząd jej przez Stolicę Apostolską powierzony został biskupowi łucko-żytomierskiemu. Do jego rezydencji przeniósł się tedy młody, uczony teolog i tam w Żytomierzu został wyświęcony na księdza, tam uczył w seminarium łaciny, homiletyki, prawa kanonicznego, stanowisko profesora wreszcie zamienił na godność rektora.

W r. 1897 po trzydziestoletnim pobycie nieprzerwanym opuścił ks. Niedziałkowski ukochany Żytomierz. Konsekrowany na biskupa tytularnego samoskiego, został równocześnie mianowany rektorem Akademii duchownej w Petersburgu i sufraganiem mohylowskim. W lat parę potem do tegoż Żytomierza powrócił, ale już jako J. E. biskup łucko-żytomierski. Ostatni dziesiątek lat jego życia zeszedł na zarządzie olbrzymią dyecezyą, liczącą około 800,000 wiernych, rozrzuconych na olbrzymich przestrzeniach, a posiadających zaledwie 247 kościołów i 315 księży. Brzemię

zarządu dyecezyą w takich warunkach ciążyło ś. p. biskupowi, który przed kilku laty powziął już myśl zrezygnowania ze swego stanowiska, ale nadwątłone wieloletnią pracą siły wcześniej wypowiedziały posłuszeństwo i śmierć przecięła nić pożytecznego żywota.

Żywot ten miał dwie strony, w dwóch przeszedł kierunkach: w pracy kapłańskiej i w pracy piśmienniczej, którą zmarły dostojnik uprawiał z wielkiem zamiłowaniem, uzdolnieniem i żywym zacięciem polemicznem, uprawiał zarówno pod nazwiskiem własnym, jak i pod pseudonimem ks. Antoniego Rawicza. Artykułami swymi zasilał *Encyklopedyę Kościelną*, *Rolę*, *Przegląd Katolicki*, *Wędrowca* i inne pisma, a z licznego ich szeregu powstało kilka dzieł, jak „O chrześcijańską zasadę“, „Miraże mądrości“, „Dlaczego w poezyi naszej nie mamy słowików“ (studyum o współczesnej poezyi polskiej), „Nie tędy droga szanowne panie!“ (studyum o emancypacji kobiet), „Poganizm i chrześcijaństwo“, „Wrażenia z pielgrzymki do Ziemi Świętej“ oraz wiele broszur na tematy aktualne; we wszystkich pracach tych, prócz podkreślonych wyżej zalet, autor wykazał także wybitną erudycyę. Pewien odłam prasy katolickiej traci też w zmarłym dostojniku siłę literacką, zwłaszcza polemiczną, miary niepośledniej.

ś. p. Władysław Gosiewski.

Umysłowość polska rzadko tylko wkracza w dziedzinę zjawisk abstrakcyjnych, trzymając się raczej gruntu realnego. Mimo to Polska wydała jednego z najgenialniejszych matematyków świata, Hoene Wrońskiego, a podobnego typu wielkim umysłem był zmarły w ubiegłym miesiącu uczony, ś. p. Władysław Gosiewski. Matematyka przedewszystkiem jest logiką ścisłą, najbardziej od życia oderwaną; tam jednak, gdzie wkracza w teorye nieskończoności, w najwyższe uogólnienia zjawisk fizycznych, staje się filozofią bytu, najwyższą, najogólniejszą z nauk. Tak pojmował specjalność swoją ś. p. Gosiewski, o czem świadczą prace takie, jak „O zasadach teoryi bezwzględnej zjawisk materyalnych wogóle“, albo drukowana w *Przeglądzie Filozoficznym* rozprawa p. t. „Zarys teoryi matematycznej monadologii.“ Jest to wyrazem dążeń naukowych całej współczesnej szkoły fizyków matematycz-

nych wogóle, jak Riemann, Helmholtz, Clausius, Maxwell wreszcie. Tej szkoły gorliwym zwolennikiem i wyznawcą był zmarły uczony wielkiej miary.

Gdzieindziej, narody szczęśliwsze swoim mężom nauki dają możność rozwoju uzdolnień i pracy specjalnej w zaciszu murów wszechnic. U nas ś. p. Gosiewski wiedzę swoją rozmieniał na codzienną monetę drobną, jako nauczyciel, buchalter, urzędnik, bo... żyć trzeba, a tylko wolne od zajęć zawodowych chwile mógł uniłowanej matematyce poświęcać. Kiedy w r. 1894 zawakowała katedra fizyki matematycznej w uniwersytecie lwowskim, z tytułu zasług naukowych należała się naszemu uczonemu; ale bezprzykładna skromność i prawdziwym uczonym właściwa nieumiejętność chodzenia około swoich własnych interesów życiowych sprawiły, że zwyciężył inny współzawodnik. To była jedyna sposobność wyjrzenia z ciasnego naukowego podwórka Warszawy na świat szerszy. Minęła—i uczony pozostał w codziennym deptaku, ale—ani na chwilę nie zniżając lotu. Wysoki szacunek, jaki wzbudzał jego charakter, oraz wielkie uznanie tych nielicznych, którzy go bliżej znali—takie były jedyne nagrody zacnego, pracowitego, zasłużonego żywota.

Urodzony 8 czerwca 1844 r. w Howiatynie w Lubelskiem, ukończył ś. p. Gosiewski gimnazjum w Lublinie, poczem wstąpił do Szkoły Głównej na wydział matematyczno-fizyczny. W okresie studyów zdobywa medal złoty za rozprawę konkursową, zaś w r. 1868 uzyskuje stopień magistra nauk matematyczno-fizycznych. W celu dalszych studyów naukowych ś. p. Gosiewski wyjeżdża do Paryża, gdzie bierze żywy udział w założonem przez Jana Działyńskiego Towarzystwie nauk ścisłych,—w charakterze drugiego sekretarza tej instytucji. W „Pamiętniku“ Towarzystwa ogłasza kilkanaście prac: „O sprężystości ciał stałych jednorodnych,“ „Przyczynek do teorii sił żywych,“ „O zasadniczej hipotezie mechaniki cząsteczkowej,“ „O zasadach teorii bezwzględnej zjawisk materyalnych,“ „O potencyale sprężystości“ i in. „Już same tytuły wymienionych prac — pisze jego biograf w „W. Encyklopedyi III.“ — wskazują, że Gosiewski w badaniach swych zwracał się przeważnie ku doniosłym zagadnieniom zasadniczym w matematyce i fizyce matematycznej.“

W latach późniejszych ś. p. Gosiewski zwraca szczególną uwagę na teorie i metody rachunku prawdopodobieństwa i ogłasza szereg rozpraw z tej dziedziny w „Rozprawach Akademii Umiejętności,“ której członkiem-korespondentem był od r. 1891, w „Pracach matematyczno-fizycznych“ i w „Wiadomościach ma-

tematycznych.“ Praca „O związku między zasadą najmniejszego działania a układem najprawdopodobniejszym“ (r. 1888) przyniosła autorowi nagrodę im. Jakóba Natansona. Pomysły, zawarte w tej rozprawie, rozwijał ś. p. Gosiewski w pracach „O zasadzie najprawdopodobniejszego bytu,“ „O przekształceniu najprawdopodobniejszym,“ „O prawie zachowania energii i wzrostu entropii.“ Oprócz tego ogłosił szereg rozpraw z dziedziny hydrodynamiki, mechaniki i fizyki matematycznej, wreszcie „Wykład mechaniki cząsteczkowej“ (t. I) i krótki zarys „Rachunku różniczkowego i całkowego.“

ś. p. prof. Maryan Sokołowski.

Zmarły niedawno w Krakowie ś. p. prof. Maryan Sokołowski był pierwszym profesorem historii sztuki na wszechnicy Jagiellońskiej, oraz pierwszym w szerokim stylu polskim historykiem sztuki wogóle. Zamiłowanie ogromne przedmiotu, niestrudzona i niepospolita praca, zupełne oddanie się ukochanej sztuce, sprawiły, że zmarły niezwykle posiadał wiedzę nietylko w samej historii sztuki i archeologii, ale i we wszystkich umiejętnościach pokrewnych. Główną cechą jego badań było współrzędne traktowanie zjawisk sztuki zagranicznej i polskiej, odzwierciedlenie wpływów, jakim w tej dziedzinie ze wszystkich stron podlegała Polska, ze względu na swe położenie geograficzne na pograniczu Zachodu i Wschodu, ogarniając zjawiska sztuki z wyniosłego stanowiska uczonego, zbrojnego w bogaty arsenał skrzętnie zebranych danych faktycznych, rozświetlonych szerokimi poglądami. Poglądy te wszczepiał w liczne pokolenia uczniów, w których umiał kształcić smak artystyczny oraz budził rzetelne umiłowanie przedmiotu. A jako działacz praktyczny, ukochał nadewszystko Kraków, to też śmiało powiedzieć można, że zespolony był ściśle ze wszystkimi pracami artystycznymi ku ozdobieniu starego stołecznego grodu. Mieszkańcy jego ze smutkiem i żalem stoją nad świeżo usypanym grobem, wspominając z uznaniem jedną z najpopularniejszych postaci miasta.

Charakterystyczną cechą prof. Sokołowskiego, jako uczonego, było to, że się nigdy nie zasklepił, nie zacieśnił w pewnym dziale sztuki lub pewnej epoce, ale badaniami swojemi obejmował równie dobrze architekturę, rzeźbę, malarstwo, jak i przemysł arty-

styczny różnych epok, a nawet i sztukę ludową w Polsce. W zamierzeniu, nawpół legendarne czasy wprowadza nas jego monumentalna praca o „Ruinach na Ostrowie jeziora Lednicy,“ o rozwoju gotyckiej architektury pouczają między innymi prace: „Kościoły i cmentarze warowne w Polsce“ (do spółki z Janem Zubrzyckim i Grzegorzem Worobjewem), „Dwa gotycyzmy, wileński i krakowski, w architekturze i złotnictwie, i źródła ich znamion charakterystycznych,“ „Kościoły polskie dwunawowe i Król Kazimierz Wielki“ (do spółki z p. Szyszko Bohuszem). Rzeźbie naszej poświęcone są rozprawy: „Studia do historii rzeźby w Polsce w XV i XVI wieku,“ „Zagadkowy nagrobek katedry gnieźnieńskiej“ i t. d. Historię malarstwa w Polsce posuwają naprzód świetne prace, jak np. obszerna i podstawowa rozprawa o Hansie z Kulmbachu. Nie jest mu obcym przemysł artystyczny. Tego działu dotyczą prace: „Nieznany dar Królowej Jadwigi dla katedry na Wawelu,“ „Misa bronzowa z epoki romańskiej, znaleziona w Dąbrowie koło Wielunia,“ „Pasy metalowe polskie,“ „Erazm Kamyn, złotnik poznański, i wzory przemysłu artystycznego u nas w XV i XVI wieku.“ Żywo interesuje się sztuką ruską, o której traktuje w pięknych „Studiach i szkicach z dziejów sztuki i cywilizacji“ w następujących rozprawach: „Bizantyńska i ruska średniowieczna kultura,“ „Badania archeologiczne na Rusi galijskiej,“ „Sztuka cerkiewna na Rusi i Bukowinie.“

Szedł ciągle w parze z ruchem naukowym za granicą, trzymał rękę na jego pulsie i każdą aktualną kwestyę przynosił natychmiast na nasz teren. Nigdy nie miał uprzedzenia do jakiejś epoki; on pierwszy zainicjował u nas badania nad barokiem (dotychczas tak długo lekceważonym) w pracy p. t. „Źródła do dziejów sztuki w Polsce w XVII i pierwszej połowie XVIII wieku.“

Na zakończenie—kilka danych biograficznych. Ś. p. Maryan Sokołowski urodził się w r. 1839 w Czyżewie łomżyńskim; ukończył gimnazjum realne w Warszawie, a następnie studia uniwersyteckie w Peszcie, Heidelbergu i Wiedniu. W r. 1882 został profesorem historii na Uniwersytecie Jagiellońskim, w r. 1880 członkiem Akademii Umiejętności. Przez lat blisko trzydzieści zatem prowadził swoje znakomite i cenne wykłady, których parę pokoleń z pożytkiem słuchało.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dniu 28 marca r. b. odbyło się posiedzenie Komisji Meteorologicznej przy Wydziale III-im, na którym przedstawiono sprawozdanie z działalności sieci meteorologicznej warszawskiej w r. 1910 i wiadomość o stacjach meteorologicznych w Galicyi, a następnie wysłuchano referatów: p. St. Kosińskiej: „O domniemanym związku działalności słońca ze zjawiskami ziemskimi“;—p. Wł. Gorczyńskiego: „O badaniach aerologicznych w Afryce.“

W dniu 1 z. m. odbyło się posiedzenie Komisji antropologicznej przy Wydziale II-im, na którym wysłuchano komunikat p. Franciszka Chłapowskiego p. t. „Trzy przypadki zupełnego braku kończyn górnych ze skróceniem dolnych,“ przedstawiony przez p. K. Stołyhwę. Referat był ilustrowany licznymi fotografiami i röntgenogramami oraz odciskami stóp. Po referacie odbyła się dyskusya.

W dniu 5 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którym p. Michał Rowiński odczytał część trzecią referatu p. t. „Uwagi nad niektórymi przekładami Felicyana Faleńskiego.“ Rozebrał w niej i ocenił przekłady z Horacego.

W dniu 6 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym przedstawiono komunikaty: p. Z. Weyberg: „O składzie sodalitów. I. Chlorosodality glinowosodowy“;—p. St. Mikłaszewski: „Gleba pola doświadczalnego w Mysławowie“;—p. St. Mikłaszewski: „Gleba stacyi doświadczalnej rolniczej w Binia-koniach gub. Wileńskiej“;—p. M. Minkowski (przedstawił p. Wł. Janowski): „Badania nad fizyologią sfery wzrokowej w korze mózgowej.“

Dnia 7 z. m. odbyło się pod przewodnictwem p. J. K. Kochanowskiego posiedzenie Wydziału II-go, na którym p. Bronisław Bouffal wygłosił odczyt

p. t. „Teorya odpowiedzialności władz administracyjnych w prawie politycznem.“ W dyskusyi zabierali głos p.p.: Henryk Konic, Marceli Handelsman, Walenty Miklaszewski i prelegent.

Na potrzeby Towarzystwa Naukowego Warszawskiego wpłynęły następujące ofiary:

1. Na Instytut biologiczny: od d-ra Edwarda Flatau rb. *tysiąc*, od d-ra Władysława Janowskiego rb. *tysiąc*, od p.p. Kalinowskiego i Przepiórkowskiego rb. *pięćset*, od d-ra E. Tryjarskiego rb. *pięćdziesiąt dwa* i mikrotom, od Towarzystwa Akcyjnego wyrobów wełnianych i bawełnianych M. Silbersteina w m. Łodzi rb. *tysiąc*, od Towarzystwa Akcyjnego fabryki Portland-Cementu „Wolyn“ rb. *sto* i dla uczczenia ś. p. d-ra Ryszarda Bukowskiego w dniu jego imienin 3 kwietnia od brata rb. *tysiąc pięćset* w listach zastawnych Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy.

2. Na wydatki bieżące Towarzystwa od p. Aleksandra Kraushara rb. *trzysta*.

3. Na kupno szaf, półek i innych przyborów dla biblioteki Towarzystwa od p. Alicyi ze Spasowiczów Hasfortowej rb. *tysiąc*.

— BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA wykazuje w r. 1910 przyrost dzieł o 6,061 tomów, tak, że obecnie posiada 409,326 t. W porównaniu z zeszłorocznym jest ten przyrost nieco mniejszy (w 1909 r. 6,747 tomów). Tłómaczy się to jednak tem, że w roku ubiegłym nie otrzymała Biblioteka żadnych znaczniejszych darów. Nabyto w roku ubiegłym szereg dzieł bardzo kosztownych, wydawnictw źródłowych i bibliograficznych muzycznych, a w końcu liczne dzieła i wydawnictwa, mające zapełnić w różnych działach luki. Należy tu wspomnieć zakup znacznej części biblioteki teologicznej po profesorze Uniwersytetu Jagiellońskiego, ks. W. Knapińskim.

Celem utrzymania ścisłej łączności w zakupach z postępem nauki, obserwuje się w Bibliotece systematycznie peryodyczne wydawnictwa bibliograficzne polskie, francuskie, niemieckie i o ile możności także włoskie, angielskie i rosyjskie. Aby jednak zakupywać wszystkie ważniejsze nowości, musiałaby Biblioteka rozporządzać funduszem najmniej o 10,000 koron wyższym, niż obecny (20,000 kor. dotacya, 14,000 dodatek z taks uniwersyteckich). Wtedy dopiero zrównałby się jej budżet z uposażeniem bodaj mniejszych bibliotek uniwersyteckich w Niemczech, jak Królewiec (około 40,000 marek), Gryfia. Z innych działów poza drukami, wykazują przyrost rękopisy o 65 numerów, wtem korespondencya wojewody Mińskiego A. Chmury 1746 — 1796 (obecnie rękopisów ogółem 6,323), dyplomy o 11 numerów (obecnie 396) z daru p. Aleksandra Jelskiego i p. Stefanii Godlewskiej. Znaczny wzrost wskazuje dział sztychów, gdzie przybyła kolekcya złożona z 184 sztychów oryginalnych J. Callot'a.

Frekwencya czytelników wzrosła tylko nieznacznie z 34,759 do 36,061 osób. Przyczyny tego należy szukać w tem, że już w przeszłym roku doszła frekwencya do szczytu i że wobec szczupłości miejsca nie mogła się już ona powiększyć.

— TOWARZYSTWO HISTORYCZNE WE LWOWIE. W ubiegłym miesiącu odbyło się walne zgromadzenie Towarzystwa, którego organem jest poważny „Kwartalnik Historyczny.“ Niestety, Towarzystwo Historyczne niema należytego poparcia społeczeństwa. Towarzystwo historyczne niemieckie w Poznaniu, jak to w końcu podniósł w swej przemowie na zgromadzeniu prof. Wojciechowski, ma około 11,000 członków, nasze natomiast liczy ledwo 259. Jest to cyfra nieproporcjonalnie mała nie tylko w stosunku do tamtego towarzystwa, ale i w stosunku do naszych sił. To też stan ten odbija się fatalnie na „Kwartalniku,“ który krępowany grożącym mu wciąż deficytem, nie może odpowiednio do wzmagających się potrzeb naukowych pomyślnie się rozwijać, a gdyby nie subwencje Sejmu i ministerium wyznań wcaleby nie mógł wychodzić.

Walne zgromadzenie przyjęło do wiadomości sprawozdanie wydziału i udzieliło skarbnikowi, d-rowsi W. Rolnemu, absolutorium, a prócz tego uchwaliło z powodu złożenia tej godności wyrazić mu podziękowanie za dziesięcioletnią wzorową pracę.

Następnie przystąpiono do wyboru wydziału. Jednogłośnie wybrani: prezesem Tadeusz Wojciechowski, zastępcą prezesa Ludwik Kubala, skarbnikiem Jan Friedberg, członkami wydziału: Eugeniusz Barwiński, Aleksander Czołowski, Bronisław Dembiński, ks. Jan Fijałek, Ludwik Finkel, Władysław Łoziński, Zygmunt Luba Radziwiński, Alojzy Winiarz. W skład komitetu redakcyjnego weszli: jako redaktor Aleksander Semkowicz, a jako jego członkowie: Władysław Abraham, Szymon Askenazy, Bronisław Gubrynowicz, Karol Hadaczek, Alfred Halban, Maryan Kukiel, Bronisław Pawłowski, Henryk Sawczyński, Władysław Semkowicz, Stanisław Zakrzewski. Do komisji kontrolującej wybrani: Józef Nogaj, Stanisław Schneider, Władysław Towarnicki.

Walne zgromadzenie poprzedził interesujący wykład d-ra Kolankowskiego z Krakowa, w którym prelegent przedstawił wewnętrzne stosunki w Polsce za panowania Zygmunta Starego, walkę dworu, a głównie królowej Bony z drobną szlachtą i cały szereg spraw z nią związanych.

— KONKURS NAUKOWY. Towarzystwo dla popierania nauki polskiej we Lwowie, z okazji dziesiątej rocznicy swego założenia, a ku uczczeniu zbliżającego się jubileuszu fundacyi Uniwersytetu lwowskiego przez króla Jana Kazimierza, rozpisuje następujący konkurs naukowy: „Zbadać i rozpatrzyć w dowolnie obranem terytorjum i okresie czasu, z doby istnienia Rzeczypospolitej polskiej, jakkolwiek kierunek wpływu kultury polskiej na ruską i wzajemny ich stosunek do siebie.“ O nagrodę ubiegać się mogą prace źródłowe, ściśle naukowe, pisane w języku polskim, objętości 15—25 arkuszy druku, przedtem ani w całości, ani w wyinkach drukiem nie ogłoszone. Nagroda wynosi 1000 koron, po której wypłaceniu prawo własności nagrodzonej pracy przechodzi na Towarzystwo; praca ta ogłoszona zostanie w jego publikacjach bez dalszego honorowania autora. Rękopisy z dołączeniem zamkniętej koperty, zawierającej nazwisko i adres autora, nadsyłać należy do końca

roku 1912 do Sekretaryatu Towarzystwa (Lwów, Archiwum Bernardyńskie). Oceną nadesłanych prac zajmie się sąd konkursowy, złożony z członków Wydziału, profesorów: Wł. Abrahama, O. Balzera, P. Dąbkowskiego, L. Finkla, W. Hahna i A. Maleckiego; sądowi przysługuje w razie potrzeby prawo kooptacji innych członków z poza grona Wydziału.

N O W E K S I A Ź K I.

— *Rocznik Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego*. IV. Warszawa, 1910. Stron 328.

Oprócz zwykłego działu sprawozdawczego z czynności zarządu i poszczególnych filij pomyślnie rozwijającego się Towarzystwa, pomieszczono w „Roczniku“ dokładną bibliografię dzieł ś. p. Z. Glogera, nieodżałowanego prezesa Towarzystwa, oraz cenną pracę historyczno-statystyczną pióra Henryka Wiercieńskiego o ruchu ludności i zaludnienia na terytorium dawnego województwa Lubelskiego w ciągu 3-ch ostatnich stuleci.

— ALEXANDER KRAUSHAR. *Miscellanea archiwalne*. I i II. Warszawa-Kraków. 1910—1911. Str. 73 i 80.

W nowej serji pomniejszych przyczynków historycznych, nieustrudzenie gromadzonych przez Al. Kraushara, zawarte zostały: „Notatki do dziejów politycznych, dyplomatycznych, wojskowych, ekonomicznych, handlowych i obyczajowych dawnej Polski, od XVI do XVIII wieku, z ksiąg kanclerskich, metrycznych i asesorskich Archiwum Głównego warszawskiego zaczerpnięte (cz. I)“; przedruk spisu dyplomatów do spraw krzyżackich (1226—1421), dokonane przez Walentego Huberta, dyrektora Archiwum Głównego (cz. II).

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Kwiecień, 1911. Treść: Felicyan Falański: Krytyka;—Authenrieth, prof. politechn. w Sztutgardzie: Mechanika techniczna;—Bohowityn: Czarnymi czcionkami;—Bukowiecka Zofia: Królowa morzu;—Daniłowski Gustaw: Poezye;—Ellick Morn: Zbudź się i walcz;—Fischer Adam: Okruchy ludoznawcze;—Grądzielski K.: Dzieje literatury polskiej;—Grim E.: Paweł Stalmach, jego życie i działalność w świetle prawdy;—Jakóbiec Jan, d-r: Akt woli;—James W.: Pragmatyzm (przełożył z angielskiego W. M. Kozłowski);—Kiernik E., d-r: Życie w nurtach oceanu;—Kowalski Izidor: Kółko rolnicze w Czarnocinie;—Kryński Adam Antoni: Prawidła pisowni polskiej;—Krzywoszewski Stefan: Rusalka;—Lubicz Stanisław: Sprawa włościńska w Polsce porozbiorowej;—Lukaszewiczówna K.: Serdeczni przyjaciele;—Maciejowski Adam, ks.: Niech żywi nie tracą nadziei;—Mniszek Helena: Trędowata;—Nowaczyński N. A.: Co czasy miosą;—Rygiel-Nalkowska Zofia: Równieśnice;—Sieroszewski Wacław: Z fali na

fale; — Sobeski Tadeusz z Cielimowa: Gospodarstwo podwórzowe; — Sobiński Stanisław: Uwagi metodyczne o nauczaniu historii;—Strug Andrzej: W twardej służbie;—Szymański Adam: Aksinja; — Vrana Władysław, ks. d-r: Egzorty niedzielne, świąteczne i przygodne;—Wasman Eryk, ks.: Dawne i nowe badania Haeckla nad zagadnieniami o człowieku;—Węckowski St. d-r i I. Szarota: La France (à l'usage de l'enseignement secondaire); — Wierbicka Zofia: Nasze błędy (przekład Stefanii Sempołowskiej);—Wierzbowski Teodor: Raporty generalnych wizytatorów z roku 1783;—W poszukiwaniu prawdy. Wstęp do teorii poznania; — Wrzosek Adam: Jędrzej Śniadecki, życiorys i rozbiór pism;—Żuławski Jerzy: Zwycięzca; — Pod prasą; — Kronika; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

BERENT WACŁAW: Ozimina. Powieść. Nakład Jakóba Mortkowicza. Warszawa, 1911. G. Centnerszwer i S-ka.

BIEDRZYCKI STEFAN INŻ.: Zarys mechanicznej uprawy roli, z 46 rysunkami w tekście oraz dodatkiem o orce parowej. C. T. R. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

CHMIELEWSKI Z. INŻYNIER: Zarys techniki mleczarskiej, z 138 rysunkami w tekście. II przerobione i znacznie powiększone wydanie „Podręcznika techniki mleczarskiej,” wydanego we Lwowie w 1908 r. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. Wyd. Cent. Tow. Rol.

DWUDZIESTE PIĄTE Roczne Sprawozdanie Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu. Z czynności w roku 1910. Poznań, 1911. „Dziennik Poznański.“

EPOS INDYJSKIE. II Vyāsa Mahā-Bhārata. Brody, 1911. Warszawa. Skład główny E. Wende i S-ka.

ERCKMAN-CHATRIAN: Hugon Wilk. Powieść z 6-ciu ilustracyami. „Ciekawe Powieści.“ Bezpłatny dodatek do № 15 „Tygodnika Ilustrowanego.“ Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

FILOLOGIA I LINGWISTYKA prof. A. Brücknera. Szkic polemiczny przez Henryka Ułaszyna. Kraków, 1910. Nakładem autora. Skład główny G. Gebethner i S-ka.

FOERSTER D-R FR. W.: Etyka płciowa i pedagogika. Przekład I. I. Rappackiego. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.“

FRANCE ANATOL: Pamiętnik mego przyjaciela. Przekład z francuskiego Zofii Wróblewskiej. 2 t. Warszawa, 1911. „Biblioteka dzieł wyborowych.“

GAWIŃSKI ANTONI: Maryan Wawrzenicki. Studium. Warszawa, 1911. Odbitka ze „Sfinksa.“

GIANNINI FORTUNATO, lektor języka włoskiego na Uniwers. Jagiell. i MOSCHENI CARLO, nauczyciel języka włoskiego w Krakowie: Praktyczna metoda języka włoskiego. Do nauki z pomocą lub bez pomocy nauczyciela. Gramatyka. Ćwiczenia. Rozmówki. Słownik. Lwów, 1911. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

GNOIŃSKI BOLESŁAW ZYGMUNT: Rok 1812. Ze wspomnień mojego dziadka. Własność i nakład W. Z. Kielce, 1911.

KONCZYŃSKI JÓZEF: Stan moralny społeczeństwa polskiego na podstawie danych statystyki kryminalnej. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia d-ra med. Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

KONCZYŃSKI TADEUSZ: Śladem tęsknoty. Powieść. Warszawa, 1911. „Biblioteka dzieł wyborowych.“

KRECZYŃSKA JULIA: Luciferus. Poemat, odznaczony na konkursie poetyckim „Sfinksa“ imienia Juliusza Słowackiego. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Sfinksa.“

KUDASIEWICZ ANTONI: Mój kalejdoskop. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

KURCZYUSZ ALEKSY: Brazylia. Część I. Warszawa, 1911. Wydawnictwo „Biblioteki dzieł wyborowych.“

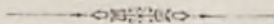
MANN MAURYCY: Rozwój syntezy literackiej. Od jej początków do Gerwinusa. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.

MERWIN BERTOLD: W krainie dolara. Lwów, 1911. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka.

METODA HEGLA i zasady Filozofii spekulatywnej. Napisał Adam Żółtowski. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

MICHAŁOWSKI PIOTR: Rys życia, zawód artystyczny, działalność w życiu publicznym. Z papierów rodzinnych zebrał N. N... Kraków, 1911. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i Spółki w Warszawie.

MICKIEWICZA ADAMA. Pisma wydane, objaśnione i poprzedzone wstępami przez d-ra Józefa Kallenbacha, prof. uniwers. lwowskiego. Tom I. Nakładem księgarni F. Westa w Brodach, 1911 r. Warszawa, E. Wende i S-ka.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.
